

diabło  
**Cody**  
**cukiereczek**  
czyli rok z życia nietypowej striptizerki

cody  
**cukiereczek**

Powieść zdobywczyni Oscara za scenariusz  
oryginalny do filmu *Juno*!

**Pikantna i pełna humoru autobiograficzna historia  
striptizerki z przypadku, autorstwa zdobywczyni Oscara  
za scenariusz oryginalny do filmu *Juno*.**

**Seksbranża, jej sekrety  
i skandaliki oczami Diabła Cody.**

„Cody nie zrobiła wielkiej kariery jako striptizerka. Podczas najlepszej nocy zarobiła 800 dolarów. Zyskała jednak coś znacznie bardziej wartościowego. Życiowe doświadczenie”.

*Gala*

„*Cukiereczek* to książka o akcji szybkiej jak auto po tuningu, diabelnie zabawna i przerażająca – i wcale nie przesadzam z tym przerażeniem – wierna życiu”.

Lily Burana, autorka *Strip City:  
A Stripper's Farewell Journey Across America*

„Przezabawna, w orzeźwiający sposób pozbawiona moralizatorstwa”.

*Star Tribune, Minneapolis*

ISBN: 978-83-7508-188-6



9 788375 081886

Cena detaliczna: 32,00 zł

[www.soniadruga.pl](http://www.soniadruga.pl)

# diablo Cody cukiereczek

Z języka angielskiego przełożyła  
Magdalena Jędrzejak



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# Białe Miasto

Nikt nie przyjeżdża do Minnesoty, żeby się rozbierać - w każdym razie ja nikogo takiego nie znam. Klimat nie sprzyja nocnemu życiu. Tutaj, na stroskanej ziemi północnej części kraju, zwiastun zimy Jack Frost z urokliwego chochlika zmienia się w zajętego swoimi sprawami, długorękiego i długonogiego sadystę z kryształkami lodu w zadziornej kępcie zarostu pod dolną wargą. Miejscowe zimy są legendarne: martwe, zdławione śniegiem, nieruchome jak pokrywa lodowa na blisko dzieściu tysiącach jezior. W słynących niegdyś z młynów miastach mieszkają dziś całe pokolenia skandynawskich i niemieckich luteranów, twardych duszyczek wyciosanych z jasnego drewna, zdrowego rozsądku i miłości do Chrystusa. Większość z nich charakteryzuje się kwaśnym poczuciem humoru, typowym dla wszystkich absolwentów szkoły przetrwania, oraz bielizną termalną ze szpilkami niewyjętymi jeszcze z fałd materiału. Wszystko się tutaj starannie przykrywa, nawet jedzenie: ulubionym daniem kolacyjnym jest w tych stronach klejowata, bogata w węglowodany packa, zwana po prostu *hotdishem*, zapiekana w dużym, szczelnie nakrytym naczyniu z pyreksu. Minnesota przypomina kościelną piwnicę, w któ-

rej emeryci grają w bingo - z sufitu wiecznie coś kapie, a wywołujący numery nie ma śmiałości podnieść głosu ponad szept. Laska, która z własnej woli przyjeżdża do Minnesoty, żeby noc w noc wyskakiwać z ciuchów i ciężko pracować na wilgotne od śniegu banknoty dziesięcio-, dwudziesto- i studolarowe, cóż... Taką dziewczynę rodowity mieszkaniec Minnesoty określa eufemistycznie mianem „dziwnej”.

Tutejsze striptizerki także zdają sobie z tego sprawę. „Vegas - powtarzają jak mantrę. - Muszę jechać do Los Angeles albo do Vegas. Dopiero tam będę mogła nakościć kasy”. Czuje się jednak, że już na zawsze zostaną na północy, leżąc pod pokrywami łóżek opalających niczym pod wiekiem trumny i rozjaśniając włosy, żeby wyglądać jak świeżo po powrocie z egzotycznej plaży.

\* \* \*

W styczniu 2003 roku, kiedy byłam dziewczęciem dwudziestoczteroletnim i ogłupiałym od miejskiego życia, przeprowadziłam się do Minneapolis z mojego rodzinnego Chicago. Podobnie jak wiele innych milenijnych „samotnych serc”, poznałam mojego przyszłego chłopaka, Jonnyego, dzięki największemu światowemu złodziejowi czasu, czyli Internetowi (a konkretnie stronie poświęconej psychodelicznej twórczości zespołu Beach Boys oraz późniejszemu flirtowi Briana Wilsona z terapią radykalną i piżamową psychodramą). Wzajemne podchody rozpoczęły się z chwilą gdy ni stąd, ni zowąd Jonny przysłał mi intrygującego maila. Okazało się, że miał w swoim posiadaniu rewelacyjne pirackie nagranie Beach Boysów, niemal niemożliwą do zdobycia instrumentalną wersję *Im in Great Shape* z końca 1966 roku. O jej istnieniu wiedziała dotąd jedynie garstka milczących grubasów

z elity, a Jonny dwornie składał mi ją w darze niczym dźwiękową gardenię. Która dziewczica ceniąca swoje winyle bardziej niż własną cnotę zdołałaby się temu oprzeć? Przyjęłam ten godny małolata dowód miłości (zakodowanym, chronionym przed wirusami) omdleniem i tak zaczął się nasz romans. Błyskawicznie pozbyłam się dotychczasowego chłopaka, rzucając go tak, jak wyrzuca się wyzutą gumę Bazooka - był spoko gościem, ale ja byłam nieuleczalnie chora na Jonny'ego.

Wkrótce wysyłaliśmy do siebie zwykłą pocztą kolejne wysoce konfesyjne składanki na kasetach magnetofonowych, starannie zapakowanych w bezpieczne, bąbelkowe koperty (nic dobitniej nie wyraża prawdziwej miłości niż ręcznie opisany soniak z dymnego plastiku). Na moją prośbę Jonny przysłał mi zdjęcia, precyzyjnie wydawszy z każdego ujęcia photoshopowym narzędziem do kadrowania swoją niekochaną żonę. Godzinami wisiałam na telefonie, nabijając rachunki, które rozwijały się niczym *Wielka Księga Swobód* i opadały na podłogę równie szybko, jak mnie opadała szczęka na ich widok. Kiedy oboje uznaliśmy, że najwyższa pora na spotkanie twarzą w twarz, postanowiliśmy polecieć do Los Angeles, każde na swoją rękę, później zaś, jak prawdziwym rockandrollowym snobom przystało, spotkać się w „Whisky A Go-Go”. Byłam spanikowana i dosłownie na kilka chwil przed umówionym spotkaniem dostałam jakiejś wysypki. Na szczęście Jonny nie zauważał mojej swędzącej, krostowatej twarzy, bo gapił się wyłącznie na moje cycki. Przez resztę dnia włóczyliśmy się po Hollywood, chłając coronę extra i trzymając się za ręce, a nasze lepkie spocone dłonie wydawały się sklezione na wieki. Była to pierwsza randka jak z *Księgi rekordów Guinnessa*, z kulminacją obejmującą serię gorszących scen w hotelowym pokoju w „Marina del Rey”. Moja matka, w zrozumiałym

sposób przerażona perspektywą mojej podróży przez pół kraju samolotem na spotkanie z facetem, którego wcześniej nawet nie widziałam, przepowiedziała mi przed wyjazdem, że wrócę w worku na zwłoki. Ja zaś zamiast wrócić nogami do przodu, poleżałam trochę z nogami do góry, i to w doborowym towarzystwie.

Niedługo po powrocie z Kalifornii postanowiłam zwinąć się z Chicago na dobre. Było oczywiste, że Jonny to rewelacyjny, superancki, ekstra... po prostu prima sort materiał na faceta. Moje serce i genitalia zgodnie zdecydowały, wzywając mnie do natychmiastowej przeprowadzki do rodzinnego stanu Jonny'ego, Minnesoty. Wkrótce pilotowałam już ciężarówkę firmy zajmującej się przeprowadzkami, przejeżdżając przez kilka stanów i zatrzymując się tylko po to, aby kupić porcję rozmiękłego smażonego kurczaka i zjeść go wprost z deski rozdzielczej, parkując na zjeździe z 1-94. W Chicago nie zostawiałam wiele, nie licząc marnej posadki w firmie prawniczej zajmującej się bankructwami, w której wy-ciszona i wycofana kobieta o imieniu Louanne kazała mi segregować dokumenty. Moi rodzice przeżyli szok z powodu tej decyzji, ale ja musiałam ruszyć w drogę. Miłość jest tajemnicza i czadowa jak Steve Perry z zespołu Journey.

Zaledwie znalazłam się na obszarze metropolitalnym Bliźniaczych Miast, wprowadziłam się do mieszkania Jonny'ego. Znajdowało się ono na podmiejskim osiedlu wzniesionym w stylu kolonialnym, w niskim budynku o waniliowej elewacji i wdzięku murowanego sracza. Z zewnątrz wyglądał jak siedziba jakiegoś urzędu, trochę jak nędzna kopia Białego Domu wybudowana za psie pieniądze. W samym mieszkaniu były białe ściany, białe domowe sprzęty, „biały szum” i wykładziny w odcieniu piasków Kauai. W Chicago

mieszkałam w zaśmieconym bloku bez windy, sąsiadującym z nocnym lokalem i z ośrodkiem dla młodzieży ze skłonnościami samobójczymi. Za to w moim nowym lokum było tak cicho, że aż dzwoniło w uszach. Poczulałam się tak, jakby moje życie było tablicą, z której nagle wymazano dawne występki i wykroczenia przeciwko moralności. W Minnesocie mogłam stać się najbardziej anonimową dziewczyną na świecie. Mogłam stworzyć się na nowo jako mistrzyni lacrosse'a z Topeki, gdybym tylko chciała. Mogłam udawać, że łączy mnie coś z mafią, i pokazywać się na mieście z malusińskim maltańczykiem na rękach. Mogłam zmienić imię na Lynn, zapaść na bulimię i wyrzygiwać z siebie batoniki Zoneperfect do gadających koszy na śmieci w Ridgedale Mali. To było jak czary! Wymazałam samą siebie — jak Lisa Loeb na tamtym totalnie gejowskim teledysku.

Po dwóch dniach błąkania się po mieście jak oglupiała jakimś cudem dostałam posadę maszynistki w agencji reklamowej żywcem wziętej z filmów Kubricka - pełno tam było ryflowanej, matowej stali i monitorów. Wypełniałam ryzy papieru kretyńskimi scenariuszami programów radiowych („puste miejsca zakazane”) i patrzyłam, jak śnieg pada za oknem mojego biura na dwudziestym piątym piętrze. Płatki tak szybko waliły z warstwy siwych chmur, że nie sposób było stwierdzić, czy lecą w górę czy w dół. Tamtej zimy ochrzciłam Minneapolis Białym Miastem, bo świat wokół mnie wyglądał jak niewypełnione pole odpowiedzi na teście standaryzowanym. Nie wiedziałam tylko, że moim przeznaczeniem jest pozostawić po sobie ślad ciężki i mroczny, a moim egzaminatorem będzie Szatan.

\* \* \*



W agencji nawet mi się podobało. Korzyści z pracowania tam były następujące:

1. Duży wybór zwykłych i bezteinowych herbat, w tym jabłkowo-korzenna i pomarańczowa pekoe.
2. Copywriterzy na skuterach marki Razor nieustannie podsycający płomień mojej pogardy.
3. Dostęp do Internetu w standardzie T1, net szybki jak króliczek.
4. Znakomite *porn shui*\*.

Moje internetowe kochanie, Jonny, pokładał wielkie nadzieje w mojej karierze w Minneapolis. Było mi więc trochę głupio, kiedy zaledwie po tygodniu pobytu w Białym Mieście złapałam wirusa mutanta jakiejś szczególnie wrednej odmiany grypy. Wirus zaatakował moje nogi i musiałam czolgać się po pokojach naszego skąpo umeblowanego wynajętego gniazodka. Kiedy w końcu wróciłam do nowej pracy, wciąż jeszcze chodziłam niezbyt pewnie. Przez cały dzień kuśtykałam w tę i z powrotem między biurkiem a kserokopiarką, wszyscy zaś gapili się na mnie, jakby chcieli zapytać: „Kto zatrudnił tę kalekę?”.

Pod wszelkimi innymi względami moje pierwsze tygodnie w nowym domu były tak radosne i satysfakcyj-

\* *Porn shui* (rzeczownik) - umiejętność takiego ustawienia się w biurze lub w boksie, żeby móc niezauważenie surfować po stronach porno w Internecie. Przykład: „Mam genialne *porn shui*: siedzę przodem do korytarza, a biurko za mną stoi puste”.

nujące, jak tylko mogłabym sobie wymarzyć. Przygotowałam kiczowate kolacyjki, na przykład fondue albo pieczenie twarde jak podeszwa, gdy Jonny (od wielu lat występujący na miejscowej rockowej scenie muzycznej) loił na swoim czerwonym wiośle Epiphone axe. Trzyletnia córeczka Jonny'ego, słodka dziewczuszka z doleczkami jak u dziecięcej gwiazdy kina, nocowała u nas kilka razy w tygodniu i przynajmniej na początku wydawała się nieporuszona moim nagłym wdarciem się w szczelinę, która niedawno powstała w jej podstawowej komórce społecznej. Kiedy zostawałam sama w domu, z maniakalnym uporem usiłowałam dokończyć koszarne powieści-dło, które zaczęłam pisać jeszcze w college'u. Zainspirowana muzycznymi talentami Jonny'ego próbowałam opanować tajniki gry na basie, ale kiedy ostatecznie zgłosiłam się na przesłuchanie do miejscowego kwintetu elektropopowego, członkowie zespołu patrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym wypierdywała motyw przewodni z filmu *Mahogany*.

Boleśnie przeżyłam odrzucenie i moja gitara basowa wkrótce pokryła się grubą warstwą kurzu - przykra sprawa, bo naprawdę nie mogłam się doczekać, kiedy będę szalala z gitarą po scenie jak Kim Gordon, Kim Deal czy którakolwiek z basistek o przylizanych włosach i imieniu Kim, które były moimi idolkami, kiedy miałam naście lat. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że przez najbliższy rok wykonam mnóstwo „palcówek” przed publicznością, choć w okolicznościach zgoła innych, niż byłabym to w stanie sobie wyobrazić. (Kilka razy rzeczywiście zdarzyło mi się zrzucać ciuchy przy piosenkach Pixies, w pewnym sensie więc koło się zamknęło. Dzięki ci, Franku Black, że pozwalasz mi na pośrednie nawiązanie do *Psa andaluzyjskiego* w najmniej intelektualnym ze wszystkich możliwych środowisk.)

\* \* \*

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że żyło mi się bardzo przyjemnie. Była to egzystencja na czwórkę z plusem, ósemka na dziesięć możliwych (dwa punkty odejmując za gównianą pogodę i zabójczą gripę). Mimo to dręczył mnie jakiś niepokój, głód wrażeń, dreszczyku emocji jak u dzieciaka ukradkiem podpijającego matce sherry, którego ona używa do przyrządzania sosów. Zbliżałam się do tej drugiej, ciemnej połowy dwudziestki, ale wciąż czułam się jak nastolatka, nadal nie mogłam usiedzieć na moich czterech literach wbitych w dżinsy od Cah/ina Kleina. Wielka przeprowadzka do Minneapolis wywołała u mnie coś w rodzaju rozstroju psychicznego i miałam poczucie, że to dla mnie ostatni gwizdek, żeby porządnie narozrabiać, nie ponosząc konsekwencji jak osoba dorosła. Ostatni - bo zawsze byłam dobrze wychowaną istotą ludzką płci żeńskiej. Dowód: nigdy nie jechałam na motorze, nawet na słabiutkim motorowerze. Nigdy nie zrobiono mi dziecka, nie miałam też skrobanki. Otrzymałam wszystkie możliwe katolickie sakramenty - poza małżeńskim i ostatnim namaszczeniem. Ukończyłam college w ciągu ustawowych ośmiu semestrów (ze średnią jednego załamania nerwowego na semestr). Nigdy nie chlusnęłam nikomu w twarz szklanką Delirium Tremens. Nawet nie ukradłam szminki u Bena Franklina. Byłam prawdziwą nudziarą, kotku. Czułam, jak kłębi się we mnie chuć. Kryzys wieku pośredniego (między dwudziestką a trzydziestką) ciążył mi w żołądku jak podwójny kosmiczny cheeseburger. Przypuszczam, że to jeden z powodów, dla których wylądowałam półnaga w „Skyway Lounge”.

# Rozbieraj się!

Pewnego wieczoru, chyba już pod koniec zimy, wlokłam się na przystanek autobusowy po kolejnym odrętwiającym dniu w agencji, który spędziłam w roli przereklamowanej przystawki do komputera. Minęłam bar toples przycupnięty przy Hennepin Avenue (nawet niepozorny lokalik kuszący połowicznym negliżem zwraca uwagę jak czerwona flara) i spojrzałam na szyld, na którym zwykle widniał napis NOC AMATOREK 200\$ (czasami z dopiskiem MIASTO ROZRYWKI, z czym się nie zgadzałam). Miałam skłonność do nerwowego przemykania się przed „Skyway Lounge”, jakby sama molekularna aura tego przybytku mogła ściągnąć na mnie nieuleczalną inwazję mendoweszek\*. Tym razem jednak przystanąłam i jak ogar łapałam górny wiatr.

Sformułowanie „noc amaterek” (w stosunku do striptizu) zawsze przywodziło mi na myśl bardzo konkretny obrazek - natychmiast wyobrażałam sobie babę

\* Poza rym, gdy kiedyś byłam w Los Angeles i przechodziłam obok takiego klubu, bodajże o nazwie „Siedem Zastón”, to z cienia wyłonił się wyjątkowo obleśny facet. Syknął na mnie jak karaluch, a ja uciekłam w tych moich głupich rozkładanych sportowych butkach.

pijaną w sztok, z nogami wygiętymi w iksy, chwiejnie idącą po wybiegu w znoszonych pantoflach, i jej męża, który w tym czasie macha jej przed nosem paczką capri ultra lights i zachęca: „Dawaj, dziecinko! Mam tutaj twoje fajki! Jeszcze kilka kroczków, Deedee, i dwie stówki będą nasze!”. Striptiz jako zajęcie był mega-super-hiper, ale pomysł rozbierania się podczas amatorskiego pokazu zajeżdżał desperacją rodem z najgorszego zadupia.

Wciąż jednak byłam zaintrygowana. Wcześniej tylko raz byłam w klubie ze striptizem, jeszcze w Chicago. Był to ponury „bezalkoholowy” lokal z golizną, prowadzony przez ruską mafię, i było mi naprawdę żal dziewczyn snujących się od stołu do stołu jak somnambuliczki, z ustami zastygłymi w półuśmiechach jak u pięknych nieboszczek. Zamówiliśmy z koleżanką po prywatnym tańcu, później zaś wymieniałyśmy komiczne spojrzenia ekstazy i paniki, podczas gdy apatyczne striptizerki wprawiały biodra w ruch żyroskopowy nad okolicami naszych pachwin. Moja striptizerka, krótko obcięta androgeniczna istota w lateksowej sukience, była obojętnym i nieefektywnym źródłem ciepła. Kiedy pochylila się i rozciągnęła pośladki, żeby mrugnąć do mnie poczciwym kakaowym oczkiem, powiedziałam: „Podobają mi się twoje kozaki”. Tamto doświadczenie odcisnęło się piętnem na mojej jakże wrażliwej psychice, przez chwilę nawet próbowałam sobie wyobrazić, że to ja stoję naga w tej pachnącej krociami lustrzanej sali. Nie byłam jednak w stanie zobaczyć tego oczami wyobraźni. Byłam najprawdziwszą sztywniara, Bóg mi świadkiem.

Zalóżmy, że zdobyłabym się na nietypową dla rodziny Codych brawurę i weszłabym do „Skyway Lounge”. Nawet gdybym rzeczywiście zdobyła się na odwagę i rozebrała się do rosołu (ot tak, dla zabawy), wówczas musiałabym się wytłumaczyć niewielkiemu, choć potę-

piającemu kręgowi znajomych płci żeńskiej. Większość znanych mi dziewczyn pała do striptizerek nienawiścią o sile zarezerwowanej zwykle dla seryjnych gwałcicieli. Stworzyły nawet epitet „striptizerski”, którym określały wszystko, co uważały za beznadziejne, tandetne albo w złym guście. Na przykład: „Zostaw te striptizerskie buty, Jen. Lepiej kup te maddensy”. Albo: „Kyle rzucił mnie dla jakiejś striptizerskiej dziwki, maślaki, która kupuje ciuchy w Wet Seal”. Statystyczna dziewczyna z mojej grupy wiekowej wolałaby dać sobie wyciąć skórki tępą jednorazową maszynką do golenia „Daisy dla kobiet” niż pozwolić swojemu mężczyźnie zadawać się z gołymi babami. Tę paranoję podsycaly sensacyjne opowieści o czyichś facetach, którzy dali sobie wypolerować łaskę striptizerkom w małych miasteczkach stanu Minnesota - w Bemidji czy Mille Lacs. Nie miało znaczenia, że akt ten odbywał się na zlecenie klienta i za opłatą, uznawano bowiem z założenia, że stanowił wyłączną winę striptizerki, która ośmieliła się zabawić z trudem wywalczonego penisa, stanowiącego własność innej dziewczyny. Poza tym wiele striptizerek miało sztuczne cycki, co uważano za zdradę płci pięknej i za coś szalenie niepraktycznego, zważywszy na miejscowy klimat.

- Chyba nie zamarzają? - zastanawiała się na głos jedna z moich koleżanek. - Jakoś sobie nie wyobrażam, że mogłabym łowić szczupaki z cyckami pełnymi lodowej kaszy.

Z nieznanymi mi przyczyn nie czułam tak zapiekłej niechęci do striptizerek. Uważałam je za współczesne tancerki, dzisiejsze „dziewczęta z kantyny”, tylko wyposażone w nadludzkich rozmiarów cycki. Słyszałam, że striptizerki są niezwykle hojnie wynagradzane za okazywane atencje, trudno mi więc było uwierzyć, że naprawdę mogłyby być zainteresowane odbiciem komuś chłopaka,

męża czy nawet jednorazową podrywką. Uważałam, że nawet te naprawdę wredne striptizerki, które posunęły się do zrobienia komuś loda, w gruncie rzeczy po prostu dawały z siebie sto dziesięć procent, pozostając w pracy. Poza tym w skrytości ducha myślałam o striptizerkach trochę jak o członkiniach strzeżonej przed niewtajemniczonymi siostrzanej organizacji, które w garderobie spią prześmiesznymi świńskimi kawałami, pożyczają sobie nawzajem kostiumy, płuczą gardła tanquerayem, a w wolne wieczory jedna drugiej odbierają porody. Nie wierzyłam, żeby kobiety żyjące z paradowania przed facetami na golasa mogły się okazać wredne albo pełne nienawiści. Musiały lgnąć do siebie nawzajem w swojej bezbronności, jak inaczej mogłyby przeżyć wśród wszystkich tych obcych facetów o zaślinionych mordach?

Kiedy tak stałam przed „Skyway Lounge”, czułam, że coś ciągnie mnie do wykuszowego okna o zaciemnionych szybach. Serce waliło mi o żebra w speedmetalowym rytmie. Chciałam znaleźć się w środku, stać się częścią tej polyskliwej grupy kobiet, które wiedziały, że nie powinny tam wchodzić, lecz mimo to jednak wchodziły. Nie miało dla mnie znaczenia, że jestem czyjąś dziewczyną, czyjąś córką czy czyjąś prawie macochą albo nawet czymś pracownikiem. Chciałam schronić się w tej zawilgłej ciemności, pełnej drożdżowego zapaszku, ukryta przed oślepiającą bielą śniegu i średniej jasności papieru do drukarki, przed segregatorami o ostrych krawędziach, które cięły mnie po palcach. Chciałam wmaszerować do tego podrzędnego baru z toplesem i obnażyć się przed jego klientelą - podejrzanymi typami w zimowych kurtkach i z kominiarkami na głowach, wślizgującymi się do środka i wymykającymi ukradkiem w równych odstępach czasu. Zrobiłam więc kilka głębszych, pełnych namysłu wdechów, po czym weszłam do środka jak największa kretyńka.

Powiem szczerze, że nie mogłabym czytać czyichś wspomnień, nie wiedząc dokładnie, jak autor lub autorka wyglądali na każdym etapie fabuły. A zatem proszę: do baru wchodzi laska okutana zimowymi welnianymi ciuchami, typowymi dla wszystkich zdrowych psychicznie mieszkańców stanu graniczącego z Kanadą, w którym każda odsłonięta głowa błyskawicznie zostaje pokryta warstewką mniej lub bardziej zmrożonego opadu atmosferycznego. Byłam chuda (jak wiele neurotyczek), miałam blade, słabe ciało kogoś, kto lubi siedzieć przy komputerze, a odczuwa wstręt do cardio boxingu. Moje ciemne włosy strzygłam krótko, „pod garnek”, paznokcie ogryzłam w półksiężycy zmierzające ku fazie nowiu, makijaż zaś już dawno spłynął ze śnieżną breją lejącą się z nieba. W kategorii typowego striptizerskiego szyku plasowałam się o jakieś dwa tysiące lat świetlnych na północny wschód od Pameli Anderson.

- Hej! - powitałam bramkarza, zarośniętego szpakowatego miśka z gębą, jakiej człowiek może się spodziewać u wykidajły w barze z golizną. Wyglądał na gościa prowadzącego skromny warsztat naprawy łodzi, dopóki Betty Anne się z nim nie rozwiodła, a później... Cóż, sami wiecie, jak to bywa.

- Czego chcesz? - rzucił przez siwiejące wąsy. Z powodu tej wątpliwej ozdoby jego pocałunki miały pewnie smak Bac-Os albo wyspanych lebków rakowych. W każdym razie czegoś obrzydliwego i słonawego.

- Ja na Noc Amatorek.

- Tak? - zapytał z nieukrywanym niedowierzaniem. Był to pierwszy (lecz z całą pewnością nie ostatni) raz, kiedy ktoś dawał mi do zrozumienia, że wcale na tancerkę egzotyczną nie wyglądam.



- Owszem! - powiedziałam z uporem. „Owszem, chcę zrzucić z siebie ciuchy, ty tłusciochu!” - pomyślałam.

Misiowaty przyjrzał się mojej długiej patchworkowej spódnicy i skórzanym mokasynom mokrym od śniegu. Wyglądałam, jakbym wracała z gościnnych wykładów w Feministycznym College'u dla Kobiet w Oberlin (ewentualnie w Stowarzyszeniu Transseksualnych Garnarzy).

- Naprawdę myślisz, że mogłabyś tam wejść i się rozebrać? Ty...?

Wskazał scenę, na której przysadzista Latynoska mowiała się z mosiężną rurą. Nagle okręciła się na pięcie, demonstrując bliznę po cesarce na brzuchu, czerwoną jak mięso lososia pacyficznego. Przez moment obserwowałam tancerkę i podziwiałam jej piętnastocentymetrowe obcasy na dostatecznie solidnych platformach, żeby pomieścić lawicę bojowników w każdym przezroczystym obcasie. Lekcja pierwsza: w odpowiednim obuwiu nawet po świeżym połogu można wyglądać ponętnie. Zapisałam ten obrazek w pamięci.

- Pewnie - przytaknęłam. - Jasna sprawa. Szukacie właśnie takich lasek jak ja.

- Pokażesz mi swoje cialko? - zapytał lubieżnie Misiowaty.

Z westchnieniem przelamałam pierwsze z wielu zahamowań, z którymi się borykałam jako właścicielka nie do końca doskonałej figury - zdjęłam długi zimowy płaszcz i zademonstrowałam swoje (całkowicie odziane) ciało. Byłam biodrzasta, figurą przypominałam gitarę basową marki Gretsch, ale poza tym prezentowałam się całkiem znośnie. Nie miałam świeżych blizn ani chromosomów Y, a mój podręcznikowy uśmiech świadczył o latach oddziaływania ortodoncji w sterylnie białych gabinetach mojego dzieciństwa.

Misiowaty wciąż miał wątpliwości.

- Możesz mi pokazać? - powtórzył z naciskiem, a jego tłuściutkie piersi zafalowały niczym jedwabiste tofu.

- Niby taki casting? Ale ja nie mam co na siebie włożyć - pisałam. Oczekiwał, że go przelecę? To znaczy, widziałam mnóstwo filmów porno ze scenami z takich castingów. Wiedziałam, czym to się kończy, a nie miałam zamiaru dosiadać tego Misia Grizzly w jakiejś zagraconej pakamerze.

I tak zmięte już oblicze Misiaczka pomarszczyło się jeszcze bardziej, a on sam wydawał się wysoce rozdrażniony moim dziewiczym oporem przed rozebraniem się i ujeżdżaniem niczym mistrzyni rodeo.

- Tak, niby taki casting...

- Nie mam przy sobie stroju scenicznego - odparłam. - Jeszcze nie kupiłam odpowiednich ciuchów. Chciałam się tylko zapisać na Noc Amatorek. To w czwartek, zgadza się?

- Tak - przyznał zrezygnowany Misiaczek. - To przyjdź, i tyle.

Opuściłam lokal z uczuciem lekkiego niesmaku po dwuznacznej rozmowie z Misiaczkiem, ale sam idiotyczny, powzięty pod wpływem impulsu pomysł zrobienia striptizu dalej mi się podobał. Wieczorem, kiedy w domu oglądaliśmy z Jonnym *Doktora Who*, powiedziałam mu o swoich planach. Jonny był zaskoczony tym nietuzinkowym pomysłem, ale natychmiast mu przyklasnął. Serio - nawet oko mu nie drgnęło. Zupełnie jakbym oznajmiła, że chcę wydawać zupę rybną w miejscowym schronisku dla kobiet albo że zapisuję się na jogę *vinyasa*, a nie że zamierzam robić striptiz w barze toples znajdującym się niecałe dwie przecznice od naszych miejsc pracy. Uwielbiam tego faceta, bo jest luzakiem do entej potęgi.

- Wystąpisz w Nocy Amatorek w „Skyway”? Moim zdaniem pomysł jest super - rzekł Jonny. - Musisz poćwiczyć przy mnie. Koniecznie chcę zobaczyć, jak zamierzasz się tam pokazać.

- Szkoda, że nie możesz przy tym być - powiedzia-  
łam. — To w czwartek.

W czwartki zwykle nocowała u nas córka Jonny'ego i nie sądziłam, żeby moje publiczne „marcowanie się” na golasa miało okazać się ważniejsze od jego obowiązków rodzicielskich. To jedna z „rzeczy, których tatusio-  
wie robić nie powinni”, a występki przeciwko tej liście prowadzą ich zazwyczaj do dwóch sesji psychoterapii tygodniowo.

- Tak, rzeczywiście - przypomniał sobie Jonny i mina mu zrzedła.

- Nie przejmuj się! - pocieszyłam go. - Dam so-  
bie radę.

Szczerze mówiąc, wolałam, żeby go tam nie było. Striptiz, z natury będący występem publicznym, wyda-  
wał mi się czymś niezwykle intymnym. Poza tym gdybym miała się poślizgnąć i rąbnąć czterema literami o scenę, wolałabym, żeby nie stało się to na oczach mojego ape-  
tycznego chłopca z Internetu.

\* \* \*

Następnego wieczoru brnęłam przez podmarzniętą śnie-  
gową breję w kierunku sklepu dla tancerek egzotycznych w południowej części Minneapolis. O dziwo, w mie-  
ście kojarzącym się ze śmierzdzącymi kaloszami, z asor-  
tymentem bawełnianych koszulek ze zdjęciami tutejszej  
kapeli Hiisker Dii oraz ośnieżonymi jednopalczastymi  
rękawiczkami, działają co najmniej cztery sklepy, które  
mają zaspokoić potrzeby zdumiewająco licznej grupy

striptizerek. Ten, do którego się wybrałam, należał do przedsiębiorczej bylej girlaski, która nawet nie stwarzała pozorów, że handluje bielizną - oferta była skierowana wyłącznie do pracujących dziewczyn najróżniejszej maści. Wcześniej mijałam go kilka razy, idąc do Arbys, i zawsze zerkalam przez okno na schludnie poustawiane pudła pantofli na platformach firmy Ellie\*, gabloty pełne pseudotureckich łańcuszków do noszenia w tali, a także na ekspedientów gejów w jednoczęściowych siatkowych kombinezonach. Dzisiaj, okrutnie pocąc się pod halką, zamiast gapić się przez okno, śmiało weszłam do środka.

Wieszaki stanowiły kłębowisko fluorescencyjnej liry, metalicznych cekinów i zwierzęcych wzorów, troczki, paski i najróżniejsze frędzelki kołysały się u kostiumów niczym parzydelka egzotycznej meduzy. W takim sklepie dziewczyna może się stać, kim tylko chce, od Cher z ery Mackiego po Cheetarę z *Gromokotów*. Mieli tam bikini tak małe, maciupęńkie, takie tyciu-, tyciusieńkie, że prawie go nie było. Mieli astronomicznie drogie suknie w czerni, różu i oranżach dla tych dziewcząt, które rozbrajały się w ekskluzywnych kabaretach i klubach. Wybór stringów był taki, że zawsze można było coś znaleźć, nawet do najdziwniejszej klubowej kreacji. Wymyśliłam nawet nazwy dla tych zwracających uwagę: „Cekinowa Tygrysica”, „Symfonia na *chartreuse* i ochrę” oraz „A ty lśnij, cyrkonio szalona”.

Wszystko było niewyobrażalnie małe. Coś mi mówiło, że moje grube dupsko skuteczniej poradziłoby

\* Producent niewiarygodnie wręcz wygodnych butów dla striptizerek - przysięgam, że para ellies daje lepsze podparcie łukom stóp niż jakieś tam easy spirits. Słowo daję, grałabym w nich w koszykówkę, gdybym nie cierpiała na chroniczny lęk przed zadeptaniem swoich okularów.

sobie z tak delikatnym towarem niż profesjonalny nóż do przecinania szwów. Z kieckami było źle, ale lejące poliestrowe spodnie dla striptizerek szyto już chyba dla liliputa. Przysięgam, że miałam kiedyś lalkę o imieniu Kruszyńka, którą ubierałam w spodnie znacznie większe niż te do kupienia w tym sklepie. Niestety potrzebowałam czegoś znacznie większego od rozmiaru XXS, żeby ukryć nadmiar tłuszczu i niewygyminastykowane pośladki. Zamierzałam założyć zwykły czarny top na ramiączkach i mini ze sztucznej skóry, którą znalazłam wcześniej wśród własnych ubrań w domu - sprawę stroju scenicznego-miałam więc, może i byle jak, ale jednak załatwioną. Dokupiłam tylko najsolidniej wyglądające, odporne na macanie czarne stringi, czarne boa z piór oraz parę lechtaczkoworóżowych butów na dwunastocentymetrowych platformach z licytu i z paseczkami błyszczącymi od cekinów. Kiedy zapłaciłam za to czterdzieści pięć dolarów i wyszłam ze sklepu, czułam się jak zwykła dziwka. I był to najlepszy dzień mojego życia.

Wróciłam do mieszkania, włączyłam numer *Hysteria* Def Leppard (jeśli ten kawałek nie został napisany z myślą o striptizerkach, to ja już naprawdę nic nie wiem o tym świecie) i ćwiczyłam chodzenie na tych niebotycznych obcasach po całym mieszkaniu. Pierwsze kroki stawałam z wdziękiem rehabilitowanego inwalidy. Nie byłam pewna, jak właściwie powinny poruszać się striptizerki, próbowałam więc naśladować Bobbi Brown - zwyciężczynię *Star Search*, modelkę, rzeczniczkę i ulubioną dupę kapeli Warrant. W kultowym teledysku *Cherry Pie* Bobbi olśniewa zasłoną platynowych włosów, zaciśniętymi matowoczerwonymi ustami, które wyglądają jak nastrzyknięte trupim tłuszczem, i łapie upadający kawałek tytułowego wiśniowego placka igrekokształtnym kroczeniem. Nie miałam takich włosów, takich ust ani czarodziejskiej

cipki-żonglerki zdolnej do chwywania w locie kawalków ciasta, ale wydymanie ust, robienie drobnych kroczków i wymachiwanie lokciami w stylu Micka Jaggera miałam opanowane dzięki latom potajemnych ćwiczeń. Na stronie internetowej, którą ukradkiem przeglądałam w pracy, wyczytałam, że striptizerki powinny poruszać się powoli, ale ja byłam przekonana, że faceci wolą od śniętej ryby wariatkę szalejącą na szpilkach. W swojej naiwności sądziłam, że wiem, co jest seksowne. Mimo to przeczuwałam, że mój wrodzony brak koordynacji ruchowej może okazać się trudny do przewyciężenia. Galopując z aneksu kuchennego do salonu, poobijałam sobie kostki sięgającymi stratosfery obcasami, zahaczając nimi o grubą wykładzinę. Zaczynałam się zastanawiać, czy w ogóle zdołam przeżyć Noc Amatorek, nie łamiąc sobie kości ogonowej i nie skazując się na przesiadywanie do końca mojej kariery zawodowej na dmuchanej poduszce typu „oponka”.

# Szmaciana lalka

Czwartek nadszedł aż za szybko - długie zimy na północy skąpią godzin światła, a dni zlewają się niczym krople plazmy w minutniku do gotowania jajek. W pracy wpisywałam skrypty nieśmiesznych reklam radiowych i porykiwałam wymuszonym rechotem, żeby zrobić przyjemność copywriterowi. Zastanawiałam się, jak zareagowałiby moi koledzy z pracy, gdyby się dowiedzieli, że znalazła się wśród nich czarna owca, planująca rozebranie się przed nieznanymi w podrzędnej spelunie popularnej wśród kierowców autobusów. Na bank byliby zgorzeleni. Babki chichotałyby po kątach niczym Betty Rubble, faceci uznaliby mnie w najlepszym razie za wariatkę, w najgorszym za dziwkę. Ja zaś po raz pierwszy od eonów lat miałam poczucie, że nie jestem taka najgorsza.

Po pracy wstąpiłam do domu i drżącymi rękami wepchnęłam do torby swoje striptizerskie akcesoria. Za szybko wróciłam do śródmieścia i próbowałam zabić czas, kręcąc się po salonie księgarskim, w którym roilo się od samotnych geriatryków i zagranicznych studentów. Ręce mi się trzęsły, kiedy kartkowałam numer „Jane” i popijałam obłudnie zareklamowaną mi moche

z bitą śmietaną. Jak w każdym innym lokalu w śródmieściu Minneapolis, o dwudziestej pierwszej wygaszono w księgarni światła i zamknięto jej podwoje, byłam więc zmuszona udać się do baru.

Zadymione powietrze w „Skyway Lounge” miało kolor naprawdę paskudnego sińca. Wieczorna zmianna pracowała pełną parą. Striptizerka we fluorescencyjnym bikini przemierzała scenę, krzywiąc się do każdego, kto śmiało odwrócić wzrok. Wyczuwało się wiszącą w powietrzu zupełną obojętność. Stawilam się u frontowych drzwi i stwierdziłam z ulgą, że Misia Grizzly nie ma w pobliżu.\*

- Ja na Noc Amatorek - wyjaśniłam urzędującemu w szatni facetowi, który wyglądał na menedżera. Był to pierwszy z rozlicznych, niepokojąco gładko ogolonych młodych mężczyzn, których miałam spotkać w tej branży. Prawdziwi garniturowcy, pod krawatami, jasnowłosi synowie biznesu porno. Nie mam pojęcia, jakim cudem ci gładkolicy absolwenci kończą jako poganiacze bydła w klubie go-go. Już nie ma marnych posadek przy sprzedaży kopiarek czy co?

- Super - odparł mężczyzno-chłopiec, podając mi kartkę na podkładce z klipsem. (Jestem przekonana, że około osiemdziesięciu procent wszystkich podkładek z klipsami wyprodukowanych na świecie trafia ostatecznie do klubów ze striptizem, walają się w nich bowiem wszędzie.)

- Dopisz do listy swój pseudonim sceniczny.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym dopisałam „Bonbon” na końcu listy. Uważałam to za świetny dowcip.

- W porządku, Bonbon, damy ci znać, kiedy masz iść do przebieralni - poinformował mnie mężczyzno-chłopiec.

- Tak przy okazji, śmiało możesz strzelić sobie drinka, jeśli jesteś pełnoletnia.



*Mais bien sur!* Przycisnęłam się brzuchem do baru, rzuciłam na ziemię sportową torbę z kostiumem i butami, po czym zamówiłam kufel piwka. Kiedy barman sprawdzał mój dowód, zauważyłam grupkę rozczulająco dziewczęcych striptizerek, które popijały napoje bezalkoholowe i paliły papierosy przy kontuarze. Jedna z nich miała skąpe figi i włosy zaplecione w dwa koślawe war-koczyki. Drgnęła i pisnęła z bólu, kiedy przechodzący klient ścisnął jej pierś. Nagle dotarło do mnie, że jestem jedną ze starszych, jeśli nie najstarszą uczestniczką tego chorego konkursu dla niewińatek. Ta myśl podziałała na mnie jak kubel zimnej wody. Miałam dwadzieścia cztery lata i rzadko bywałam najstarsza gdziekolwiek. W agencji reklamowej uważano mnie właściwie za ośeska przy piersi, a tu proszę - oto stoję wśród ubranych w lycrę nastolatek wydechających cumulonimbusy mentolowego dymu prosto w półmrok. Gapily się na moją sportową torbę z mieszaniną wrogości i zaciekawienia, było dla nich oczywiste, że nie jestem klientką, ale uczestniczką dzisiejszego turnieju toples. Pozdrowiłam je skinieniem głowy, po czym rozejrzałam się po sali w poszukiwaniu innych potencjalnych rywalek.

Do baru wpadł powiew lodowatego powietrza, po czym do środka weszła dziewczyna holująca walizę wielkości wanny. Miała cienkie włosy barwy ketchupu, twarz wielkanocnego zajączka, niesamowicie krzywe zęby i taką minę, jakby zgubiła uśmiech gdzieś między Nicollet Mail a Hennepin Avenue. Co dziwne, była atrakcyjna w taki sam sposób, w jaki atrakcyjne bywa komornicze zajęcie przyczepy. Ostentacyjnie dociągnęła wybrzuszoną walizę do stolika, po czym oparła się brzuchem o bar.

- Masz fajkę? - zapytała mnie.

- Nie palę - odparłam przepraszająco. - Tylko piję. Za to litrami.

-Ja jeszcze nie mogę pić - powiedziała dziewczyna, ukazując w uśmiechu zęby jak ze zdjęcia „sprzed” w gabinecie ortodonta. - Mam dopiero dziewiętnaście lat. - Zauważyła moją torbę. - Ty też na Noc Amatorek?

- Aha - przytaknęłam z nadzieją, że będę mogła współczuć koleżance neofitce. - Ale jestem zdenerwowana. Normalnie świruję. Ty też?

- Gdzie tam, ja nie. Rozbieram się od dwóch lat i jeszcze nie było takiej Nocy Amatorek, której bym nie wygrała - zapewniła dziewczyna, błyskając cynobrowymi działelkami.

\* \* \*

Striptizerka na scenie zdążyła ściągnąć stanik fluoryzującego w ultrafiolecie bikini i zaczęła obrzucać wyzwiskami apatyczny tłum.

-Jestem goła, kurwa wasza mać! - wrzasnęła. - Moglibyście chociaż na mnie spojrzeć! - Łysiejący facet przy balustradzie\* zagulgotał radośnie - zabrzmiało to tak, jak gdyby ktoś przygotowywał koktajl nikotynowy w jego gardle.

Niebawem u podnóża schodów - według wszelkich znaków na niebie i ziemi prowadzących do garderoby - pojawiła się jakaś kobieta trzymająca podkładkę z klipsem.

- Wszystkie uczestniczki Nocy Amatorek są proszone o udanie się na górę i o przygotowanie się do występu! - zawołała, chwytając się pod boki.

Było nas siedem. Zagnano nas do słabo oświetlonego pomieszczenia z niskim sufitem, zbliżonego wielkością

\* Balustrada - miejsca położone najbliżej i (lub) otaczające wybieg. Balustrada może tam być, ale nie musi.

do pudełka chusteczek higienicznych w wersji podróżnej. Kobieta trzymająca podkładkę z klipsem przedstawiła się jako opiekunka domu\*. Wredny babsztyl, specjalistka od zagarniania kasy ubrana w przecierane džinsy i z marszem na czole, jakimś cudem wyglądająca równocześnie na piętnaście i pięćdziesiąt lat. Swoje już przeżyła. Obejrzała nas przelotnie, po czym podała podstawowe zasady konkursu:

1. Żadnego dotykania klientów podczas występu. (Nie żeby mnie kusilo - większość facetów wyglądała na garbatych i dotkniętych szkorbutem, jakby całymi dniami kopcili dorale, chlali tanią brandy i żarli pikantne chipsy Andy'ego Cappa.)
2. Żadnego odsuwania stringów na bok, żeby błysnąć towarem. (Też coś! Przecież tak marzyłam o zademonstrowaniu wszystkim mojej brochy gratis.)
3. Żadnego wychylania się za balustradę po napiewki. (Teraz zasada ta wydaje mi się dziwna, później bowiem pracowałam w klubach, w których dziewczyny dosłownie robiły gwiazdę na balustradzie, żeby zarobić dodatkowego dolara.)

\* **Opiekunka domu, mamuśka** - kobieta zatrudniona w klubie ze striptizem, której praca polega na rozwiązywaniu sporów, zarządzaniu wszystkim, co dzieje się za sceną, przykładaniu defibrylatora do obfitych piersi striptizerek, które przedawkowały, oraz wykonywaniu innych pilnych prac, zależnie od potrzeb. Zazwyczaj opiekunką domu jest była striptizerka.

Następnie mamuśka rozdała „akta osobowe”, które okazały się krótkimi kwestionariuszami do wypełnienia, pytano w nich o nasze hobby (szydełkowanie? decoupage?) oraz ulubione pozycje seksualne („na jeżdźca tyłem”, „klocek na twarzy”?). Miałyśmy je wypełnić i oddać didżejowi, a kiedy my będziemy na scenie, on zaprezentuje te fascynujące informacje publice.

Jedna z uczestniczek - podpita kopia Venus Williams, która przedstawiała się jako Destinee - najwyraźniej nie radziła sobie z kwestionariuszem. Przyglądała się pytaniom, poprawiając swoje koronkowe body, gdyż właśnie dostała miesiączki.

- Nie umiem tego przeczytać. Czy ktoś mi pomoże to wypełnić? - odezwała się, manewrując zwiniętym kawałkiem jednowarstwowego papieru toaletowego w taki sposób, żeby wchłonął krew lejącą się z niej z siłą powodzi w Meksyku. Przeczytałam jej pytania, ale widziałam, że mnie nie słucha. Wzrok miała pusty i pozbawiony wyrazu, zajęta strumyczkiem krwi ze skrzepami, który sypał jej w luźno złączone dłonie. Szybko wypełniłam za nią formularz zmyślonymi odpowiedziami. Napisałam, zdaje się, że zawsze chciała grać na harfie koncertowej.

Kayla - ruda dziewczyna, z którą wcześniej rozmawiałam - stała nago przed lustrem garderoby, z dumą trzymając się za malusieńkie piersi. Wyglądała, jakby ważyła niespełna trzydzieści kilogramów: przez przezroczyste ciało wyraźnie było widać dwie kolumny żeber. Przypominała mi szklany model kobiety z Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago, której system naczyń i tkanki sutka zaczynały świecić, gdy przycisnęło się odpowiedni przycisk.

- Dopiero co urodziłam, a widzicie, jak dobrze wyglądam? - przechwalała się Kayla, klepiąc się po zapad-

niętym brzuchu. Pozostałe nie zwróciły na nią uwagi i dalej przebierały się w wysłużoną bieliznę.

Śliska, niezwykle atrakcyjna młoda Murzynka, która błyszczała niczym pionek szachowy i mówiła o sobie per „Mystic”, pochwaliła się, że przez ostatni tydzień zarobiła striptizem całe trzy koła. Kiedy drapowałam sobie boa z piór na ramionach, popatrzyła na mnie chłodnym wzrokiem.

- Wyglądasz na laskę z klasą - oznajmiła. - Powinnaś tańczyć w lepszym lokalu, chociażby w „Schieks”. Czasami tam pracuję i zawsze się obłowię.

Wymamrotałam zza boa słowa podziękii i wyplulałam piórko.

Dotarło do mnie, że to wcale nie są amatorki. Po chwili rozmowy już wiedziałam, że w naszej kolorowej bandzie są jedynie dwie autentyczne nowicjuszki: ja oraz drżąca nastoletnia Azjatka, która przyprowadziła co najmniej piętnaście koleżanek jako wsparcie moralne. Pozostałe uczestniczki to profesjonalistki, które pracowały w innych klubach ze striptizem i które zgłaszały się na podobne konkursy dla łatwej kasy. Ja pierdziele! Nieskoordynowana, osamotniona i w oczywisty sposób już nie w kwiecie wieku, czułam się skazana na klęskę.

Mimo wszystko zdziwiło mnie, jak przeciętne były te dziewczyny. Zawsze wyobrażałam sobie wszystkie striptizerki jako umięśnione, perfekcyjnie umalowane potomkinie Jezebel, genetycznie doskonale i roztaczające rozkoszną woń perfum „Passion” Becky Taylor. W złotawym świetle garderoby widziałam jednak paznokcie ogryzione do żywego mięsa, kolczaste jak jeże wargi sromowe, piersi obwisłe niczym znoszone sportowe skarpety, ciała najróżniejszych marek i modeli - od solidnych syrenich kształtów po zupełnie wraki. Znajdowałam się co prawda w popularnym wśród robotników barze ze

striptizem, funkcjonującym w jednym z najmniej rozrywkowych stanów w kraju, ale bez przesady! Jeśli takie paszczaki mogą się rozebrać, nie odstraszać klientów, to ja spokojnie mogę zrobić striptiz bez obawy, że zostanie przepędzona ze sceny przez rozjuszony motloch. Poczulałam się odrobinę pewniej.

\* \* \*

Wręczyłyśmy nasze akta personalne didżejowi (miałam mało czasu na wypełnienie swojego formularza, bo pomagałam Destinee) i zeszałam po karkołomnie stromych schodach na parter. Wątpliwe zawody miały się właśnie rozpocząć i goście, coraz bardziej ożywieni, zaczęli gromadzić się przy scenie.

Wszystko stało się bardzo szybko: wyszałam na scenę druga, po zaskakująco dystyngowanej Destinee (która jak się okazało, wreszcie poradziła sobie z tą miesiączką). Zrobiłam głęboki wdech, po czym galopowałam po scenie w rytmie numeru *Ragdoll* zespołu Aerosmith. Martwiłam się, jak to będzie z moją równowagą na zabójczo wysokich różowych platformach, przylgnęłam więc do rury i kręciłam biodrami jak Cyganka. Na wejściu zdarłam z siebie górę, żeby mieć to już za sobą. Faceci przy balustradzie wydawali się zainteresowani (w sposób, w jaki interesujące bywa gapienie się na czyjeś cycki), ktoś nawet popchnął w moim kierunku po scenie kilka banknotów\*. Kiedy heroicznie zarzuciłam boa z piór za głowę, zaczęłam się wpatrywać w swoje

\* **Kojarzycie kawałek *Tangled Up in Blue*, w którym Dylan śpiewa o wizycie w barze z toplosem i o wpatrywaniu się w twarz jakiejś dziewczyny? Kłamał. Kiedy jesteś goła, nikt nie patrzy na twoją twarz - nawet tacy mili żydowscy chłopcy jak Zimmy!**

nagie cycki, jakbym sama nie mogła uwierzyć, że wciąż są na miejscu. Nie zdziwiłabym się, gdyby obróciły się w proch w chwili, kiedy padło na nie światło, zupełnie jak ciała wampirów przemocą wyciągniętych z trumien w samo południe.

Nie bez trudu ściągnęłam z siebie skajową mini, jednym wymachem nogi posłałam ją na balustradę, po czym przeparadowałam przez całą długość wybiegu w moich kuloodpornych stringach.

- Poznajcie Bonbon! - zagrzmiał głos didżeja gdzieś ponad muzyką. - Jej hobby to IMPREZOWANIE i ROBNIENIE LODA! Jej ulubiona pozycja seksualna to ABSOLUTNIE KAŻDA!

Uśmiechnęłam się głupkowato do lubieżnej klienteli i wzruszyłam ramionami, jakbym mówiła: „Co mam powiedzieć? Ja naprawdę jestem nieuleczalną nimfomanką!”. Do balustrady przysunął się niechlujnie ubrany mężczyzna i położył na scenie pięciodolarowy banknot.

- Powinnaś wygrać! - syknął przez brodę a la ZZ Top.

Ośmielona pochwałą przybrudzonego, ale zawsze, wielbiciela moich wdzięków, postanowiłam pokusić się o sztuczkę przy rurze. Wcześniej podpatrzyłam, jak doświadczone striptizerki wykonują naprawdę niezwykłe ewolucje, godne Latającego Cyrku Wallendów, i byłam przekonana, że to nie może być takie znowu trudne. Co prawda jeden z Wallendów zginął podczas takiego numeru, ale co tam... Spróbowałam zaczepić się nogą o rurę i obrócić, ale zahaczyłam obcasem i utknęłam z rurą między obcasem a podeszwą. Przez kilka najbliższych gorączkowych sekund (miałam wrażenie, że trwało to całe lata) usiłowałam uwolnić nogę, a publika i inne tancerki wprost ryczeli ze śmiechu. „Niech to szlag!”.

W końcu udało mi się odczepić obcas od rury i do-kończyłam układ z wypiekami na twarzy. Dziwnie się czułam, stojąc nago na scenie, bo zawsze byłam z tych dziewczyn, które pieprzą się po ciemku. Rozbrzmiał niemrawy aplauz, kilka kłaśnieć niczym pierwsze pękające ziarna popcornu, i czmychnęłam ze sceny, zasłaniając przed gapiami piersi, jakby były dziećmi kogoś sławnego.

Reszta konkursu zleciała błyskawicznie. Oglądając występy rywalek, zdałam sobie sprawę, że byłam dotąd beznadziejną\*ignorantką, jeśli chodzi o trendy w tańcu egzotycznym.

Wszystkie pozostałe zawodniczki kładły się na plecach i rozkładały nogi tak szeroko, że mogłyby wystąpić w charakterze żywej ilustracji na lekcji o budowie kobiecych organów rozrodczych, gdyby zepsuł się rzutnik albo zaginęły slajdy. Nazywało się to „pracą na podłodze” albo, z angielska, *floorworkiem* (określenie, które budziło niestosownie „olimpijskie” skojarzenia jak na pokaz **0** tak niskim poziomie trudności) i wywoływało pełne uznania gwizdy posiadaczy penisów, z myślą o których robiliśmy te ewolucje. Oprócz tego nikt oprócz mnie nie uśmiechał się podczas występu - inne laski skłaniały się raczej ku minom oscylującym od półprzytomności jak po prochach nasennych po palącą nienawiść.

Ku mojemu rozczarowaniu finał konkursu miał niewiele wspólnego z finałami wyborów miss (a ja już widziałam się na scenie z pękiem różowym peonii 1 z diademem ze sztucznych brylantów przypiętym do ciemnych włosów). Ustawiliśmy się w szeregu na scenie, didżej zaś oznajmił, że wygra ta, która zbierze najgłośniejsze brawa. (Wystąpiłam z szeregu przy apatycznym aplauzie, dorzuciłam kopniaka w stylu kung-fu w ramach ostatniej próby zrobienia wraże-



nia na publiczności, ale to co usłyszałam, trudno było nazwać burzliwą owacją.) Z palcem w nosie wygrała smukła jak labędź młoda Azjatka, która przyprowadziła ze sobą sekcję dopingującą godną meczu hokejowego Bruinsów. Pozostałe dziewczyny podąsały się trochę, po czym kolysząc biodrami, zeszły ze sceny równiutko jak na musztrze. Nie za bardzo przejęłam się przegraną. Chciałam się tylko ubrać i pójść gdzieś, gdzie nie śmierdzi.

W garderobie Kayla wpadła w szal. Zrobiła się czerwona na twarzy jak gwizdek parowy i tupiała plastikowymi kopytkami niczym koń, który umie liczyć.

- Jeszcze nigdy nie przegrałam Nocy Amatorek - wysapała. - Powinnam była więcej podziałać w parterze. Normalnie to zakładam nogi za szyję i liżę sobie szparę. Faceci to uwielbiają. Ale dzisiaj nie brałam vico-dinu, nie dałabym więc rady.

- Nie martw się. Następnym razem na pewno sobie wyliżesz - pocieszyłam ją.

\* \* \*

Przebrałam się w zwykły, niezobowiązujący biurowy uniform (który ktoś bezceremonialnie zmiął i cisnął w kąt), wyszłam na zewnątrz i złapałam taksówkę. Kiedy wreszcie znalazłam się w pomalowanym na odcień ecru łonie mojego mieszkania, Jonny i jego córeczka spali w swoich pokojach. Słyszałam jej nieregularny dziecięcy oddech i jego chrapanie, jakby ktoś coś piłował. Dywan w salonie zaśmiecały typowo dziewczęce zabawki, w tym kilka rozebranych Barbie, których orgietka zakończyła się częściowym rozczłonkowaniem uczestniczek. Na stole kuchennym stał karton soku z wysysanym ze środka po-

wietrzeni - obrazek, który zawsze kojarzył się z dzieciństwem i niewinnością. Wciąż byłam rozdygotana, ale tu, w domu, czułam się bezpieczna, jak gdybym schroniła się w podziemnym bunkrze po gwałtownej eksplozji w atolu Bikini.

Kiedy byłam dzieckiem, miałam bardzo szczegółowy globus, który dostarczał mi zajęć na wiele godzin, kiedy akurat nie było nic ciekawego w telewizji. Obwodziłam palcem kontury małych reliefowych państek i marzyłam o dniu, kiedy będę mogła podróżować do takich odległych miejsc, jak NRD, ZSRR i Bejrut w Libanie (gdzie jak sądziłam, produkowano batoniki Baby Ruth). Równik był zaznaczony wąskim paskiem szkarłatnej taśmy, która obejmowała globus w najszerszym miejscu. Kiedy zapytałam tatę, dlaczego pasek jest czerwony, powiedział, że równik jest bardzo gorący i że im bliżej niego się mieszka, tym wyższych trzeba się spodziewać temperatur. W rezultacie wywnioskowałam, że każdy, kto mieszkał na samym równiku, natychmiast umierał, a jego pokryte pęcherzami zwłoki skwierczały w słońcu niczym steki Steak-Umms. Skąd miałam wiedzieć, że tak nie jest? Nigdy się nawet nie zbliżyłam do tego złowieszczonego czerwonego paska. Dla mnie Carbondale w stanie Illinois to już było południe.

W pewnym sensie ze „Skyway Lounge” było podobnie. Nigdy się nie zastanawiałam nad życiem za czarnymi szybami, bo to nie było moje życie. Kiedy już znalazłam się w środku i widziałam prawdziwe girls-girls-girls z krwi i kości, chodzące, gadające, palące koole i po prostu żyjące, striptizosfera przestała być mi obca, tak jak Brazylia (choć oba te światy łączą trendy we fryzurach intymnych). Te dziewczyny żyły wprost na czerwonym pasku równika, ale mimo to wciąż żyły. Wciąż szalały. Wiedziałam, że tam wrócę.

## Dziesięć najlepszych piosenek do striptizu

1. Dowolna rhythm and bluesowa pościelowa, przy której bioderka same idą w ruch. Do tej kategorii należy najlepsza striptizowa piosenka wszech czasów – *Remix to Ignition* R. Kelly'ego

2. *Purple Rain* Prince'a, ale trzeba podejść do tematu naprawdę teatralnie. Wygiąć plecy, jakby sam Prince chciał ci posmarować brzuch brokatem. Kawalek najskuteczniejszy w pustawych, budzących politowanie barach z golizną.

3. *Honky Tonk Woman* Rolling Stonesów. Nastrój instant. Przy niej nawet najgorsza troglodytka zaczyna poruszać się jak Anita Pallenberg (z kolei przy zespole Troggs każda wygląda na troglodytkę, należy więc ich unikać, o ile to tylko możliwe).

4. *Pour Some Sugar on Me* Def Leppard. Skandowane refreny i bezlitosna perkusja są idealne dla lasek, które naprawdę potrafią tupać. (Przypadkowo raz

widziałam striptizerkę, która, jak Rick Allen, miała tylko jedną rękę.)

5. *Amber* 311. Ten nastrojowy hymn ćpunów jest ulubionym kawalkiem nocnych wielbicieli marihuany w klubach ze striptizem w całym kraju. Dość luźnie luzacki, żeby nawet najbardziej ujarana tancerka dotrwała do końca piosenki i wróciła do swojej fai, nie oblawszy się potem. „Podaj no te chipsy, koleś!”.

6. *Miserable* kapeli Lit, ale głównie dlatego, że w teledysku pojawia się Pamela Anderson, a ona jest dla striptizerek tym, czym Jezus dla wierzących (blondyna, plastikowa, z taką gadką, że umie złamany paznokieć zmienić w zarzut o przemoc domową z uszkodzeniem wątroby). Poza tym jak mógłby nie wypalić striptiz do piosenki, która rozpoczyna się od słów: „Przy tobie dochodzę”.

7. *Back DoorMan* The Doors. Łatwizna. Sama sugestia, że lubisz być posuwana w tyłek, zachwyci przeciętnego bywalca klubów ze striptizem. Tylko zejdź do parteru i chodź na czworakach, aż zarobisz na przedpłatę na ten domek w kondominium na wyspie Cozumel (chyba że - jak większość striptizerek - wolisz wydać swoje zaskórniaki na kiczowate, wytuningowane SUV-y i torebki marki Coach).

8. *Back in Black* AC/DC. Producent Mutt Lange chce, żebyś zrzuciła ciuchy. Powaga. Sam mi to mówił.

9. *I Touch Myself* Divinyls. Rozbierz się przy tym kawałku, a facet przy balustradzie (ten z męskim cycem i w okularach belfra) natychmiast uwierzy, że właśnie on zainspirował cię do masturbacji. Weź od niego kasę, później zaś do woli masturbuj się, myśląc o kimś innym.

10. *Hash Pipe* Weezera. Jasne, trochę zajeżdża obciachem. Ale River Cuomo ma obsesję na punkcie Azjatek i koki, a właśnie taki klimat powinnaś stworzyć w klubie ze striptizem. Zalecam wykonywanie najbardziej odjechanych numerów przy ru-rze do tego kawałka.

# Na przekór wszystkiemu

Uwaga: Ryzyko przedwczesnego poznania fabuły!

W ciągu roku, który rozpoczął się od tej przelomowej Nocy Amateerek, radykalnie zmieniłam się pod wieloma względami. Zaczęłam przypominać striptizerkę. Zaczęłam poruszać się jak striptizerka - mięciutko, z biodrami do przodu. Zgarniałam poważną ilość kapuchy. Nauczyłam się nawet kilku karkołomnych sztuczek na rurze, tak trudnych, że część naśladowujących mnie dziewczyn słabła, a część spadała, waląc melonami o ziemię. Ale jedno się nie zmieniło. Wciąż byłam lewa. Byłam kimś z zewnątrz, ostatnim dzieciakiem wybieranym do drużyny w sali gimnastycznej pełnej koszykarzy tej miary co Larry Bird.

Kiedy myślę o striptizie, zawsze przypomina mi się film *Uprogu sławy*. Jeśli go nie widzieliście (a absolutnie powinniście go zobaczyć), to krótko wyjaśnię, że jest to historia nastoletniego dziennikarza, Williama Millera, który w 1972 roku rusza w trasę po Stanach Zjednoczonych z popularną rockową kapelą. (Fabuła jest oparta na własnych doświadczeniach reżysera Camerona Crowe'a, który jako dzieciak pisywał do czasopisma „Rolling Stone”.) William zostaje wchłonięty przez niezwykle

odjazdowe towarzystwo, od egotycznych członków zespołu po tak młodziutkie, że grożące jeszcze paragrafem grupie o wymyślnych imionach typu Poxia, Estrela i Penny Lane. Mimo że William uczestniczy w kilku naprawdę wariackich akcjach w trasie, wciąż zachowuje swoją rozbijającą niewinność (ku swojemu rozczarowaniu). Rozpaczliwie chce być tajemniczy, wyluzowany jak Brian Jones czy Jimmy Page, a wciąż jest małym chłopcem z notesem.

Rozbierając się na scenie, zawsze czułam się jak William Miller z wyprzedzący. Byłam nieuleczalnie niefajna, otoczona przez zblazowane koleżanki po fachu o fantastycznych zmyślonych imionach, i chciałam być równie pewna siebie i tajemnicza jak one. I zupełnie jak Williamowi, zdarzały mi się momenty, kiedy czułam się wśród nich jak u siebie, jakbym urodziła się po to, żeby obserwować ich lśniące od brokatu ciała i trzymać kciuki, żeby i mnie udało się poświecić choćby tylko światłem odbitym. Nigdy jednak nie przestałam czuć się jak dziwoląg z trzema nogami, w dodatku wszystkimi lewymi - ikona millenium: laska tańcząca jak epileptyczka.

\* \* \*

Oczywiście nie powiedziałam nikomu z pracy o moim jednorazowym nocnym występie w „Skyway Lounge”. Wydawało mi się zresztą, że nie ma o czym mówić. Przeszłam, pokazałam publice sutki, zarobiłam dziewięć doliców i trochę drobniaków w napiwkach. Żadnych rewolucji, żadnej sensacji na pierwsze strony gazet. W agencji miałam dużo roboty i zero czasu na pogawędki o moich perwersyjnych rozrywkach. Po prostu robiłam to, co do mnie należało, opróżniałam filiżankę za filiżanką (dar-

mowej!) herbaty ulung, a w rzadkich chwilach przerwy robiłam wpisy na moim blogu.

Problem polegał na tym, że striptiz stał się moją obsesją. Wcześniej zakładałam, że przygoda z Nocą Amatorów zaspokoi mój głód wrażeń, ale tylko nabrałam ochoty na więcej. Na niemożliwie wysokie plastikowe szpile. Na cudownie niedoskonałe pośladki klaszczące w świetle lamp stroboskopowych. Na gładkość i chłód mosiądzu przy nagiej skórze. Na pozaginane dolarowe banknoty, od tylu lat będące w obiegu, że stały się kruche jak skórka na cebuli. Chciałam znowu poczuć się tak jak wtedy, kiedy stałam na scenie. Zdenerwowana. Wystraszona. Bardziej bezbronna niż nowo narodzona sarenka, wciąż mokra od wód owocowych. Gdybym mogła odtworzyć to uczucie, skacząc ze spadochronem, odnajdując Boga, ruszając z plecakiem do Marrakeszu albo robiąc cokolwiek innego, zrobiłabym to. Ale tylko jedno gwarantowało ten blogostan - i tym czymś był striptiz.

Z logicznego punktu widzenia sprawa była dość mętna. Wieczór w „Skyway Lounge” nie był szczególnie przyjemny. W gruncie rzeczy był raczej obrzydliwy, jak widok małego zwierzątka z flakami na wierzchu. Wszystkie romantyczne złudzenia, jakie miałam wcześniej na temat striptizu, zmył karmazynowy przyływ krwi miesięcznej Destinee. Widziałam tancerki brutalnie obmacywane przez klientów, twarze wykrzywione w żalonych grymasach (lub co gorsza, w rozdzierającej serce imitacji rozkoszy). Widziałam dziewczyny kursujące między barem a sceną na groteskowo spuchniętych stopach. Podśluchałam wiele dickensowskich opowieści o pechu, które wylewały się z tancerek niczym strumień odpadów przemysłowych. Było dla mnie jasne, że prawdziwy striptiz to nie tylko śmichy-chichy i pawie pióra.



Był jak lizak - słodki, ale jeśli się nie uważa, to łatwo się nim udławić.

Z programów emitowanych w HBO wiedziałam jednak, że nie każdy klub ze striptizem jest taki sam. Czyż Mystic nie twierdziła, że mogłabym lepiej zarabiać w kabarecie z górnej półki? Cholera, żadna tam ze mnie Kate Jackson, ale jak na jajogłową byłam całkiem twarżowa. Przekonałam samą siebie, że zrobię furorę w lokalach pierwszej klasy, że stanę się najpopularniejszą striptizerką w Minneapolis i będę sęczyła *veuve-cliquot* w towarzystwie czarującego mafiosa z jakuzi, który obrzuci mnie diamentami wielkości strusich jaj. (I rzeczywiście, było tych diamentów od cholery i trochę. Ścisłej biorąc - dziewczyn o imieniu Diamond, bo chyba co tydzień pojawiała się nowa. Były też Rubiny, Szmaragdy, a nawet jedna Szafir o safickich skłonnościach. Prawdziwych klejnotów wartych wzmianki się nie doczekałam, ale na początku kariery miałam wielkie nadzieje.) To prawda, taki lepszy klub to byłoby miejsce w sam raz dla mnie. Znowu doświadczyłabym rozkosznego zastrzyku adrenaliny, ale zachowałabym resztki godności. „Bycie tancerką toples jest trendy” - tłumaczyłam sobie. Po prostu czad! A co najlepsze, może uda mi się zarobić dość pieniędzy, żeby wreszcie kupić toyotę corollę, o której marzyłam od dziecka.

## Artystka estradowa

Kilka dni później w czasie przerwy na lunch weszłam do „Schieks”. Tak zwany pierwszy klub rewiiowy Minneapolis mieścił się w zaskakująco dostojnym budynku, wyglądającym na zabytkowy. (Miał nawet filary!) Kiedy odczytałam nazwę na pasiastej markizie nad frontowymi schodami, zachciało mi się śmiać. „Schieks”. Z jednej strony nazwa ta budziła mroczne, egzotyczne skojarzenia ze słowem *sheik* („szejk”), ale pisownia... To już było sto procent Minnesoty. Równie dobrze mogłaby się tak nazywać budka z arabskim żarciem w Duluth. „Schieks” uchodził jednak za najbardziej ekskluzywny „kabaret” toples w Bliźniaczych Miastach, nie zamierzałam więc dać się zniechęcić lamerskiej nazwie.

Smród cygar rąbnął mnie między oczy, ledwie otworzyłam drzwi. Cygara królowały w „Schieks” - zupełnie jak gdyby lokalem zarządzał sfrustrowany miłośnik wyrobów tytoniowych, który przypadkiem został właścicielem klubu ze striptizem. Oprócz tych wyeksponowanych w holu pudełkach w stylu otwartych trumien, cygara rozdawano okazjonalnie jako „gratis” przy zakupie prywatnego tańca, większość gości miętosiła więc tanie stogies, racząc się przeplaconym lagerem i trzymając na kolanach

przeplacone girlaski. Smród ten od początku przyprawiał mnie o mdłości, ale musiałam się do niego przyzwyczać. Z czasem każda się przyzwyczaja. O ile nie skończę z żarzącym się camacho w kanale rodnym, to dam sobie radę z tym nalogiem klasy średniej.

Na pierwszy rzut oka klub w oczywisty sposób wyprzedzał „Skyway Lounge” o całe lata świetlne, jeśli chodzi o imitację blichtru rodem z Las Vegas. Podeszłam do recepcji, gdzie za biurkiem siedziała dobrze ubrana, sympatycznie wyglądająca nastolatka o ustach grubo obwiedzionych konturówką w kolorze kupy.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała.

- Aha - przytaknęłam. - Macie może wolny etat?

- Mówi pani o kelnerkach czy o artystkach? - spreyczowała moje pytanie.

- Hm... O artystkach - odparłam. Zaczynało mi świtać, że nikt z branży nie używa określenia „striptizerka”, z wyjątkiem kilku samych striptizerek (ale były to najtwardsze, najbardziej wyszczerkane dziewczyny). Popularniejsze było określenie „tancerka egzotyczna”, a w większości klubów najczęściej używano się terminu „showgirl”, mimo że daleko nam było do Vegas. Oficjalnym określeniem, niezmiennie używanym przez szefostwo, była „artystka”, jakbyśmy wyciągały z rękawów szamoczące się gołębie i opowiadały dowcipy o Nixonie i Triduum Paschalnym.

- Kiedy może pani zacząć? - odezwała się dziewczyna.

- Właściwie to od razu - odparłam.

- Proszę to wypełnić - powiedziała recepcjonistka, podając mi formularz przypięty do podstawki z klipsem.  
- Będzie pani musiała przyjść tu jutro, kiedy będzie menedżerka. Ona wyjaśni pani wszystkie formalności. Chyba że chciałaby pani zacząć już dzisiaj?

- Nie - odpowiedziałam zdumiona. „To wszystko?”. Spodziewałam się skomplikowanego i potencjalnie upokarzającego castingu, łącznie z inspekcją sutków, jak w *Showgirls*. A wystarczyło tylko się pojawić.

- Cóż, gdyby pani chciała zacząć jeszcze dzisiaj, to proszę dać znać - dodała dziewczyna, poprawiając ekspozycję cygar.

\* \* \*

Weszłam w głąb klubu, żeby wypełnić formularz. Ujrzałam przepastne, bezwstydnie luksusowe wnętrze, które w poprzednim wcieleniu mogło być salą balową albo teatrem. Znajdowały się tutaj wielopoziomowe kryształowe żyrandole, wypolerowane mosiężne poręcze, a nawet „biblioteka” pełna książek w skórzanych oprawach, ale wątpię, czy je kiedykolwiek otwierano. Scena była szeroka i płaska, zakończona lustrzaną ścianą, za to bez rury. Najwyraźniej akrobacje na rurze stanowiły domenę podrzędnych barów z golizną. Przyjęłam to z ulgą, taniec na rurze nie był bowiem moją mocną stroną.

Zasiadłam w bibliotece na tronie obitym sztuczną skórą i zaczęłam wypełniać ankietę. Kiedy doszłam do pozycji: OBECNY PRACODAWCA, nagryzmoiliłam: PROSZĘ SIĘ NIE KONTAKTOWAĆ. Już sobie wyobrażam reakcję w agencji, gdyby się wydało, że największą aspiracją ich maszynistki jest zostać świetnie opłacaną tancerką go-go.

Odniosłam podanie, wyszłam na zewnątrz i skrzywiłam się, osłepiona słońcem odbijającym się od posypanych solą zasp śniegu. Jediną wspólną cechą „Schieks” i „Skyway Lounge” było oświetlenie, a raczej jego brak. W klubach ze striptizem niemal zawsze panują ciemności i nieprzyjemnie niska temperatura, niczym w wiel-

kich chłodziarkach na seksowne mięso. Gwarantuje to, że striptizerki będą wyglądały nieziemsko (gdyż w migającym ultrafiolecie o mocy dwudziestu watów wszelkie niedoskonałości stają się niewidoczne) i zaczną tulić się do siebie, próbując się ogrzać (i tworząc iluzję lesbijskiej atmosfery, co szefostwo gorąco popiera). Ciało przez cały wieczór jest napięte i chłodne, części intymne pozostają świeżutkie i różowutkie jak sashimi z tuńczykiem. Wszystkie budy ze striptizem w mieście serwują swoje blondyneczki dobrze schłodzone, mimo że podczas długich zim w Białym Mieście dodatkowe chłodzenie naprawdę nie jest nikomu potrzebne.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do agencji i bezpiecznie zabarykadowałam się za biurkiem, zadzwoniłam do Jonny'ego do biura. Jego miejsce pracy niewiele różniło się od mojego - też było jasne, z modułowymi meblami, darmowymi napojami i mnóstwem zachrypniętych telemarketerek z francuskim pedikiurem.

- Nie zgadniesz, co się stało - zaczęłam ściszym głosem. - Dostałam posadę tancerki w „Schieks”.

Jonny był pod wrażeniem.

- Zatrudnili cię z marszu? - zapytał scenicznym szeptem. - Jesteś taka seksowna! Po prostu gorący towar!

- No nie wiem - odpowiedziałam. - Nikt nawet na mnie nie spojrzal. Może przyjmują każdą, która się napatoczy.

- Coś ty - odparł Jonny. - Wzięli cię, bo jesteś fantastyczna.

Nie czułam się fantastyczna. Czułam się jak utuczone cielę drepczące radośnie na ofiarne upuszczenie

własnej krwi, ale słowa Jonny'ego mile polechtały moją próżność. Rozpaczliwie chciałam zostać striptizerką i truchlałam na myśl, że może mi się nie udać. (A może podświadomie dążyłam do niepowodzenia, które choć trochę ożywiłoby moje spokojne, żeby nie powiedzieć: nudne życie. Kurczę, ale głęboka refleksja!)

- Ale na pewno nie masz nic przeciwko temu, skarbie? - zapytałam. —To znaczy... Powiedz słowo i dam sobie spokój.

- Popieram cię na całej linii - zapewnił Jonny.  
- Mnie to nie przeszkadza. Przecież to tylko praca. Trzeba z czegoś żyć. Prawdę mówiąc, nawet mnie to kręci. Jestem świnią, co?

- Coś ty! - odparłam. - Czyli wygląda na to, że zacznym od niedzieli.

\* \* \*

Jeszcze w tym samym tygodniu wróciłam do sklepu dla striptizerek i sprawiłam sobie stosowną garderobę sceniczną: krótką czarną sukienkę rurkę i kabaretki. Widziałam się w roli wyrafinowanego wampa prosto z off-broadwayowskiego spektaklu w holdzie dla Fosse'a - seksowna fryzura na pazia, papieroski, zblazowanie, te rzeczy. Byłam przekonana, że zarobki będę musiała holować do domu w wielkiej walizie samsonite. Czulałam się gotowa. Brakowało mi tylko pseudonimu estradowego, zanim będę mogła zostać autentyczną nakręcaną lalką.

Potrzebowałam czegoś bezczelnego, lecz zarazem kuszącego, imienia, które emanowałoby seksem, będąc przy tym w moim ulubionym stylu retro. Zdecydowałam się na Roxanne - imię w sam raz dla młodej dziewczyny mieszkającej w pensjonacie, uwielbiającej drinki o na-

zwie Pink Squirrel i pieprzącej się ze starymi dziadami za ich złote kieszonkowe zegarki. Łatwizna.

W niedzielę pojawiłam się w „Schieks” przed czasem, jak zawsze w roli rannego ptaszka w ptaszarni pełnej sów. Pora występów jeszcze się nie rozpoczęła i w lokalu było pusto, jeśli nie liczyć kilku kelnerek i barmanek szykujących się do wieczornej zmiany. Scena była nieoświetlona, na sali też nie wypatrzyłam „artystek”. W powietrzu unosił się dziwny zapaszek, coś jakby woń starego dywanu z powtykanymi weń niedopalkami "Cygara" i brudem z setek pępeków.

- Cześć — zwróciłam się do kobiety, która wyglądała na doskonale zorientowaną. - To mój pierwszy dzień w pracy. Wiesz może, gdzie powinnam się zgłosić?

- Och, cześć! - odparła szorstko. - Na początek możesz przetrzeć ostatnie stoły w sekcji dla VIP-ów. Przy barze dadzą ci jakąś szmatkę.

Trochę mnie zaskoczyła. To oprócz striptizu będę musiała latać ze ścierką od stolika do stolika? Doszłam do wniosku, że to jakaś pomyłka, ale nie miałam zamiaru się klócić i wyjść na taką, która nie chce sobie rączek zabrudzić. Może wszystkie striptizerki muszą sprzątać w klubach. Nawet rozsądnie, zważywszy, że miały ponoć zarabiać tyle kasy. Może to sprzątanie to spektakl przyciągający tłumy, coś jak usługa „nagie pokojówki”.

- A nie powinnam najpierw się przebrać? - zapytałam.

- Masz własny uniform?

- Jestem artystką - odparłam. - Nie wiedziałam, że będzie mi potrzebny.

Popatrzyła na mnie zaskoczona.

- Jesteś artystką? Przepraszam. Myślałam, że jesteś nową kelnerką. Ale nieważne. - Zachichotała. - Przebiegalnia jest na górze, złotko. - „Przekomiczne! Też brzyduli

o ziemistej cerze ubrdalo się, że jest striptizerką! To już się nie chce normalnie popracować na pensję?"

Weszłam po lodowatych schodach w głębi sali i po chwili byłam już w przebieralni. Przypominała damską łazienkę w katolickiej podstawówce, do której chodziłam: szafki od ściany do ściany, do tego kilka twardych ławek. W zasięgu wzroku nie było ani jednej toaletki z lustrem — zdecydowanie nie był to BaBylissowy Babilon, który sobie wyobrażałam. Na każdej szafce była naklejka z imieniem, które odczytałam w duchu niczym litanię pólanałfabetek: Tiffanee. Gennifer. Kaitlynne. Spodziewałam się garderoby, w której panowałby kobiecy chaos, pełnej porozrzucanej bielizny i tętniących gniewem oskarżeń o kradzież szminki, a byłam sama jak palec.

Sukienka opinała mnie ściśle jak skórka parówkę. Nieladnie podjeżdżała do góry, obnażając moje podatne na cellulit mięsiste biodra, dziobate jak ziemia po gradobiciu, i tworząc niefortunny efekt wałeczków jak u Ester Williams. Pończochy równie skutecznie ścisnęły moje amerykańskie uda. Osiem centymetrów obnażonego ciała między rąbkiem sukienki a pończochami było blade i plastyczne jak surowe ciasto. Założyłam szpilki z nadzieją, że to coś pomoże, ale nie pomogło. Czulałam się jak postać z komiksu *Cathy*, tyle że w przeciwieństwie do Cathy nie miałam metamfetaminy, żeby przyspieszyć sobie metabolizm i spalić ten paskudny tłuszcz. Fuj!

Kiedy nakładałam makijaż nazbyt lekką, jak to u amatorki, ręką, do przebieralni zaczęły cicho napływać dziewczyny. Były ubrane w pastelowe dresy, nosiły podróbki torebek Murakamiego i foliowe czepki na włosach umiejętnie nawiniętych na lokówki z rzepem. Spodziewałam się, że będą patrzeć na mnie wilkiem, byłam w końcu podejrzenie grzecznie wyglądającą nieznaną, ale nie zatrzymało się na mnie ani jedno zle



spojrzenie. Wkrótce się przekonałam, że w wyniku dużej rotacji wśród personelu tancerki pracujące tutaj na stałe już dawno przestały zwracać uwagę na napływ świeżej krwi. Prawdopodobnie zakładały, że zniknę stąd najpóźniej po tygodniu.

Blondyna holująca za sobą walizę i plecak zaczęła majstrować przy zamku szyfrowym. Była opalona. Bardzo opalona. Masakrycznie. Wyglądała jak żywa ilustracja przestróg dermatologów - jej skóra przypominała krepinę w odcieniu umbrzy.

- Jak leci? - zagadnęłam, bo tylko ona stała w miarę blisko mnie..

- Dobrze - odparła, rozbierając się. - Nie widziałam cię wcześniej. To twój pierwszy dzień tutaj?

- Aha. Prawdę mówiąc, to w ogóle mój pierwszy dzień takiej pracy - wyznałam.

- Wyrazy współczucia - powiedziała, mrużąc oczy. Z twarzy wyglądała na jakieś trzydzieści lat, ale piersi miała takie nowe, że nie zdziwiłabym się, widząc metki dyndające przy sutkach.

- Ale za dnia pracuję w biurze - dodałam niepytana. Z jakiegoś powodu rozpaczliwie mi zależało, żeby wiedziała, że nie jestem głupią lalą bez perspektyw, że nie żyję ze striptizu. Mam przyszłość. Mam pensję i ubezpieczenie, całkiem jak Mary Tyler Moore. Rozbieranie się za pieniądze to w końcu tylko taki kaprys. Racja?

- Ja też. Jestem zarejestrowaną pośredniczką handlu nieruchomościami - odparła. - Tylko chciałam sobie trochę dorobić.

- Jasne - przytaknęłam. - To zupełnie jak ja.

- Mam na imię Lisa - powiedziała, podając mi rękę.

- A ja Roxanne - odparłam niepewna, czy powinienam przedstawiać się pseudonimem czy swoim prawdzi-

wym imieniem. Złożyłam, że pseudonimy estradowe obowiązują na scenie i poza nią.

Lisa przebrała się w sukienkę o identycznym fasonie jak moja, z tym że jej miała wulgarny odcień różu, za to leżała na niej jak szyta na zamówienie. Złożyła sobie podwiązkę na kostkę i wsunęła pod nią kilka dolarów. Na przynętę, jak sądzę. Wyglądała dziwnie nobliwie i profesjonalnie, jak gdyby miała za moment pokazać potencjalnemu klientowi wielopoziomowy dom w stylu Tudorów albo opracować aneks do umowy kupna.

- Wybierasz się na dół? - zapytałam.

Wybierała się, podążyłam więc za nią jak cień, jak odmóżdżona bliźniaczka syjamska.

\* \* \*

Zeszliśmy z Lisą do głównej sali. Usiadłyśmy w niszy między czymś w rodzaju boksów odgrodzonych od sali grubymi kotarami. Przywodziły mi na myśl konfesjonały o karmazynowych ścianach, które pamiętałam z polskiego kościoła katolickiego, do którego chodziłam jako dziecko.

- Co tam jest? - zapytałam. Podejrzewałam, że za zasłonami nie kryje się żaden duchowny o skórze upstrzonej plamami wątrobowymi.

- To są właśnie apartamenty - odparła Lisa.

- Apartamenty? Wytłumacz koniecznie.

- Prywatne sale - wyjaśniła. - Jeśli facet chce iść do prywatnej sali ze striptizerką, musi zapłacić jej dziewięćdziesiąt dolarów, a klubowi siedemdziesiąt pięć za każde pół godziny. Wykupiłaś kupon na apartamenty?

- A muszę coś kupować? - zapytałam.

- Jasne - odparła Lisa. — Taki jest warunek. Na wejściu wpłacasz w recepcji dwadzieścia dolarów i do-

stajesz kupon, który zabezpiecza honorarium klubu. Za to klient dostaje prywatną salę z tobą za jedyne dziewięćdziesiąt dolarów.

- Jak dla mnie, to i tak kupa kasy za pół godziny ze striptizerką - zauważyłam.

Lisa wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak.

- Zwracają nam chociaż te dwadzieścia dolarów, jeśli nie znajdziemy chętnego na prywatną salę i zostanie nam kupon? - zapytałam.

- Nie - odparła Lisa. - Ale łatwo je komuś wcisnąć. Faceci lubią prywatne sale. Ja sprzedaję kupon właściwie każdego wieczoru. - Kiedy przypalała papierosa, jej masywne piersi zatrzęsły się niczym dwie porcje karmelowego flanu i już nie wątpiłam w jej sukcesy.

- A cała reszta? - drążyłam. - Bo nikt mi nic nie mówił.

- Taniec przy stoliku kosztuje dwadzieścia dolarów - tłumaczyła Lisa. - Musisz zaliczyć minimum osiem takich każdego wieczoru.

- To coś jak prywatny taniec? U gościa na kolanach i te sprawy? - dociekałam trochę zaniepokojona. Nie planowałam ocierania się o czyjegoś fiuta, a co dopiero o osiem fiutów obowiązkowych.

—To dokładnie to samo - przyznała Lisa. - W każdym razie jak odpracujesz przydzielowe osiem tańców przy stolikach, masz sto sześćdziesiąt dolarów. Codziennie przed wyjściem musisz się zgłosić po wypłatę swoich stu sześćdziesięciu dolarów. Klub pobiera z tego sto osiem dolarów, a ty dostajesz swoje pięćdziesiąt dwa. Po tej wstępnej opłacie zatrzymujesz wszystko, co zarobisz.

System wydawał mi się zupełnie pozbawiony sensu. Przydziały? Wypłaty? Gdzie ja jestem, w nocnym klubie czy w dziale sprzedaży?

- Jeśli więc dzisiaj zarobię sto sześćdziesiąt dolarów, potrąca mi z tego sto osiem?

- Zgadza się - przytaknęła Lisa, jak gdyby to było najzupełniej logiczne. - Plus tip dla didżeja, przynajmniej dwadzieścia dolarów na każdą zmianę.

- A jeśli nie sprzedam tych ośmiu tańców? - zapytałam.

- Wtedy wisisz klubowi kasę - odparła z westchnieniem Lisa.

- Chcesz powiedzieć, że mogę stąd wyjść na minusie? - spytałam z niedowierzaniem. - A jeśli sprzedam siedem tańców, wpłacę te sto osiem dolarów, a zatrzymam główniane trzydzieści dwa? Przecież klub dostaje swoją działkę.

- A gdzie tam — odparła z emfazą. - Musisz sprzedać osiem tańców, bo jak nie, to jesteś winna klubowi pieniądze. - Była całkowicie pogodzona z tym zdzierstwem. Jej błękitne oczęta były spokojne i pogodne.

- Niesamowite - stwierdziłam. - Nie rozumiem, jak ludzie mogą się na to zgadzać.

- Tak samo jest w większości innych klubów - powiedziała Lisa. - Wiesz, ale jak zarabiasz osiemset dolarów, to już ci się nie wydaje, że te sto osiem to tak dużo.

- A tak naprawdę jak ci na imię? - zapytałam nagle.

- Lisa - odparła, a jej uśmiech stał się zimny.

\* \* \*

Striptizerki zeszły po schodach i rozproszyły się po klubie. Gdziekolwiek by spojrzeć, blondynka na blondynce blondynką poganiała blondynkę - prawdziwe córki Norwegii krążyły wśród tlenionych imitacji. Wszystkie miały opaloną, błyszczącą od oliwki skórę koloru mokrego

cygara. Były poubierane w krótkie dyskotekowe szmatki, w teatralne peniuary z piórami albo w długie suknie z gołymi plecami i z rozporkiem aż do wżgórka Wenus. Większość stanowiły prawdziwe piękności, smukłe jak charcice. Jedna wyglądała kropka w kropkę jak Gisele Bündchen. Cholera, miała tylek wielkości mojej pięści. Już zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam raczej załatwić sobie nocnej zmiany w jakimś barze szybkiej obsługi, choćby i w Fuddruckers, bo tutaj przy takiej konkurencji trudno mi będzie zarobić bodaj kanadyjską dziesięciocentówkę.

Ze zgrozą zdałam też sobie sprawę, że cała miejscowa kadra śliczniutkich kelnerek występuje w czarnych mini i siatkowych pończochach. Srał to pies! Nie dość, że i bez tego wcale striptizerki nie przypomniałam, to jeszcze idealnie wtopiłam się w szeregi personelu obsługującego stoliki. Już sobie wyobrażałam, jak klienci wołają mnie i proszą, żebym przyniosła im następną kolejkę tequila. Zaczęło mi świtać, dlaczego inne dziewczyny są ubrane na białe albo w upiornie jaskrawe kolory. Krążąc po klubie, jaśniały w mroku niczym neonówki. Ja zaś rozplynęłam się w ciemnościach jak smuga kalamarnicowego atramentu w mętnej wodzie. Byłam niewidzialna.

Pojawili się pierwsi goście, niewielka grupka, która ściągnęła tutaj na wieczór kawalerski. Wydawali się uprzejmi i skrupowani, kiedy zamawiali piwa i obowiązkowe cygara. Lisa zerwała się z krzesła i wystrzeliła w ich kierunku niczym rakietą Patriot. Patrzyłam, jak dosiada się do stolika i zaczyna niezobowiązującą rozmowę. Mężczyźni śmiali się i gapili na jej piersi. Jej piersi z kolei zdawały się gapić w sufit. Kiedy zaczął się następny kawalek, Lisa wstała, zdjęła sukienkę i stanęła przed jednym z mężczyzn. Jej smukłe brązowe ciało niczym

wstążka falowało między jego rozsuniętymi kolanami. Jej wyrzeźbiony na siłowni tyłek lśnił od olejku. Kole-dzy obtańcowywanego dowcipkowali i nieumiejętnie popalali swoje cygara.

Tabliczka w przebieralni czarno na białym informowała dziewczyny, że tańcząc przy stolikach, mają nie zbliżać się do klientów na mniej niż trzydzieści centymetrów, Lisa jednak zmysłowo gładziła mężczyznę po piersi i brzuchu swoimi artystycznie zrobionymi paznokciami. Opadła na kolana i powiodła palcami po jego rozchylonych udach, przez cały czas patrząc mu w oczy. Jej uśmiech kojarzył mi się z reklamą pasty do zębów, z drapieżnym grymasem w stylu Farrah Fawcett. Nie mogłam oderwać wzroku od tych jednoosobowych wyborów Miss Hawajskich Tropików w wersji dla dorosłych i niegrzecznych. Gapiałam się na nagie pośladki Lisy, niczym dach wyścigówki przecięte na dwoje cienutkim paseczkiem nieopalonego ciała.

Piosenka się skończyła, Lisa niezręcznie podciągnęła sukienkę. Przez chwilę rozmawiała z jednym z mężczyzn, po czym obróciła się w moją stronę i pomachała, żebym podeszła. Niezdarnie wstałam i pokuśtykałam na moich gigantycznych szpilach w kierunku stolika.

- Młody chce u ciebie zamówić prywatny taniec  
- zaszcebiotała Lisa, wskazując gościa honorowego, młodego mężczyznę z kozią bródką, który milcząco wręczył mi banknot dwudziestodolarowy.

- Kurczę, ale ja nie wiem, co robić - wymamrotałam.

- Rób to samo co ja przed chwilą - wtrąciła Lisa.  
— Łatwizna.

Zaczął się następny kawalek, jeśli dobrze pamiętam, hymn Shanii Twain na cześć jakiegoś wioskowego amanta, coś o łózkach, buciorach i zdradzie. (Powinam

wspomnieć, że mam obsesję na punkcie Shanii Twain, bo ta laska to robot do złudzenia przypominający żywą kobietę. Przyjemnie było słuchać jej przepuszczonego przez syntezator jodłowania podczas pierwszego prywatnego tańca w całym moim życiorysie.) Przelknęłam ślinę, energicznie ściągnęłam sukienkę do kostek i zaczęłam ocierać się o klienta.

- Miło! - powiedział z aprobatą. - Masz superciało.
- Dzięki - odparłam. - Bo ja tu umieram ze strachu.
- Serio? - zapytał. - Tańczysz od niedawna, czy

jak?

- Od dzisiaj - wyznałam. - To pierwszy prywatny taniec w moim życiu.

Zachichotał.

- Bardzo przestraszona?

- Mówiłam ci, że umieram ze strachu. - Gestem podejrzanym u Lisy poglaskalam przyszłego żonkosia po policzku, po czym pozwoliłam dłoniom powędrować ku guzikom jego flanelowej koszuli. Udał, że go to podnieca i zamknął oczy niczym tłusty niemowlak dostawiony do cyca. Jak przez mgłę słyszałam Lisę, która zabawiała jego koleżków przeraźliwie nudną historyjką o zepsutym filtrze do wody.

Koszmarna piosenka skończyła się szybciej, niż się spodziewałam - w większości klubów ze striptizem didżeje wyciszają piosenki po trzech minutach, żeby prywatne tańce pozostawiały poczucie niedosytu. Za tą taktyką przemawia nie tyle pruderia, ile chciwość - nie chodzi o to, żeby facet nie spuścił się w gatki. Rzecz w tym, że im więcej piosenek będzie do tego potrzebował, tym więcej gotówki wyciągną od niego dziewczyny.

- Dzięki - mruknęłam, podciągając sukienkę.

- Masz ładne biodra. Wyglądasz jak Shakira - uważał pan młody.

- Dobrze, że Shakira jest gdzieś w Kolumbii i tego nie słyszy, bo chyba padłaby trupem - odparłam.

\* \* \*

Klub zaczął się zapelniać niepozornymi facetami. Rozpoczęły się także występy na scenie, a ja uświadomiłam sobie nagle, że didżej wciąż nie wie o moim istnieniu. W „Schieks” była tylko jedna scena i dziewczyny występowały na niej kolejno, każda z setem składającym się z dwóch piosenek. Kiedy szłam na zaplecze, jakiś mężczyzna poprosił mnie, żebym przyniosła mu jeszcze jedną butelkę piwa Samuel Adams.

- Nie jestem kelnerką - odparłam uprzejmie. „Czemu, do ciężkiej cholery, uparłam się wystąpić w smętnej, nudnej czerni tutaj, w tym morzu opalizujących gepardzych cętek i materiałów tak połyskliwych, że wygląda ją jak mokre?”.

Zaplecze było przygnębiająco niedoinwestowane i właściwie puste, jeśli nie liczyć wielkiego lustra. Kręciło się tutaj kilka dziewczyn, ale głównie przechodziły tędy tancerki wchodzące i schodzące ze sceny. Dziewczyna w toplecie, która przed chwilą skończyła seta, stała przy budce didżeja i rozmawiała z nim nonszalancko. Miała makijaż godny egipskiej maski pośmiertnej i sztuczny warkocz tak długi, że jego koniec podrygiwał na wysokości jej zadka.

- Nie wysrałam się od tygodnia - mówiła właśnie zatroskana. - Zaczyna mnie to martwić.

- A próbowałaś płatków z otrębami? - zapytał didżej. - Albo dyni z puszek?

Podeszłam do nich nieśmiało.

- Hej! Jestem Roxanne.

- Miło mi cię poznać, Roxanne - odparł didżej, zapisując moje imię w notesie. Lista tancerek nie była zbyt



długa i żołądek podjechał mi do gardła, zaledwie zdalam sobie sprawę, że mam do występu znacznie mniej czasu, niż myślałam. - Do jakiej muzy tańczysz? - zapytał.

- Może być metal. Wszystko jedno, byle wokalista miał długie włosy - mruknęłam. Zdążyłam zauważyć, że większość dziewczyn pracowała przy rhythm and bluesowych pościelówkach, ale ja chciałam dać czadu w oldskulowym stylu. Być jak te megaseksiaste laski z teledysków, które namiętnie oglądałam, mając naście lat. Jak Tawny Kitaen wijąca się na masce samochodu w teledysku Whitesnake'a albo jak ta dziewczyna ze *Zdrówka*, która pojawiła się w teledysku *Raspberry Beret* w tytułowym malinowym berecie.

- Jasne - odparł. Włączył mikrofon i z normalnego głosu przeszedł do niewiarygodnie afektowanego zaśpiewu didżeja:

- LUDZIE, IMPREZA TRWA! OKLASKI DLA TAAAAAAAAY-LOR!

Na ten sygnał pojawiła się Taylor, przemknęła koło nas, popchnęła przeszklone drzwi i wypadła na scenę niczym jagnię samo rzucające się wilkom na pożarcie.

- Koleś, ale żeś ryknął - skomentowałam, kiedy ponownie wyłączył mikrofon. - Jak możesz sam siebie słuchać i jakoś wyrobić?

- To dobra posada - odparł didżej i wzruszył ramionami.

\* \* \*

Wkrótce nadeszła moja kolej w postaraniu się o to, żeby impreza trwała. Kiedy jednak wyszłam na scenę przy *Armageddon It* Def Leppard, zauważyłam, że atmosfera w lokalu jest, oględnie mówiąc, do dupy. Goście wyglądali na znudzonych i zubożniałych - bardziej niż na-

gimi ślicznotkami, które siedziały im na kolanach, interesowali się meczem Wikingów emitowanym właśnie w telewizji. Striptizerki, które akurat nie miały zajęcia, snuły się przy barze, z taką złością popalając papierosy, że ich płuca musiały wyglądać jak zwęglone kotlety jagięce. Przed sceną było duszno i ponuro.

A na scenie? Było zajebiście!

Joe Elliot opiewał elektryczność ciała. Phil Collen grał na strunach mego bólu. Serce tłukło mi się o żebra, gdy ściągałam sukienkę i obracałam się tyłem do publiki. W lustrach zobaczyłam samą siebie w toplesie na tle niezliczonych twarzy. W sali było tak zimno, że sutki skurczyły mi się do mikroskopijnych rozmiarów, a nogi miałam całe w gęsiej skórce. Ale miałam to gdzieś. Byłam jak w gorączce.

Przemieściłam się na środek sceny w podskokach a la Mick Jagger w *Hullabaloo*, dorzucając dla większego efektu kilka rockandrollowych kopnięć w powietrze. Zauważyłam, że dziewczyny w głębi sali szepczą między sobą i wiedziałam, że to dlatego, że tańczę jak ostatnia lamaga. Ale inaczej nie umiałam. Zawsze byłam pozbawiona wdzięku i nadpobudliwa, należało się więc spodziewać, że tańczyć będę tak samo. Gdybym chciała snuć się jak senna Salome, musiałabym lyknać garść dyskotekowych „cukierczków”, a w klubach ze striptizem trudno o prochy na uspokojenie.

Zaczęła się druga piosenka, mnie zaś powoli kończyły się pomysły. „Praca na podłodze” była w „Schieks” kategorycznie zabroniona, a jak już wcześniej wspominałam, na scenie nie było rury ani poręczy. Innymi słowy - striptizerki mogły tylko spacerować po scenie i pozować jak modelki. Ja jednak nie chciałam być taka banalna, chociażby ze względu na Def Leppard, naprawdę więc starałam się podkreślić śrubę. Przekicalam

z jednego końca sceny na drugi, beztrąsko poklepałam się po tyłku i wykonałam piruet przy sejsmicznym łomocie perkusji.

— Pożegnajcie piękną Roxannel! - zagrział didżej. Pomachałam ręką, złapałam kieckę i czym prędzej związałam ze sceny.

(Dziwne, ale zawsze używam słowa „związałam”, opisując sposób, w jaki opuszczałam scenę po zakończonym występie. I naprawdę tak było. Na początku każda zwiewa. To naturalna reakcja na bulwersującą świadomość, że twoją nagość ogląda publika. Wiem, że brzmi bez sensu, ale w chwili tuż po występie jest coś takiego, co wywołuje w człowieku atawistyczne poczucie bezbronności.)

Przeżyłam pierwszego seta, pozostawało więc poszukać chętnych na taniec przy stolikach. Wymagało to całej serii manewrów w myśl schematu: dosiąść się do klienta, poszczebiotać o dupie Maryni, trzepocząc rzesami z prędkością skrzydełek kolibra, zaproponować prywatny taniec, powtórzyć propozycję, nalegać, brylować. Na każde „tak” przypadało co najmniej piętnaście odmów. W ciągu najbliższych kilku godzin sztywno wykonałam kilka prywatnych tańców, ale i tak miałam mnóstwo czasu na gapienie się, co robią inne. Fascynująca sprawa.

Krażyły po sali niczym chude bure kocice, na nogach giętkich jak przegubowe słomki - najpierw piersi, później reszta ciała. Nie miały żadnych oporów. Nieproszone siadały gościom na kolanach. Leniwie skubały z mis owoce i próbowały przystawek. Przytulały twarze do przyrodzenia klientów, imitując seks oralny. Ciągnęły długą procesję frajerów do prywatnych salek („Żeby im rzeczywiście obciągnąć?” — zastanawiałam się). Niektóre przez cały wieczór obściskowały się z tymi samymi facetami, szeptały im do uszu różne świństwka i inne

słodkie bzdury, dopieszczając ich pod blatami stołów nakrytych lnianymi obrusami. Były na głowę dziewczyny, żony i narzeczone - były fantastycznymi aktorkami. Nie rozumiałam, jak mogą być takie przekonujące, wzdychając do siwiejących luterzańskich mężów jak do cudem odzyskanych ukochanych z młodzieńczych lat. Ja tak nie umiałam.

To co się działo na scenie, nie było nawet w połowie tak interesujące, jak psychoseksualny dramat, który rozgrywał się przy stolikach. Większość dziewczyn znudzona odwalala swoje sety, poruszając się na scenie jak kiepsko animowane figurki superbohatek. Tańczyły głównie do niczym się niewyróżniających rytmów i nonszalancko zrzucały z siebie ciuchy. Kolorowe światła odbijały się od łysin i okularów gości, którzy co prawda gapili się na nagie tancerki, ale nigdy nie podchodzili do sceny i nie dawali napiwków. Trochę mnie to dziwiło, bo o tutejszej klienteli mówiło się, że to „urzędasy z kupą kasy”. W porównaniu z „Schieks”, bar „Skyway Lounge” był speluną, ale przynajmniej tam dziewczynom nie brakowało ognia.

Pokręciłam się po „bibliotece”, ale nie znalazłam chętnego, postanowiłam zatem wrócić do przebieralni i przeliczyć pieniądze (na przekór radom Kennyego Rogersa, że nie liczy się pieniędzy, dopóki partia trwa). Nie wiedziałam dokładnie, ile tego jest, ale zdążyłam zgromadzić całkiem pokaźny zwitek dwudziestodolarowych banknotów wetkniętych za pończochę. Nie zdążyłam dojść do schodów, kiedy pończocha się zsunęła, a plik brudnej forsy rozsypał się na podłodze.

- Musisz sobie kupić podwiązkę, bo wszystko pogubisz - zbesztala mnie przechodząca obok striptizerka, kiedy schyliłam się, żeby zebrać swój zysk. Pokazała mi, jak owija sobie podwiązkę wokół kostki i obwiązuje

banknoty, żeby nie wypadaly. Podziękowałam jej i ruszyłam w stronę przebieralni.

Kiedy wchodziłam po schodach, wpadła na mnie, omal nie zbijając mnie z nóg, dziewczyna, która wyglądała zupełnie jak Katie Holmes, ślicznotka o policzkach jak jabłuszka, przyciskająca do ciała kilka strzępów białej koronki. Roznamiętniony klient zdarł z niej bieliznę. Parsknęła śmiechem, widząc moją wystraszoną minę.

- Witaj w „Schieks”! - zawołała, sunąc po schodach niczym duch w przykusych lachmanach.

Zmiana skończyła się nadspodziewanie szybko. Jak wszystkie striptizerki każdego wieczoru, chciałam tylko kilku godzin pracy więcej, kilku więcej szans na trafienie idealnego klienta i wyczyszczenia go do zera. Jeszcze nie sprzedałam „kuponu na apartamenty” (szczerze powiedziawszy, prywatne salki przyparwiały mnie o gęsią skórkę), i zarobiłam niewiele ponad „przydział”. Z końcem wieczoru spłaciłam klub (nieprzyjemny rytuał, który sprawił, że poczułam się, jakbym miała metkę z ceną przyklejoną do czoła) i pomyślałam, że naprawdę czas najwyższy wracać do domu. Zabawianie gości w „Schieks” okazało się cięższą pracą, niż sądziłam - nadreptałam się jak akwizytor z *Fuller Brush Man*, tyle że na niebotycznie wysokich, zahaczających już o fetyszizm szpilkach. Króciutki występ w „Skyway Lounge” nie przygotował mnie na trudy walki o klienta w „Schieks”. Ale trzy ekstatyczne sety na scenie były tego warte. „Witaj, Minneapolis! Jestem Roxanne!”.

Po powrocie do domu wyjęłam pieniądze i obejrzałam tak uważnie, jak gdyby każdy banknot miał moc tajemną. Zanim wpełzłam pod koldrę, pod którą spał Jonny, wzięłam potwornie gorący prysznic. Szorowałam sobie uda i brzuch jak Meryl Streep w *Silkwood*, rozmyślałam o tym, jak obrzydliwym zajęciem jest striptiz, jak

wyrachowanym. Czy istnieje coś bardziej upokarzającego od błagania facetów, których się nie chce, o trzy minuty ich towarzystwa? Cały rytuał był wykroczeniem przeciwko logice, naturze i wielowiekowej tradycji, która każe mężczyznom uganiać się za kobietami. (Kto to słyszał, żeby prześliczne dziewczyny uganiały się za brzuchatymi lysielcami?) Zastanawiałam się tylko, czy pod maską zapraszających uśmiechów klienci choć czasem dostrzegają zwykły wstręt. Ale i tak wiedziałam, że tam wrócę. Dalej będę grała w tę ruletkę. I rozbiję bank.

\* \* \*

Następnego ranka w agencji czułam się jak przepuszczona przez wyżymaczkę. Pracowałam w „Schieks” do pierwszej w nocy i stopy miałam jak dwa różowe balony. Najważniejsze jednak, że przyniosłam do domu trofeum w postaci stu pięćdziesięciu dolarów w wymiętoszonych banknotach, a dla skromnej maszynistki to już jakiś pieniądz. Dostałam do wniosku, że numer ze strip-tizem wart jest powtórzenia - oczywiście nie codziennie, ale kilka razy w tygodniu. Mogłabym, jak to nazywają w beznadziejnych poradnikach, „zwiększyć swój potencjał zarobkowy”. Nigdy nie popierałam udawania kogoś, kim się nie jest, ale może nie zaszkodziłoby sprawić sobie lepsze ciuchy (w najjadowitszym odcieniu *chartreuse*), przestać obgryzać paznokcie do krwi i przejść na jedną z tych modnych diet, które zalecają steki i desery z bitą śmietaną w celu przyspieszenia spadku wagi.

Uznałam, że być striptizerką to za mało. Musiałam być tą, o którą wszyscy pytają. Chciałam brylować, lśnić, podskakiwać niczym fantomowa czirliderka wydarta ze skarbca pamięci każdego mężczyzny. Chciałam, żeby moja skóra lśniła od olejków i odbijała fioletowe światła

lamp stroboskopowych, chciałam mieć włosy jak piosenkarki z Nasłwille, bujne, kręcone, natapirowane. Chciałam pokazać światu, że mam do tego smykałkę i że nie ma takiego, któremu by przy mnie nie stanął. Sprawić, żeby żona przeciętnego faceta wyglądała przy mnie jak chłopka zbierająca kartofle na obrazie van Gogha. Przaśnie. Plebejsko. Pospolicie. Czekalo mnie, z czego zdałam sobie właśnie sprawę, prawdziwe wyzwanie.

\* \* \*

Wieczorem wybraliśmy się z Jonnym do jednego z naszych ulubionych lokali, przytulnej kręgielni „Texa-Tonka”, gdzie popijający herbatę z prądem miłośnicy kręgli pokojowo współzystawali z miejscowymi ekscentrykami. Piliśmy koktajle i gadaliśmy.

- Mogłam się bardziej postarać - wyznałam. — To znaczy, widziałam dziewczyny, które w jeden wieczór zarabiały dziesięć razy tyle co ja.

- To był twój pierwszy wieczór - odparł przytomnie Jonny, czule obejmując kieliszek z resztkami „brudnego martini” z wódką. - Nie możesz oczekiwać, że z miejsca zarobisz tysiąc dolarów.

- Wyglądałam bez sensu - stwierdziłam. - Inne dziewczyny przypominały aktorki porno. Zawsze myślałam, że mogę się podobać, ale chyba sobie pochlebiałam.

- Muszę wpaść i popatrzeć, jak pracujesz - oznajmił kategorycznym tonem Jonny. - Zalóżę się, że jesteś zjawiskowa. Masz w sobie coś wyjątkowego, czego tamte nie mają. Kurczę, jesteś ostrą rockową laską. Rządzisz!

- Kochanie — westchnęłam, używając mojego ulubionego czulego słówka. — Ty mnie jeszcze kiedyś doprowadzisz do zguby.

Wiedziałam, ile miałam szczęścia, trafiając na takiego faceta. Dzięki niemu mój plan kupczenia dupą nagle stawał się czymś przyzwoitym, seksownym i zabawnym. Potrzebowałam jego wsparcia, żeby się nie wycofać, tym bardziej że zdążyłam zauważyć, że praca w „Schieks” przypomina zamknięcie się w wilgotnym lochu z tysiącem głodnych zombi. Idealizm Jonny'ego napędzał mój jednoosobowy laskomobil, sprawiał, że chciałam jechać dalej, rozjeżdżając kolejne żywe trupy i opróżniając ich portfele. „Bru-u-um, skarbie!”



# Linie równoległe

Zacząłam pracować w niedziele i środy, od siódmej wieczorem do zamknięcia. Próbując rywalizować z nieprzyzwoicie ładnymi laskami z „Schieks”, kupiłam dwa nowe stroje: błyszczącą sukienkę z siateczki, która miała niefortunną tendencję do ustawicznego zahaczania o kolczyki w moich sutkach, oraz wiązaną na szyi bładoróżową sukienkę, którą wysłałam na natychmiastową emeryturę z chwilą, gdy zobaczyłam identyczną kreację na dziewczynie o wyjątkowo bujnych kształtach. (Czarna rurka skończyła na wygnaniu w najciemniejszych zakamarkach szafy, gdzie odkryły ją moje koty i radośnie ochrzciły sikami.)

Z tajemniczych powodów awansowałam w agencji. Szefowa zapalała do mnie sympatią i zaczęła przebąkiwać o podwyżce. Potrzebowałam tych pieniędzy, ale na samą myśl o zwiększonym zakresie obowiązków stopy w trampkach od Chucka Taylora robiły mi się mokre od potu. Praca maszynistki miała w sobie prostotę, która mnie zachwyciła. Copywriterzy podjeżdżali pod moje biurko na srebrnych skuterach marki Razor i podrzucali mi poprawki, które wprowadzili do swoich scenariuszy. Ja wprowadzałam je do komputera, drukowałam

i rozsyłałam do całej sieci posępnych redaktorów. Byłam genialnym biurowym robotem w strojach od Old Navy, zawsze skorym do żartów i gotowym obsypać najbardziej nawet nieudaną reklamę mrożonek mnóstwem nieszczerych komplementów. Przekładało się to na względną popularność w serpentynowych czeluściach agencji, a ewentualny awans mógłby zakłócić delikatny ekosystem.

Byłam świadoma tego, że koledzy z pracy mogą się pojawić w „Schieks” i zobaczyć, jak potrząsam skarbonką, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Ludzie z agencji za bardzo chcieli się lansować, żeby odważyli się na coś tak obciachowego, jak wypad do baru z goliźną (kiedy chcieli poprawić sobie humor, woleli zwykle wybrać się do „Nye's” - polskiej restauracji z polką na żywo i geriatryczną klientelą). Nie pocilałam się na myśl o tym, że zostanę przyłapana z gaciami przy kostkach, że się tak wyrażę, ponieważ byłam przekonana, że żaden z moich będących *au courant* agencyjnych znajomków nie chciałby się pokazać w takiej dusznej kostnicy jak „Schieks”. Ten lokal był antytezą bycia *cool*.

Domyślcie się już, do czego zmierzam? Trzeciego dnia mojej pracy w „Schieks” wypatrzyłam dwóch kolegów z agencji. Nie znalazłam ich za dobrze, ale kojarzyłam, że pracują w dziale IT. Co tutaj robią informatycy? Przecież tu nie ma komputerów! Usiedli przy jednym ze stolików blisko sceny, przyglądając mi się z rozdziawionymi ustami. Z niejasnych powodów w pierwszej chwili zrobiło mi się głupio, jakby bezprawnie wtargnęli na babskie przyjęcie. Z drugiej strony czułam ulgę, zupełnie jakbym podświadomie chciała dać się przyłapać i mieć to z głowy.

Tamtego wieczoru mimo nowej siatkowej kreacji szło mi po prostu fatalnie.

- Nie lubię tej twojej kiecki - powiedział mi wprost jeden z klientów, sadzając mnie na kolanie tak energicznie, że plasnęłam o nie półdupkami. (Nauczyłam się nie myśleć o mojej fobii na punkcie wszy łonowych i obla-piałam się z klientami.)

- A co lubisz? - zapytałam uwodzicielsko, licząc na to, że powie: „Twoje nagie ciało” i będę mogła wyskoczyć z tej cholernej sukienki.

- Drobnutkie blondynki - odparł. - Takie jak ona. - Wskazał jedną z rzeszy dziewczyn o imieniu Diamond, które pracowały w „Schieks” za mojej kadencji. Wyglądała - wypisz wymaluj - jak Kate Hudson, miała loczki niczym cherubinek i niemal chłopięce ciało.

- Ej, Diamond! - zawołałam.

Obróciła się i spojrzała na mnie.

- Kolega chybaby chciał, żebyś dla niego zatańczyła - powiedziałam, gramoląc się z jego kolan.

Diamond lawirowała między stolikami, a wysadzany cyrkoniami wisiorek w kształcie króliczka Playboya, który kolysał się między jej piersiami, krzesał kolorowe iskry. Ta dziewczyna zawsze wyglądała, jakby było jej bardzo ciepło, nawet wtedy, kiedy w naszej chłodni z mięsem robiło się zimno nie do wytrzymania. Była ciepła nie tylko w podstawowym, fizjologicznym sensie, ale rozgrzana jak koń, który biegał całymi godzinami i cały był rozruszany i zlany czystym potem. Cechę tę mają jedynie najlepsze striptizerki, a Diamond zdecydowanie była pokazową klaczą w naszej stadninie.

- Cześć! - powitała gościa Diamond, mierząc mnie czujnym wzrokiem. Zrzekanie się klienta na rzecz innej dziewczyny było czymś w najlepszym razie niecodziennym, ale co miałam robić? Dręczyć biedaka, dopóki nie zgodzi się skorzystać z moich usług, mimo że tak naprawdę wolałby inną? Żenada. Duma nigdy nie

pozwoliłaby mi zniżyć się do takiego poziomu. Wciąż chciałam wierzyć w kult czcicieli striptizerek, nawet jeśli holdy składano im tylko dla pozoru. Gdyby laska wzięła na celownik odpowiedniego klienta, byłaby traktowana jak bóstwo (i sownie opłacana), dopóki nie zapalą się światła. I to rozumiem. Ale błagać, prosić i (lub) grozić urabiać opornego klienta, żeby rozstał się z własną gotówką? To już znacznie mniej kusząca wizja. Chciałam, żeby mężczyźni rozkoszowali się uwagą, jaką laskawie im poświęcam, i rewanżowali się bręczącą monetą. A jeśli coś im nie pasuje? „Dawać tu tę blondyne!”.

Kiedy Diamond zajmowała się swoim nowym kumplem, bez zastanowienia, impulsywnie podeszłam do stolika, przy którym siedzieli moi dwaj znajomi z pracy i podziwiali miejscowe atrakcje. Na scenie była akurat żylasta Rosjanka po szkole baletowej, która tak zapamiętała wywijala piruety, jakby startowała w konkursie, w którym główną nagrodą jest głowa Chrzciciela na tacy.

- Cześć! - powiedziałam. - Mogę się do was przyśiąść? - Uznałam, że ich pieniądze są równie dobre jak każdego innego faceta. Poza tym już mnie zauważyli.

- Ależ prosimy bardzo - odezwał się jeden z informatyków z działu IT. Kiedy usiadłam, natychmiast rzuciła się na nas dziewczyna od drinków. W „Schieks” szkolono kelnerki, żeby niczym sępy w czarnych kabaletkach spadały na klientów i krążyły wokół nich, dopóki nie zgodzą się postawić striptizerkom po drinku. Zamówiłam wódkę z red bullem - pobudzacz z uspokajaczem w jednej musującej hybrydzie smaków gumy balonowej i szczyń ćpuna.

- Gdzie pracujesz? - zapytał Pierwszy Komputerowiec.

- Pracuję w agencji reklamowej - odpowiedziałam, wytrzymując jego spojrzenie.

- My też - wtrącił Drugi Komputerowiec. - A w której?

Powiedziałam w której. Popatrzyli po sobie, twarze zmięły im się w bolesciwych uśmiezkach. Jak to się brzydko mówi: sprawa się rypla. Oficjalnie stałam się materiałem dla biurowych plotkarzy.

- Wy chyba także tam pracujecie, prawda? - zapytałam. Czulałam, że są znacznie bardziej zakłopotani niż ja. Obaj zrobili się wiśniowi na twarzach.

- No - przytaknął Pierwszy Komputerowiec nieśmiało. - Tak się nam wydawało, że to ty!

- Dorabiam tutaj wieczorami - wyjaśniłam. - W agencji płacą główniane pieniądze, jak zapewne doskonale wiecie.

- To prawda. - Drugi Komputerowiec nieco się odprężył. - Normalnie dno i dwa metry mułu.

- Nie mówcie nikomu - poprosiłam, unosząc jedną brew. A brwi mam niesamowite. Każdy ma coś wyjątkowego, nawet striptizerki klasy D.

- Nie powiemy, jeśli i ty nie powiesz, że nas tutaj widziałas — zaproponował Pierwszy Komputerowiec.

- Brzmi uczciwie - odparłam, wciągając nasyconą kofeiną gorzałę przez tanią barową słomkę. Prawdę mówiąc, wcale nie uważałam, że są w tej samej sytuacji co ja, i byłam im wdzięczna za tę propozycję. Miałam znacznie więcej do stracenia, gdyby plotki dotarły do agencji. Z drugiej strony nikt nie karalby dwóch rozbuchanych erotycznie administratorów sieci za wyprawę do nocnego klubu.

- Od dawna tańczysz? - spytał ostrożnie Drugi Komputerowiec.

- Dopiero od zeszłego tygodnia - wyznałam. Nie spodobało mi się to pytanie. Jakimś cudem błyskawicznie zdarło ze mnie patynę fajności i zdemaskowało mnie

jako roztrzęsioną nowicjuszkę. Zazdrościłam dziewczynom, które pracowały w branży od lat, mimo że w rezultacie wszystkie miały młotkowate palce, zatoki wyżarte od kokainy i zaburzenia w sferze intymnej. Ale były *cool*. W ich żyłach płynął szampan, świeciły w ciemnościach jak rad. Klienci kupowali im przystawki, biżuterię, a czasami trafiło się i porsche.

- Podoba ci się tutaj? - spytali informatycy.

- Jasne, jest po prostu super - odparłam. Przez kilka chwil siedzieliśmy w pełnym zadumy milczeniu. Zamówiłam drugą wódkę z red bullem, bo pierwsza na niewiele się zdała i żołądek wciąż miałam zwinięty w zimny supel.

- No - rzekł w końcu Pierwszy Komputerowiec.  
- To może dla mnie zatańczysz?

- Serio? - upewniłam się. - Chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła?

Kiwnął głową, a ja zaczęłam się zastanawiać, ile wódeczki chłopcy zdążyli w siebie wlać, odkąd zaczęli balować.

Didżej zapuścił *My Sharona*, a ja wyskoczyłam z siatkowej kiecki. Pierwszy Komputerowiec odchylił się do tyłu, rozsunał nogi i opuścił ręce wzdłuż boków, przyjmując uniwersalną pozycję mężczyzny podczas tańca erotycznego.

- Ale później uaktualnisz mi twardego dyska? - zażartowałam, klękając między jego nogami i energicznie głaszcząc go po udach.

- Jasne - odparł Pierwszy Komputerowiec, a oczy miał półprzymknięte. - Co tylko będziesz chciała.

Przycisnęłam mu biust do twarzy i delikatnie policzkowałam go piersiami.

- To mile - powiedział z aprobatą.

- Może dałoby się jakoś załatwić, żeby za tę noc rozpusty beknęła agencja — rzuciłam pół żartem, pół

serio. - Powiedz, że odbyliśmy tutaj ważne spotkanie służbowe.

Roześmiał się.

- Marne szanse.

\* \* \*

Mijały godziny, a ja sprzedalam co najmniej pięć prywatnych tańców moim dwóm komputerowcom. Chyba namęczyłam się dłużej przy informatycznych wackach niż dziwka na zjeździe elektroników. Tymczasem chłopcom coraz bardziej szumiało w głowach od najlepszego importowanego piwa serwowanego w „Schieks”.

- Kocham się w tobie od wielu tygodni - wybelkotał Drugi Komputerowiec. - Zawsze jak jedziemy razem windą, chcę do ciebie zagadać, ale nie mam śmiałości.

-Jasne - mruknęłam, szybko przeliczając banknoty.  
- Coś mi się wydaje, że to guinness przez ciebie przemawia. Nawet akcent ci się zmienił na irlandzki.

- Nie, powaga - zapewnił, podając mi następane dwadzieścia dolarów, żebyśmy znowu się rozebrała. - Jesteś ta-a-aka piękna.

- Człowieku, ale będzie ci lyso, jak następnym razem wpadniesz na mnie w pracy - uprzedziłam. - Prawdę mówiąc, ja też będę czuła się dziwnie.

- Nie - upierał się. - Spoko. Wcale nie będzie mi lyso.

Dokończyłam ostatni taniec, pod byle pretekstem pożegnałam się i pobiegłam do przebieralni. Sytuacja zaczynała się robić poważna i czułam się coraz bardziej nieswojo. Poza tym w pęcherzu wciąż musowało mi kilka kieliszków wódki. (Podczas pracy w klubach rzadko sięgałam po gorzałę, mimo że większość dziewczyn, z którymi pracowałam, nie była w stanie opchnąć gościom

ani jednego prywatnego tańca, dopóki nie walnęły sobie kilku kielichów na rozgrzewkę. Popalały skręty na schodach i chlały darmowego szampana, aż stopy zaczynały im się rozjeżdżać pod wpływem potężnej kombinacji marihuany i bąbelków.) W głowie mi się kołowało, usiadłam więc na ławce i przeliczyłam zarobione pieniądze: trzysta dolarów. Nieźle jak na mroźny środowy wieczór w mieście, które nigdy się nie budzi.

Za pierwszym razem (i za każdym następnym aż po koniec świata), kiedy mijalam moich komputerowców w agencyjnym holu, nie byli w stanie na mnie spojrzeć ani wydać z siebie kilku słów na powitanie. Spodziewalam się takiej reakcji, mimo to jednak zrobiło mi się wyjątkowo smutno.



# Maferfalisfki

Po kilku tygodniach pracy w „Schieks” doszłam do wniosku, że striptizerki to najbardziej fascynujące i nieprzewidywalne stworzenia, jakie kiedykolwiek miałam okazję obserwować. W wieczory, kiedy był większy ruch, zdarzało się, że na sali pracowało nawet pięćdziesiąt dziewczyn w różnych fazach roznegliżowania (i upicia). Co prawda przekładało się to na tragicznie długie przerwy między występami scenicznymi i ograniczało liczbę setów do zaledwie dwóch czy trzech na całą zmianę, ale uwielbiałam ten chaos. „Schieks” zamieniał się w miejsce z bachanaliami toczącymi się w zwolnionym tempie, rewią piersi oderwanych od reszty ciała, toastów wznoszonych szampanem w smukłych kieliszkach, szminki Coco Red i niewidocznej matematyki. „Jeszcze cztery tańce” - szeptały dziewczyny jedna do drugiej w rzadkich chwilach samotności. „Jeszcze dwa tańce i będę miała na wypłatę dla klubu. Jeszcze dziesięć i będę miała na czynsz”. Wymieniały się często kostiumami, przesadnie, jak gdyby sukienka w innym fluorescencyjnym kolorze miała dramatycznie zmienić kierunek przepływu wieczornej gotówki na ich korzyść. „To moja szczęśliwa kiecka. Zawsze się obławiam, gdy mam ją na sobie. Sama zobaczysz”.

Osobiście nigdy nie zamieniałam się na kostium w trakcie zmiany. Uważałam, że klienci nie przychodzą do klubu na pokaz mody. Wracają do domów, wpelzają do małżeńskich łóżek i masturbują się pod obraz konkretnej pary cycków, konkretnego tyłka, kosztownego dotknięcia wypielęgowanej dłoni. Nie obchodziło ich, czy laska, którą posuwali w swojej wyobraźni, miała na sobie sukienkę czerwoną lub złotą. Mimo to większość dziewczyn upierała się, że jest na odwrót. Twierdziły, że mężczyźni są niewolnikami bodźców wzrokowych i że w związku z tym odpowiedni kolor albo odpowiednia faktura materiału mogą zmienić noc wartą pięćset dolarów na taką wartą tysiąc. Może i miały rację. Czasami ta teoria znajdowała potwierdzenie, kiedy jakaś dziewczyna przebrała się i natychmiast rozbijała bank, ale najczęściej dowody nie były rozstrzygające.

Była tylko jedna żelazna reguła, którą z czasem także ja zaakceptowałam: faceti lubią białe buty. Dziewczyna bankowo zarabiała więcej pieniędzy, kiedy zamiast czarnych założyła lśniące białe szpilki. Biel kojarzy się z latem, z niewinnością, z cysną pielęgniarką, która kiedy leżało się na oddziale intensywnej terapii po usunięciu migdałków, przynosiła na pociechę lody z bitą śmietaną i piankami, z dziewczyną na molo, w króciutkich szortach, do których w 99,44 procent nikt się nie dobrał aż do college'u, z nowymi wrotkami. Porządne dziewczyny ubierają się na białe - i facetów to kręci. Żaden nie oprze się opalonej lasce w białych szpilkach. Niestety, ja byłam taka blada, że biel butów gładko przechodziła w naturalny kolor mojej skóry.

Oczywiście striptizerki dokładały jednocześnie wszelkich starań, żeby nie wyglądać na zbyt niewinne, niedostępne czy przeintelektualizowane. (Swayze mógł nam wciskać kit w filmie z 1987 roku, ale prawda jest

taka, że każdy inny zostawiłby biedną Baby w tym jej szarym kącie.) Idealne wcielenie, które sprawdza się na sali, to egotyczna, głupia jak but kontorsjonistka cyrkowa, elastyczna zarówno w dosłownym, jak i w moralnym sensie. Wymagało to pewnego zacięcia teatralnego, za to uzdolniona aktorka mogła sobie pozwolić na to, żeby przejść na emeryturę w podeszłym wieku dwudziestu ośmiu lat, obkupiwszy się w futra i sprawiwszy sobie w Shakopee dom w stylu Tudorów, z czterema sypialniami.

Nie sposób było nie zauważyć, która rozbila bank - podwiązka była jak znak rozpoznawczy. Starannie poskładane banknoty sterczały na wszystkie strony niczym kiczowata zielona rozgwiazda. Ten dziwny kwiat nosiło się z dumą, jak stroik z kwiatów od chłopaka na balu, tyle że był to bal toples. Striptizerki w „Schieks” nie używały portmonetek - nosiły pieniądze przy nagim ciele i na widoku. Ta demonstracja gotówki była jak odznaka sprawnościowa u harcerki albo metka z ceną na towarze: dzięki niej każdy wiedział, ile musi wybulić za towarzystwo noszącej ją striptizerki. Zdarzało się, że dziewczyna, która miała stałego klienta, nosiła wiele tysięcy dolarów przy wątlej piszczeli - praktyka ryzykowna, ale efekt naprawdę *cool*.

Głównym źródłem dochodów w dobrych klubach są właśnie stali klienci, skłonni wydawać niewyobrażalne sumy na jedną ulubioną dziewczynę. W „Schieks” stali klienci przesiadywali, cóż... Właściwie stale. Była taka dziewczyna, Sidnee, która miała stałego klienta odwiedzającego ją co najmniej trzy razy w tygodniu i płacącego tak hojną ręką, jakby wyjmował z kieszeni jakieś paprochy, a nie studolarowe banknoty. Sidnee rzadko tańczyła na scenie (była zbyt zajęta mizdrzeniem się do wyraźnie zadurzonego w niej klienta), ale kiedy już się

na niej pojawiła, nieodmiennie rozstawała się z bielizną przy dźwiękach *INeeda Miracle*, wyjątkowo upierdliwego kawalka techno. Prawdopodobnie pasował jej tekst tej piosenki, bo wiele osób uznałoby, że Sidnee „potrzebuje cudu” znacznie mniej niż reszta z nas. Jej klient dbał o to, żeby była bogata. Zdawałam sobie sprawę, że luksusy, w jakie opływała, zależą od jednego faceta w średnim wieku i w obciachowym swetrze a la Bill Cosby. Jeśli jego fascynacja kiedykolwiek osłabnie, ona wróci na swoje miejsce w szeregach zwykłych dziewczyn, które zachęcają do zakupu dwóch tańców w pakiecie (obci-narka do cygar gratis).

Mnie również czasem się zdarzało, że jeden z klientów obiecywał, że wróci do klubu specjalnie po to, żeby się ze mną zobaczyć. „W które wieczory jesteś tutaj?” - pytali zawsze. Udawałam zachwyconą ich zainteresowaniem, ale wiedziałam, że raczej do mnie nie wrócą. Nie bez dostatecznej zachęty, a takiej dawać nie zamierzałam. Od razu mówiłam, że seks jest wykluczony, i nawet nie próbowałam udawać, że mogę zmienić zdanie. Im zaś chodziło wyłącznie o seks, zawsze. Regularne bzykanko stanowiło naturalny finał znajomości między striptizerką a stałym klientem, było również najszybszym sposobem na uzyskanie nowego samochodu czy bransoletki z szafirami, którą można ewentualnie opylić w lombardzie. Mimo to nie miałam zamiaru pieprzyć się z kimś dla pieniędzy - i nie ze względu na Jonny'ego, który z koncepcją płacenia za przyjemności był podejrzanie oswojony, ale dlatego, że myśl o wzajemności w seksie w tym wydaniu budziła we mnie odrazę. Nie miałam oporów, żeby ocierać się o klientów, dotykać ich czy nawet od wielkiego święta kokieteryjnie cmoknąć kóregoś w policzek, jeśli sądziłam, że może mi się to opłacić. Ale jak tylko pomyślałam, że taki fa-

cet mógłby mnie w rewanzu dowolnie dotykać, od razu miałam pawia za zębami.

Czyjeś usta na moim cycu, czyjaś łapa na mojej dupie? Żeby nie wrzeszczała, musiałby mnie chyba zakneblować kluczykami do nowiutkiego kabrioletu model Karmann Ghia.

Sama nie wiem, kiedy pieniądze zrobiły się dla mnie ważne. Przyszłam do „Schieks” głównie dla adrenaliny - chciałam stać się bezwstydną jak jawnoгрzesznica Magdalena, odsądzana od czci i wiary w kościołach mojego dzieciństwa. Podświadomie pragnęłam także uciec przed dorosłością, ku której dyskretnie popychała mnie moja szefowa. Odpowiedzialność za cudze pieniądze przerażała mnie tak, jak nigdy nie zdołałaby mnie przerazić branża porno, i zamierzałam uciec z płataniny wąskich ścieżek prowadzących do dobrych zarobków, zanim na dobre ugrzęznę w korporacyjnym świecie. Nagle miałam alternatywę: mogłam żyć, kombinując, jak zarobić, żeby się nie narobić. Mogłam machnąć ręką na swoje solidne wykształcenie w duchu feminizmu drugiej fali i udawać głupią jak but z lewej nogi lalę do towarzystwa. A przy tym robić coś, co naprawdę mi się podobało. Poza tym system wypłat stosowany w „Schieks” w każdej z nas rozbudzał żądzę gotówki - trzeba było zarobić na działkę klubu, żeby później zarobić cokolwiek dla siebie. Zmieniało nas to w sępy krążące po sali nawet wtedy, kiedy ostatni klient był już zaklepany. Musiałyśmy jakoś sobie odbić hańbę noszenia stringów przy obcych ludziach. Musiałyśmy kosić szmal.

Ku mojemu zaskoczeniu musiałyśmy sprzedawać nie tylko prywatne tańce. Wszystkie artystki w „Schieks” musiały również co pewien czas krążyć po sali z koszulkami, czapkami, cygarami i zestawami do manikiuru, oferując je klientom „po okazyjnej cenie”, o ile zgodzą

się zamówić taniec. Nie miałam zbyt dużych obiekcji, dopóki się nie dowiedziałam, że za każdy niesprzedany przedmiot jest naliczana wysoka kara. Nie dość, że ta swoista akwizycja jeszcze nasilała atmosferę i tak już niezdrowej rywalizacji, to jeszcze była żenująca dla obu stron. Naprawdę trudno jest zachować nimb erotycznej tajemniczości, jednocześnie namawiając przygodnego faceta, żeby wydał czterdzieści dolarów na parę kiepskich nożyczek do paznokci. To już nie wystarczy się rozebrać? Przez takie korporacyjne klimaty zaczynałam tęsknić za relatywną niewinnością „Skyway Lounge”. (Cholera, w „Skyway Lounge” striptiz to jest striptiz!)

Czasami jednak pieniądze płynnie przepływały z portfela klienta za moją srebrną podwiązkę. W takie wieczory czułam się kuloodporna i twarda jak diament. Wyginałam plecy nad miednicą jakiegoś kolesia, pieściłam swoje nagie piersi i wpatrywałam się w gargantuiczny kryształowy żyrandol. Widok w lustrzanych panelach na suficie był filmowy, dekadenski, niemal absurdalny. Chyba nie rozpoznałabym dziewczyny, która patrzyła na mnie z lustra, gdyby nie tatuaże\*. Oczy miała takie spokojne, takie pewne siebie. Panowała nad ciałem z łatwością, której mnie brakowało. Zawsze byłam niezdarna, zawsze wstydziłam się swojej niedoskonałości. Jako dziecko długo nie byłam w stanie zapanować nad pęcherzem, a co dopiero nad kończynami. Ale ta dziewczyna, moje lustrzane odbicie, nie miała pojęcia o moich problemach. Razem z ubraniem pozbyła się wspomnień - pękł pęcherz owocowy i wyłoniło się z niego całkiem nowe zwierzę.

„Seksowna suka” - wyszeptalam bezgłośnie swojemu odbiciu. Tak wyglądały dobre noce. Ale w tej bibliotece

\* Nawiasem mówiąc, tatuaże mam naprawdę zajebiste.

nagich ciał dobre noce zdarzały się zbyt rzadko. Przy-  
najmniej dla mnie.

Wiedziałałam, że jeśli zostanę w „Schieks”, nigdy nie zarobię pieniędzy, jakich nagle zaczęłam pożądać. Wyglądałam zbyt niekonwencjonalnie i byłam zdecydowanie za mało uległa, żeby spełniać kaprysy starych wampirów, które nawiedzały nasz klub. Zamiast jednak na zawsze rozstać się ze striptizem (jak początkowo planowałam uczynić po kilku miesiącach), zbierałam informacje o innych klubach. Odpowiedź na swoje modły znalazłam w dzielnicy magazynów, w trójkondygnacyjnym budynku w odcieniu sorbetu truskawkowego. Witajcie w „Deja Vu”.

## „Deja Vu”

Po wyjątkowo marniutkim tygodniu w „Schieks” podjęłam niezłomną decyzję załatwienia sobie roboty gdzie indziej. Mój wybór padł na „Deja Vu”, duży franszyzowy klub związany z „Hustlerem”. „Deja Vu” zasłynie cieszył się najgorszą sławą w mieście i znalazłam wiele doświadczonych, żeby nie powiedzieć: wysłużonych striptizerek, które na samą wzmiankę o tym lokalu zaczynały kręcić nosem. Mówiły, że to wariacka speluna. „Seksfabryka”\*, antyteza eleganckiego, wolnego od pośpiechu podejścia do erotyki. Do tego dochodził fakt, że w „Deja Vu” tancerki występowały nie toples, lecz całkiem nago, a prywatne tańce, jeśli wierzyć plotkom, były znacznie odważniejsze. Można by pomyśleć, że nie jest to lokal, od którego dziewczyna chciałaby zaczynać karierę.

Kiedyś w „Schieks” rozmawiałam z Tammi - obdarzoną wielkim biustem, smutnooką blondynką, która ciągle zaskakiwała mnie przyziemnymi anegdotami

\* Seksfabryka (rzeczownik) - klub ze striptizem, w którym dziewczyny są bezosobowe i nastawione na nachalną sprzedaż, energicznie nagabują klientów, nie bawiąc się w dłuższe flirty czy udawanie bliższej więzi.



O pracach ogrodniczych albo o podatkach od nieruchomości.

- Zarabiam tutaj koszmarnie - zwierzyłam się jej.  
- Mam serdecznie dość przesiadywania wiecznie z tymi samymi koleśkami i udawania, że kręci mnie *racquetball* 1 udział w spółkach nowych technologii.

- Powinnaś zajrzeć do „Deja Vu” - wychrypiła.  
- Jeśli lubisz być w ruchu, to może tamta buda bardziej ci przypasuje.

Następnego dnia po południu poszliśmy z Jonnym po błotnistym wiosennym śniegu do „Deja Vu”. Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłam ten wielki, różowy murowany budynek, poczułam się przytłoczona. Był to największy klub go-go w okolicy, świadczący usługi na trzech kondygnacjach. Szyld nad drzwiami zachwalał: 1000 PIĘKNYCH DZIEWCZYN i 3 BRZYDKIE. Drżałam, kiedy schyleni wchodziliśmy do środka.

Lokal w niczym nie przypominał „Schieks”, za to wyglądał jak wszystkie nocne kluby, które pamiętałam z filmów. Był nieprzyzwoicie luksusowy: wszędzie welury, burdelowe meble i wykładziny jak z foyer kiepskiego hotelu. Metalowa balustrada wzdłuż głównej sceny także robiła wrażenie - zmieściłoby się na niej i dwadzieścia tancerek. Nad sceną znajdowała się druga, szklana, dzięki czemu klienci mogli podziwiać od spodu dziewczynę tańczącą piętro wyżej. Ta wielopoziomowa ekspozycja piczek skojarzyła mi się z trójwymiarowymi szachami ze *Star Treka*, co z kolei przypomniało mi, że ja zawsze byłam kosmicznie obciachowa.

Sceny łączyła długa na dwie kondygnacje rura, po której na wzór strażaków mogły zjeżdżać co odważniejsze dziewczyny chcące rozpocząć występ na bardziej dramatyczną nutę. Przy wejściu pod jedną ze ścian mieścił się niewielki bar bezalkoholowy, przy którym każdy

z klientów kupował obowiązkowy napój bezalkoholowy po dziewięć dolarów sztuka. (W Minnesocie większość klubów z pełnym striptizem nie ma licencji na sprzedaż alkoholu.) Ubawił mnie widok banera reklamującego bezalkoholowe piwo O'Doula. Przyszło mi do głowy, że wymaginowane procenty to idealny trunek do klubu ze striptizem. Iluzoryczne upojenie - oto sens ich istnienia.

Przystanęliśmy z Jonnym na chwilę, żeby pooglądać striptizerkę pracującą na głównej scenie.

- Pokręcony lokal - mruknałam.

—Ta dziewczyna tańczy do Kissów! - zauważył z podziwem Jonny. Tancerka sunęła po rurze, bez wysiłku podciągając się na samą górę. Obróciła się, zawisła głową w dół i rozpiąwszy stanik, rzuciła go na scenę. Znowu podciągnęła się do pionu, a potem gwałtownie przerzuciła nogi nad głowę i zrobiła szpagat w powietrzu. Patrzyłam na Olgę Korbut branży erotycznej.

- I dostaje napiwki - powiedziałam z naciskiem.  
- Sam zobacz. - Mężczyźni siedzący najbliżej sceny kolejno wyciągali portfele i potulnie kładli na scenę kolejne banknoty. Zachwycił mnie ten widok, w „Schieks” bowiem nie dawano tipów dziewczynom na scenie.

Namierzyłam menedżera (którego rozpoznałam dzięki nieodzownemu rekwizytowi - teczce z klipsem). Dla mnie wszyscy nocni menedżerowie w „Deja Vu” wyglądali tak samo: wąsy, błyszczące ciemne włosy, garnitur. Mylili mi się nawet po kilku miesiącach pracy.

- Cześć - powiedziałam. - Chciałabym u was pracować.

-W porządku - odparł szorstko Wąsik. - Zaczekaj, zaraz któraś cię oprowadzi. - Zanim zdążyłam go o cokolwiek spytać, zniknął za sceną, żeby powrócić w to-

warzystwie opalanej dziewczyny w żarówiastym bikini, ostentacyjnie żującej gumę.

- To jest Sherry - wyjaśnił Wąsik. - Pokaże ci co i jak.

- Kibluję tu od wieków - poinformowała mnie sucho Sherry.

- W porządku - odparłam i bezradnie pomachałam Jonnyemu na pożegnanie.

\* \* \*

Jechałyśmy, do przebieralni na drugim piętrze rozklekotaną, grożącą śmiercią lub kalectwem windą. Sherry miała sztuczne piersi wielkości melonów, ale poza tym w niczym nie przypominała dziewczyn z „Schieks”. Była zdrowa. Tania. Wyglądała, jak gdyby przez cały dzień jeździła na rolkach po plaży, a potem przez nieuwagę potknęła się i wylądowała z twarzą w kadzi kosmetyków Bonne Bell.

- Tańczyłaś już gdzieś? - zapytała mnie z szorstkim akcentem, typowym dla mieszkańców Minnesoty.

- Tak. W „Schieks” - odparłam.

- Tam to są dopiero zdziery - skomentowała Sherry.

- Mnie to mówisz? - odparłam. - Między innymi dlatego chcę zmienić lokal. A wy tutaj jak się rozliczacie z klubem?

- Liczą ci prywatne tańce - wyjaśniła Sherry. - Przed wyjściem musisz zapłacić dwadzieścia dolarów zmianowego, plus siedem dolarów od każdego tańca, za który kasujesz dwadzieścia.

Szybko zrobiłam słupki w pamięci.

- Jeśli więc zatańczę dziesięć razy i zarobię dwadzieście dolarów, muszę odpalić klubowi dziewięćdziesiąt? To dużo.

- Może, ale za to zatrzymujesz wszystkie napiwki z setów - odparła Sherry. - Poza tym naliczają tylko za tańce, które rzeczywiście sprzedawaś, nigdy więc nie wisisz klubowi więcej, niż zarobiłaś.

- Całkiem rozsądnie - przyznałam, choć wcale tak nie uważałam. Zawsze to jednak jakiś postęp w porównaniu z moją obecną posadą. Na dziś byłam zadłużona w „Schieks” na pięćdziesiąt dolarów, a licznik wciąż tykał.

Garderoba w „Deja Vu” przypominała wyłożony płytkami labirynt, tętniący gorączkową aktywnością i pełen striptizerskich akcesoriów. Przez chwilę stałam zafascynowana widokiem szafek ozdobionych błyszczącymi naklejkami, zdjęciami z polaroida, politycznymi deklaracjami i nagryzmołonymi kredką do powiek wyrazami prywatnej nienawiści. Do każdej szafki był przyklejony kawałek taśmy maskującej z wypisanym imieniem. Zauważyłam, że pseudonimy dziewczyn z „Deja Vu” są dość fantazyjne: Adore, Latte, Nikita, Dynasty. Ani jednej Ashley na widoku, jak stwierdziłam z pewną ulgą. Wolalam te egzotyczne, wymyślne pseudonimy od imion mających się kojarzyć z bogatą-laską-z-sąsiedztwa, które były normą w „Schieks”.

Jeszcze więcej niż imiona mówiły o właścicielkach szafek nalepki o bardziej ideologicznej treści. Oscylowały one od dumnych deklaracji (STRIPTIZERKA; SEKSOWNA MAMA; PRZELECIAŁAM TWOJEGO CHŁOPAKA), przez mniej lub bardziej socjopatyczne teksty (TY MÓWISZ, CO CHCESZ, JA MÓWIĘ: WAL SIĘ; MOJA SUKA DOBRZE SSIE; BRITNEY, JAK NIE PAŁĄ CIĘ, TO DZIDA!), po etykiety natury etnicznej lub rasowej (PICOSA; KAKAOWA BOGINI; DUMA AZJI). Zdążyłam się zastanowić, jaka nalepka pasowałaby do mojej szafki, gdy zauważyłam idealną: ODRZUT.

- Jeszcze ci pokażę siłownię i łóżko opalające - powiedziała Sherry, prowadząc mnie przez szpaler szafek.

„Co i co?”

Sherry wcale nie żartowała. Rzeczywiście mieli tam dwa wolne łóżka opalające, zaraz za niewielkim pomieszczeniem z lustrami, przed którymi co ambitniejsze dziewczyny doskonalily sztuczki na dwóch rurach treningowych. Następne drzwi prowadziły do malej salki zastawionej hantlami i sprzętami do ćwiczeń - oczywiście udostępnianych za darmo. Wbiło mnie w ziemię na widok takich luksusów. Co prawda urządzenia te nie wyglądały na sterylne czyste (prawdę mówiąc, aż błyszczwały od potu i warstewki Bain de Soleil), ale wciąż robiły wrażenie. Byłam ciekawa, czy we wszystkich lokalach działających na zasadzie franszyzy mają taki wypas.

- A tu jest jacuzzi - mówiła właśnie Sherry, wskazując dużą wannę z hydromasażem niedaleko natrysków. Jak na komendę, w wannie włączyły się dysze i nieruchoma dotąd tafla lazuruwej wody zaczęła pienić się i bulgotać.

- Macie tutaj wannę z bąbelkami?! - wykrzyknęłam. Wanny z hydromasażem zawsze były dla mnie równoznaczne z hedonizmem, sukcesem i pieprzeniem się do zemdlenia. - Ale bajerancki lokal!

- Nie jest taki zły - przyznała Sherry.

Wyszliśmy z garderoby do ciemnego korytarza.

- A to Erotyczny Strych - wyjaśniła moja przewodniczka, wskazując zamknięte drzwi z przeszkleniami. - Faceci lubią tam chodzić, bo tam nie ma kamer, ale to kosztowna impreza, od dziewięćdziesięciu dolców w górę.

- A co tam jest? - zapytałam.

- Łóżka. - Wzruszyła ramionami. - Jak będziesz miała szczęście, to spędzisz tam bardzo dużo czasu. Tam bywają tylko najlepsi goście, naprawdę dziani.

Zapуściłam żurawia przez przeszklone drzwi, ale zobaczyłam tylko prowizoryczne zasłony podwieszane w taki sposób, żeby chronić najbardziej występnе dziewczyny przed wzrokiem ciekawskich.

Sherry zaprowadziła mnie do niewielkiej niszy. Wskazała rurę, która łączyła trzecią kondygnację ze sceną na drugiej, i znajdujące się obok wąskie, spiralne schody dla tchórzliwych.

- Możesz zejść po schodach. Ja sobie zjadę - powiedziała. Nonszalancko skoczyła w pustkę, w powietrzu złapała się zaśnieżonej mosiężnej rury i zsunęła się na dół, przytrzymując się udami. Słyszałam, jak od tarcia piszczy jej skóra.

Szybko zeszałam po schodach i dołączyłam do Sherry. Stałyśmy na przezroczystej drugiej scenie z panoramicznym widokiem na klub. Piętnaście stóp pod nami naga jasnowłosa dziewczyna przemykała środkiem sceny jak krab.

- To scena VIP-owska - powiedziała Sherry. - Nieczynna aż do nocnej zmiany.

- A te pokoiki za zasłonami? - zapytałam, wskazując ścianę za barem.

- To sypialnie. Tam robimy tańce łózkowe.

- A jak wygląda taki taniec łózkowy? - dociekałam z drżeniem w głosie.

- To coś jak prywatny taniec, z tym że kładziesz się na gościu i udajesz, że się z nim pieprzysz. Kosztuje sześćdziesiąt dolarów. Ale klub rozlicza go jako trzy tańce, odprowadzasz więc od tego dwadzieścia jeden dolarów - wyjaśniała Sherry.

- Czyli w praktyce dostaję trzydzieści dziewięć dolarów za udawanie, że dymam się z obcym facetem - podsumowałam.

- Tak, ale ty tylko udajesz.

- Bosko!

- Są jeszcze kanapy do prywatnych tańców — dodała Sherry. Wzdłuż ściany ciągnął się rząd oddzielonych partycjami kabin, na wszystkich były umieszczone zdjęcia damskich nóg w kabaretkach. W każdej stał mały stolik i wysłużona kanapa dla dwojga. Nacisk, jaki w oczywisty sposób kładziono w tym klubie na kwestie prywatności i intymności, niemal budził we mnie lęk. I miniaturowe kamery przemysłowe śledzące nas z każdego kąta (oprócz miejsc, rzecz jasna, z premedytacją w kamery niewyposażonych) jakoś wcale mnie nie pocieszały.

Za to byłam oczarowana z gruntu rockandrolowym klimatem tego lokalu. Przy „Deja Vu” klub „Schieks” ze swoją lipną biblioteką był po prostu wieśniacki. Poza tym zżerała mnie ciekawość. Czy kiedy się zjeżdża po tych strażackich słupach, to człowiek ma stracha? Czy kiedykolwiek się zdarzyło, że któraś z nich spadła? Co się właściwie działo na Erotycznym Strychu? Czy tutaj faceci naprawdę wydają kasę, mimo że nie mogą sobie golnąć dla kurażu? W „Deja Vu” czuło się zapach przemysłowych środków antyseptycznych i intryg.

Później usiłowałam wytłumaczyć się ze swojej decyzji, kiedy z Jonnym wlewaliśmy w siebie cosmopolitany w „Texa-Tonka”. (Mieli tam tylko dwa kieliszki do martini, było więc wielkim sukcesem, że zawłaszczyliśmy je na kilka godzin.)

- Striptizerki są z natury nomadami - mówiłam.  
- Żadna nie zostaje w jednym klubie na długo. Dlatego mi nie żal, że odchodzę z „Schieks”.

- Moim zdaniem w „Deja Vu” będzie ci się bardziej podobało - poparł mnie Jonny. - I dziewczyny wyglądają na dużo fajniejsze. Widziałaś tę przebraną za pielęgniarkę?

- Weź przestań, okay? - odparłam. - To już po prostu wiocha.

- Kiedy powiesz w „Schieks”, że rzucasz tę robotę? - zapytał Jonny.

- Nigdy - odparłam. - Nawet nie zauważą, że mnie nie ma.

I z tego co słyszałam, rzeczywiście nie zauważyli.



# **Dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny**

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby dobrze ci u nas szło - uświadomił mnie zza baru menedżer nocnej zmiany. Szczęotka wąsów (do zmiatania kokainy?) zafalowała z rozdrażnieniem. - Wyglądasz na wredną. Na wyjątkową wredotę.

- Nie jestem wredna - wycodziłam. Włosy miałam świeżo przefarbowane na różowawy odcień gumy do żucia (co wywołało przyjemny szmerek w biurze) i byłam ubrana w turkusowe body z lycry. W zamysle miałam wyglądać jak beztroska nastoletnia prostytutka, najwyraźniej jednak moja twarz wciąż zionęła czystą punkową wrogością. Zrobiłam sobie notatkę w pamięci, żeby na przyszłość zainwestować w botoks i pigułki szczęścia.

- Za to tobie będzie szło bardzo dobrze - zwrócił się do dziewczyny, która siedziała obok mnie. Miała osiemnaście lat, była śliczna i wyglądała jak opiekunka grupy na chrześcijańskim obozie tenisowym. - Wyglądasz na łagodną. Jesteś słodka, jesteś świeża. Nasi goście to uwielbiają.

-Ja jeszcze nigdy nie tańczyłam - wyznała, wpatrując się w swój podolek.

- Dlatego chciałem z wami dwiema porozmawiać, zanim zaczniecie - odparł menedżer. — Zawsze staram się wyjaśnić procedurę wszystkim naszym nowym artystkom.

-Ja już tańczyłam - wyrwało mi się. - W „Schieks”.  
Menedżer uśmiechnął się, że mnie nie słyszy.

- Pod jakim pseudonimem chcesz występować?  
- zwrócił się do tej drugiej dziewczyny.

- Nicollette - odparła. - Tak ma na imię moja siostra. Jest moją najlepszą przyjaciółką i...

-To głupie imię - przerwał jej Wąs. - Nie spodoba się. Wybierz coś seksownego, jak Diamond.

Kiwnęła głową, zawstydzona.

- Musisz dotykać gości - burknął Wąs, dla ilustracji wodząc ręką po odsłoniętych plecach Diamond. Dziewczyna wpatrywała się w podłogę. - Podchodzić do nich i mówić: „Hej, kotku, pójdziesz się ze mną zabawić?”. Dotykaj ich włosów, siadaj im na kolanach. Musisz być seksowna, bo inaczej nic nie zarobisz. - Dłoń pełzła po jej udzie. Pośpiesznie upiłam łyk gazowanego napoju, żeby przemoc odruch wymiotny.

- Ja tak nie mogę - powiedziała Diamond blada jak ściana.

- Nauczysz się - odparł spokojnie Wąs. Obrócił się w moją stronę. - A ty? Jaki masz pseudonim?

- Cherish - odparłam. - Ale możesz mi mówić: aniele, bo coś mi się zdaje, że będzie nam razem jak w niebie.

Pokręcił głową.

- Tak, jasne.

Poszłyśmy z Diamond na scenę na drugiej kondygnacji, żeby poćwiczyć sztuczki przy rurze. Była idealnie śliczna - Miss Nastolatek z lśniąco kurtyną włosów a la Marcia Brady i w trawiastym bikini. Byłam ciekawa, czy przewidywania Wąsa co do naszej finansowej przyszłości okażą się trafione. Wcale nie uważałam, że wyglądam na wredną. Na zamkniętą w sobie? Być może. Na wrogo nastawioną? To wiadomo. Ale pochlebiałam sobie, że potrafię ułożyć twarz w maskę anielskiej zmysłowości.

Miss Mokrych Snów Amerykańskich Małolatów chwyciła oburącz rurę i usiłowała wdrapać się na nią w swoich imprezowych białych lakierkach na obcasach. Ześlizgnęła się, podłoga uciekła jej spod stóp i Diamond upadła na płytki. Z tymi swoimi długimi szczupłutkimi nogami okrytymi puszkami przypominała jelonka Bambi.

- Au! - powiedziała.

- Daj, niech ja spróbuję - odparłam, wykonując nieporadny obrót. Okazało się to nadspodziewanie trudne. Dziewczyny na scenie wyglądały lekko i sennie, kiedy tańczyły przy rurze, z kolei moje ciało wydawało się ciężkie niczym człekokształtny wór mokrych kocich góvien. Ledwie udawało mi się dźwignąć dupsko nad podłogę.

- Musi być na to jakiś patent - zawyrokowałam.

Z garderoby na piętrze wyłoniła się jakaś dziewczyna i obserwowała nas, z rozbawieniem krzywiąc usta. Myślałam, że może będzie się chciała przedstawić, ale ona po prostu przepłynęła dalej w chmurze zapachu „Angel” Thierryego Muglera. W „Deja Vu” człowiek czuł się jeszcze bardziej bezosobowo niż w „Schieks”, bo całe chmary tancerek pojawiały się i znikaly każdego tygodnia, często bez słowa. Menedżerowie nalegali, aby dziewczyny przeprowadziły tyle zmian, ile tylko są w stanie fizycznie wytrzymać, w rezultacie więc każdego wieczoru w klu-

bie pracowało około pięćdziesięciu dziewczyn, czasem nawet więcej. Poza tym bumelowanie w garderobie było bezlitośnie tępione (od dziewczyn w „Deja Vu” wymagano nieustannego nagabywania klientów), było zatem trudno o jakieś kontakty towarzyskie.

Zniechęcone niepowodzeniem przy rurze, wróciłyśmy z Diamond na dół, żeby zajrzeć do budki didżeja.

- Naprawdę mi się nie wydaje, żebym dała radę - wyznała, zamówiwszy kawalek Basement Jaxx. - Nie mogę podchodzić do obcych facetów i ich dotykać.

- Przyzwyczaisz się - powiedziałam z całą obłudną mądrością pięcioletniej „weteranki” striptizu. - To wcale nie takie trudne.

- Pewnie tak - odparła Diamond, nerwowo bawiąc się przezroczystym plastikowym pudełkiem na napiwki. Tancerki rozbierające się do naga nie mają zwyczaju noszenia podwiązek, obie więc przynosiłyśmy z domów małe pudełka na napiwki (zgodnie z tutejszym obyczajem). Ja miałam starą cynową puszkę z logo gry planszowej „Candy Land” i z fotografią dwojga korpulentnych dzieciąt zerkających łakomie na domek z piernika. Puszka ta wydała mi się dodatkiem idealnie pasującym do pełnego pokus, sztucznie przesłodzonego środowiska, w którym pracowały tancerki egzotyczne. Dziewczyny wyglądały jak cukierki, z uśmiechami słodkimi jak miód i w kostiumach w słodkich kolorach lizaków. Jednocześnie te same dziewczyny bez wahania połamałyby ci nogi z taką łatwością, jakby przełamywały dwa czekoladowe batoniki, gdybyś tylko spróbowała z nimi zadrzeć. Wiedziałam, że nawet mała Diamond stanie się z czasem twarda jak one, o ile postanowi dołączyć do tego barwnego stada.

Tak rozpoczęła się moja kadencja w „Deja Vu”. Pierwsze, na co zwróciłam uwagę, to fakt, że tańczy się

tutaj zupełnie inaczej niż w „Schieks”. Dziewczyny nie rozbierały się po prostu do naga - one dawały normalne pokazy ginekologiczne. Patrzyłam, jak kolejne tancerki siadają na „balustradzie” i rozkładają nogi, żeby jak najdokładniej zademonstrować swoje cipki. Niektóre kłękaly i przyciągały męskie głowy do swoich kosztownych, ukształtowanych ręką chirurga piersi, inne podnosiły banknoty ze sceny wyćwiczonymi pośladkami, jeszcze inne przyciskały krocza do twarzy klientów i symulowały orgazm. Jedna co chwilę nurkowała między uda gości i zarzucała im muskularne uda na ramiona. Dziewczyny, które zachowywały się w sposób najbardziej wyuzdany, nagradzano szeleszczącymi banknotami, które klienci składali w miniaturowe kopie piramid z Gizy i ustawiali na balustradzie. Całość kojarzyła mi się z aukcją. Wagina po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci... SPRZEDANA panu w czapce z logo Timberwolves i w polarowym pulowerze upapranym sosem manwich!

Zwróciłam uwagę na krążącą po sali blondynkę w stroju tak obcisłym, że wyraźnie widziało się jej sutki, wargi sromowe, poszczególne gruzelki gęsiej skóry, mieszki włosowe i heliks DNA. Twarz jej zastygła w wyrazie wielkiego skupienia. Króciutkie transakcje między nią a klientami były rzeczowe i wyprane z radości, jakby pracowała przy kasie w banku, a nie w branży erotycznej. Mimo to zdążyła nagromadzić olbrzymią ilość gotówki, której, przewiązanej cielistą gumką recepturką, nigdy nie wypuszczała z ręki.

— To jedna z Rosjanek - szepnęła lękliwie przechodząca obok mnie striptizerka, widząc moje żywe zainteresowanie osobą blondyny. (Cierpię na przypadłość określaną często jako kompulsywne wgapienie się.) - Ruskie zawsze zarabiają kupę szmalu. Nic ich nie powstrzyma.

Moja informatorka miała rację - rzeczywiście funkcjonowało w klubie coś w rodzaju kliki starszych Rosjank i wszystkie zachowywały się bezwzględnie jak roboty. Nie przyjmowały do wiadomości, że klient może powiedzieć „nie”, i nie wahały się zachowywać natarczywie czy niesympatycznie. Język rosyjski\* był moją specjalizacją dodatkową w college'u i posługiwałam się tym językiem dość płynnie. Nie mogłam jednak zdobyć się na odwagę, żeby zagadać do tych rosyjskich dziewczyn w ich mowie ojczystej. Były ostentacyjnie agresywne - jedna z nich notorycznie szturchała mnie w plecy, kiedy uważała, że zbyt niemrawo krążę między stolami. Najchętniej odwróciłabym się i warknęła:

- Wracaj do Kisłowodzka, ty importowana pizdo z katalogu wysyłkowego!

Wolałam jednak nie ryzykować, że przestawi mi kości policzkowe tymi swoimi słowiańskimi wściekły mi pięściami. Siedziałam więc cicho i udawałam, że nie znam rosyjskiego, kiedy gadały między sobą, półgłosem rzucając teksty w stylu: „Powiedzmy, że jesteśmy chore i spadajmy stąd”, albo: „Nie lubię tej nowej z brązowymi włosami. Widziałaś, jakie ma wielkie uda? Na pewno się wstydzi, że są takie grubaśne”.

Resztę dziewczyn pracujących w „Deja Vu” stanowiły małolaty. Prawdą jest, że dwie nie skończyły jeszcze szkoły średniej (choć nie ulegało wątpliwości, że mają skończone osiemnaście lat — minimalny wiek pozwalający na uprawianie zawodu striptizerki). Jedna z nich była czirliderką i z dumą nosiła „służbowe” stroje w fioletowo-złotej torbie z nazwą szkoły na przedmieściach. Bez troski trajkotała o pracy domowej, chłopakach i o tym, jak byłoby fajnie, gdyby znajomi odwiedzili ją w klubie.

\* Wysoce użyteczny!

Dla niej striptiz był całkowicie akceptowalną pracą dorywczą i wyłączając rodziców, było jej wszystko jedno, kto się o niej dowie.

- Właśnie rozstałam się z kimś po naprawdę długim związku - wyznała z przejęciem, kiedy rozglądałyśmy się po sali za potencjalnymi naiwniakami. - Byliśmy razem prawie sześć tygodni.

Nie zdołałam się powstrzymać. Zachichotałam.

- Jak dla mnie, to nie tak znowu długo!

- Ile masz lat? - zapytała podejrzliwie.

- Niedawno skończyłam dwadzieścia pięć - odparłam.

- Jesteś mężatką?

- Nie - odparłam. - Jeszcze nie.

Spojrzała na mnie jak na ekscentryczną starą pannę z ptasimi gniazdami we włosach.

- Nieźle. Ja chcę wyjść za mąż jakoś tak w przyszłym roku.

- Nie śpiesz się z tym ślubem - poradziłam.

- W ogóle z niczym się nie śpiesz. Ciesz się tym, że jesteś młoda, możesz robić striptiz i nie masz żadnych dołujących obowiązków.

- Kiedy ja nie chcę mieć dzieci, jak będę stara i oblesna - powiedziała zmartwionym tonem. - W twoim wieku chcę już mieć trójkę. Dwie dziewczynki i chłopczyka. Nawet wybrałam imiona, Brianna, Madison i Tyler, a w ogóle to chcę zostać w domu, zając się wychowywaniem dzieci i...

Pokręciłam głową. Tak bardzo mi przypominała mnie i moje koleżanki, kiedy byłyśmy w ostatniej klasie ogólniaka i w najdrobniejszych szczegółach planowałyśmy nasze dorosłe życie. Jedyna różnica była taka, że ta dziewczyna bez emocji rozbierała się do naga i udawała, że uprawia seks z facetami w wieku swojego ojca. Nie

mogłam się jej dziwić, że tak wcześnie marzy o stabilizacji - była bardzo młoda, ale doświadczeniami była na głowę niejedną trzydziestolatkę. W porównaniu z sobotnimi wieczorami spędzonymi na Erotycznym Strychu zajęcia w college'u musiały jej się wydawać potwornie nudne.

- Ja w twoim wieku chciałam zostać poetką - powiedziała oficjalnym tonem.

- A wylądowałaś tutaj - odparła dziewczyna. - Co ty tu robisz?

Zbiła mnicz tropu tym pytaniem. Wciąż nie wiedziałam, czego tu właściwie szukam. Dostałam awans w agencji, dzięki pracy po klubach miałam dość pieniędzy, żeby wpłacić zaliczkę na wymarzony japoński samochód, mój dziwaczny eksperyment powinien więc powoli dobiegać końca. Mimo to trwał, bo ja tak chciałam. „Wot i zagwozdka”.

Podniosłam się z barowego stolka i leniwie podeszłam do mężczyzny, który siedział samotnie przy jednym z komicznie małych stoliczków w miękkim świetle lampek.

- Może przeniesiemy się na łóżko i tam ci zatańczę? - zaproponowałam, wślizgując mu się na kolana tak gładko, jakbym była nasmarowana tłuszczem. Czulałam się nieustraszona.

- Jasne - odparł, gasząc papierosa.

Poprowadziłam go po schodach do sypialni, której wystrój miał naśladować dżunglę. Na łóżku leżał duży wypchany lampart, którego ujęłam oburącz i z braku lepszych pomysłów przelożyłam na podłogę. Facet wyciągnął się na łóżku. Zdjęłam top i dosiadłam go okra-



kiem, przyciskając piersi do jego twarzy. Przejechał mi po skórze językiem, aż podskoczyłam, ale nie przerwałam tańca. Gapiłam się w lustrzany sufit i patrzyłam, jak rytmicznie poruszam się na jego szerokim, wyprostowanym ciele. Wiedziałam, że robię coś, o czym jeszcze przed kilkoma tygodniami nie chciałabym nawet słyszeć, ale zdążyłam przejść na drugą stronę barykady.

Facet pogmerał sobie w džinsach i poprawił się tak, abym znajdowała się dokładnie nad jego interesem. Był taki sztywny, że mało nie rozsądził spodni. „Gdzie się pan pchasz z tym ptakiem?” - pomyślałam cierpko, ale dalej z wysiłkiem układałam usta w uśmiech. Staralam się unikać jego erekcji, ale nie było to możliwe, chyba że całkiem bym z niego zesła. Przycisnęłam więc udem jego sterczącego fiuta i posuwałam go nogą, dopóki nie doszedł - fala ciepła i rozlewająca się plama mówiły same za siebie. Facet westchnął z aprobatą, ewidentnie niezawstydzony pojawieniem się na jego džinsach dowodu rzeczowego, o jakim marzą spece od medycyny sądowej.

Moja męczarnia szybko się skończyła, bo w „Deja Vu” również zwyczajowo wyciszano piosenki po trzech minutach, bez względu na to ile trwała pełna wersja. Z punktu widzenia klientów było to totalne zdzierstwo, ale mnie to pasowało, stanowiło bowiem gwarancję, że nigdy nie będę zmuszona ocierać się o jakiegoś gościa przez bite siedemnaście minut, jeśli będę miała pecha trafić na *Kashmir Led Zeppelin*. Facet odliczył sześćdziesiąt dolarów i podziękował mi burkliwie. Właśnie miał wyjść z sypialni, kiedy pojawiła się efektowna kelnerka w firmowym topie na ramiączkach i w sportowych butach.

- Może chciałby pan zamówić dla pani jakiś napój?  
- zapytała.

- Niech będzie - odparł mężczyzna z rozdrażnieniem.

- Należy się dziewięć dolarów - oznajmiła wesoło kelnerka. Uniosłam brwi. Dziewięć dolarów za nędną szklanę coli? Mężczyzna zapłacił bez słowa i odszedł. Kelnerka podała mi niebieski papierek z colą, którą striptizerkom serwowano tutaj w specjalnych kieliszkach o kształcie tulipana.

- A to co znowu? - spytałam, machając papierkiem.

- Kwit za napoje. Zdajesz je przed wyjściem. Za każdym razem kiedy gość stawia ci coś do picia, dostajesz taki kwitek. Jeśli po pełnej zmianie masz ich za mało, klub potrąca różnicę od twoich zarobków - odparła kelnerka.

Jęknęłam.

- Chcesz powiedzieć, że muszę przekonać iluś facetów, żeby postawili mi colę za dziewięć dolarów szklan-ka?

- Niestety - przyznała kelnerka. - Część dziewczyn ma na to taki sposób, że nie zgadzają się zatańczyć, dopóki klient nie obieca, że kupi im coś do picia.

- Nie stać mnie na to, żeby droczyć się z klientami - odparłam. - Dzięki za informacje. - Wsunęłam jej w dłoń kilka dolarów i zapisałam sobie w pamięci kolejną notatkę: „Polub coca-colę albo poniesiesz konsekwencje!”.

- Nie ma za co - odparła i okręciła się na podszwach białych sportowych butów.

\* \* \*

Klientela „Deja Vu” różniła się znacznie od wykrochmalonych, grywających w golfa bubków, którzy bywali w „Schieks”. Wielu gości wyglądało jak ostatnie lachudry. Podeszłam do wymiętego faceta, który miał przypię-

ty znaczek z napisem: ZAPYTAJ MNIE, ILE OSTATNIO ZRZUCIŁEM.

- To jak tam u ciebie z tą wagą? - zagadnęłam. Odparł, że waga to małe piwo, bo odkąd zaczął handlować parafarmaceutykami, ograniczył spożycie leków przeciwdepresyjnych z siedmiu do „tylko pięciu”.

- Tylko pięć - powtórzyłam. - Ojej.

- Zrobiłem duży postęp - powiedział, splatając palce w namiocik. - Ograniczyłem się do litu i kilku innych specyfików.

- Zatańczyć dla ciebie? - zapytałam.

- Wybacz, ale nie - odparł bez cienia żalu. - Akurat nie mam przy sobie pieniędzy. Za to mam mnóstwo ziołowych suplementów, gdybyś chciała coś wypróbować.

Inny gość poinformował mnie, że chwilowo jest bezrobotny, ale przez całe lato miał szalenie powodzenie jako kosiarz trawników.

- Pieniądze z tego były rewelacyjne - wspominał tęsknie. — Naprawdę szalona ilość kasy. Szkoda, że sezon już się skończył.

(„Ale dopóki trwał, żyłeś jak król, co, stary? Dziwki i dragi, wołowina Kobe, cristal lejący się z butelek w rozmiarze magnum w letnim domku u Emilia? Myślałeś, że trawników do skoszenia nigdy nie zabraknie, ale któryś zawsze okazuje się ostatni, koleś. Zawsze”.)

Kiedy kolejny mądrała opisał swój zawód jako „skateboardzista, czasami”, zaczęłam być porządnie zła. A gdzie biznesmeni? Chciałam zobaczyć obrzydliwie bogatego bubka w garniturze od Zegny, dzianego staruszka albo chociaż Boba Dobbsa z Kościoła PodGeniuszu, żującego koniuszek fajki i porozumiewawczo mrugającego okiem do wszystkich. Wielu gości przychodziło do „Deja Vu” w spodniach od dresu (co było nieprzyjemne nie tylko pod względem estetycznym, ale także

powodowało, że nieprzyjemnie realistycznie odczuwało się ruchy frykcyjne podczas prywatnych tańców). Nie byłam wybredna - chętnie zatańczyłabym dla każdego, kto byłby skłonny za to zapłacić - ale cała impreza przypominała próby wyciśnięcia wody z przysłowio-  
wego kamienia. Zaczynało do mnie docierać, dlaczego tyle dziewczyn woli pracować w drogich klubach, ale w dalszym ciągu nie zdażyłam zatęsknić za sympatyczną nudą w „Schieks”.

\* \* \*

Przed czwartą trzydzieści nad ranem światła wreszcie przygasły. Dziewczyny, które wciąż były na sali (w przeciwieństwie do tych od wielu godzin przebywających na Erotycznym Strychu), wepchnęły się tłumie do rozklekotanej windy i wjechały na górę. Wcisnęłam się do środka, umęczona tak, że tłum dziewcząt mienił mi się przed oczami jak Malowana Pustynia. Czulałam ich perfumy i feromony, słyszałam ich ciche, ochrypnięte głosy, kiedy rozmawiały o dzisiejszym utargu. Kiedy drzwi windy się otworzyły, do przebieralni wlała się rzeka dziewczyn o nogach wykoślawionych od ciągłego rozkroku i o zwieszonych głowach, zmęczonych, bliskich rozsypki. *Git. Along, Little doggies.* Z dołu napływała pogodna, leniwa jazzowa melodia - didżej lubił relaksującą muzykę o wschodzie słońca.

Założyłam gumowe japonki (które dziwnie kojarzyły mi się z czasami w college'u - nie chodziłam się kąpać w klapkach, odkąd na pierwszym roku wyniosłam się z akademika) i poczłapałam w kierunku natrysków. Kiedy stałam obolała pod strumieniem gorącej wody, inna dziewczyna szorowała się pod sąsiednim natryskiem.

- Cześć! - powiedziała, wesoło namydlając sztuczne piersi. Niemal spodziewałam się usłyszeć odgłos, jaki towarzyszy pocieraniu gumowego balonu, jak w Kentucky Fried Movie. - Miałaś dobrą noc? - zapytała.

- Obleci - odparłam, rozmazując półksiężycę tuszu pod oczami. - Zaliczyłam dwanaście tańców. - Dla mnie był to przyzwoity wieczór.

- Ja dwadzieścia osiem - powiedziała lekkim tonem.  
- Ale zwykle zaliczam więcej.

- Można spytać, jak ty to robisz? - odparłam.  
- Wiesz, aż dwadzieścia osiem tańców? Nigdy nawet nie zbliżyłam się do takiej liczby.

- Patrzę facetom w oczy - powiedziała spokojnie.  
- Patrzę na nich naprawdę seksownie, a oni zawsze chcą, żebym dla nich zatańczyła. - Wzruszyła ramionami, jak gdyby oczywistość tej zasady była jasna nawet dla przed-szkolaka.

- Cóż, ja też raczej nie sztyletuję ich wzrokiem - stwierdziłam, wycierając wątle piersi posłuszne prawu grawitacji. (Zawiodły mnie te moje cycki. Były takie cholernie anatomiczne.)

- Hm... - mruknęła dziewczyna. - To ja już sama nie wiem, jak to robię. - Zarzuciła na plecy mokre włosy w kolorze karmelowych ciągutek i uśmiechnęła się do mnie, strzegąc swojej tajemnicy jak amuletu na szczęście.

Okolo wpół do piątej dziewczyny zeszły na parter po wypłatę dniówki. Czekaly, tuląc się po kanapach jak szczeniaki z jednego miotu (male charty o nieproporcjonalnie długich kończynach), grupki wymęczonych dziewczyn w piżamach, spodniach do jogi, dresach i podomkach przypominających szpitalne fartuchy. Ich fizyczna bliskość nie wydawała mi się przejawem sympatii, ile raczej wyuczonym zachowaniem, które-

go nawet nie były świadome - przez całą noc obści-  
skiwały się z obcymi facetami i nie miały już żadnych  
fizycznych zahamowań. Nawet ja przyłapałam się na  
tym, że ciężko opieram się o inną dziewczynę, ściska-  
jącą pluszowego misia i z aparatem ortodontycznym  
na zębach.

Co zaskakujące, dla większości striptizerek wieczór  
jeszcze się nie skończył. Planowały śniadania i dyskuto-  
wały o tym, co będą robić po powrocie do domu. „Strze-  
lę sobie valium i pomoczę się w wannie”. „Obejrzę jakiś  
film”. „Muszkę wyszykować dzieciaki do szkoły, a potem  
może trochę się zdrzemnę”. Byłam zdumiona ich odpor-  
nością na zmęczenie, dopóki nie zdałam sobie sprawy,  
że tylko ja jestem na tyle nienormalna, żeby za trzy go-  
dziny iść do drugiej pracy.

Trochę się ożywiłam i od razu zaczęłam się dener-  
wować. „Gdzie, do cholery, lażą te Wąsy?!” W „Schieks”  
wyplata trwała góra trzydzieści sekund. Brało się swoją  
kasę, odpalało działkę komu trzeba i spadało do domu.  
Tutaj wyplata była wielkim wydarzeniem. Menedżero-  
wie musieli wyliczyć, ile każda dziewczyna wisi klubowi  
- proste ćwiczenie z mnożenia, które jednak z tajemni-  
czych powodów nieodmiennie trwało minimum czter-  
dzieści pięć minut. Co dziwne, nikt nie komentował  
koszmarnej rozwlekłości tej procedury.

- Co jest grane? - zapytałam siedzącą najbliżej  
dziewczynę. - Czemu to tyle trwa?

- Menedżerowie lubią się nawalić po szychcie, ale  
o tym ani słowa... - odrzekła dziewczyna, puszczając  
do mnie oko. - Pewnie właśnie nad tym pracują. Nie  
przejmują się, że musimy na nich czekać.

- Naprawdę muszę się stąd zwijać - powiedziałam.  
- Mam inną pracę, w której muszę być za kilka godzin,  
a chciałabym się trochę zdrzemnąć.

- To kiepsko - przyznała dziewczyna. - A tak w ogóle to jestem Frost.

- Cześć, Frost! Jestem Cherish - odparłam. Już wcześniej zwróciłam na nią uwagę - poruszała się sztywno, jakby bolało ją całe ciało. Jej sety przypominały fizykoterapię.

- Ile masz lat? - zapytała.

- Niedawno skończyłam dwadzieścia pięć - odpowiedziałam - ale w tej chwili czuję się, jakbym miała dużo więcej.

- W tej branży to norma - stwierdziła Frost. - Spójrz tylko na mnie. Mam dopiero dwadzieścia dwa lata, a zdążyłam urodzić trójkę dzieci. - Poklepała się po miękkim, dziobatym brzuchu i zaśmiała się smutno. - W zeszłym roku, jak byłam w ciąży, miałam połamane nogi i powybijane zęby. Od nowa uczyłam się chodzić. Wciąż mam z tym pewne problemy, jak pewnie zdążyłaś zauważyć.

- Wyglądałaś bosko - zapewniłam.

- Dzięki - odrzekła. - Chcesz obejrzeć zdjęcia moich dzieciaków? - Chciałam. Frost przekartkowała plik fotek z polaroida, dumnie wskazując córki śliczne jak małe cherubinki. Kiedy doszłyśmy do zdjęcia oprycha z krzaczastymi brwiami, ucałowała je w uniesieniu.

- To mój nowy chłopak - wyjaśniła. - Jest słowackim Żydem i ma kutasa długości dwudziestu pięciu centymetrów.

- Mazel tow! - pogratulowałam.

- Podrzucisz mnie do Starlite Motel? - zapytała Frost. - Mam się tam z kimś spotkać za godzinę.

- Przykro mi - odpowiedziałam. - Wracam do domu taksówką.

Frost wstała energicznie i zaczęła krążyć po pomieszczeniu, prosząc inne dziewczyny, żeby ją podwiozły.

Wyciągnęłam się na dwuosobowej kanapie i zamknęłam oczy. Zamiast ciemności zobaczyłam pod powiekami jasny obraz dziewczyn wchodzących po spiralnych schodach przy scenie, niekończącą się paradę modliszek w neonowych sukienkach - obraz jak u Eschera. Szybko otworzyłam oczy.

Zanim raczyli się pojawić menedżerowie, zanim palnęli nam mowę, besztając nas za brak entuzjazmu, zanim wreszcie pozbiali kwity za drinki i potracili stosowną kwotę od wypłaty, zrobiła się piąta. Wgramoliłam się do jednej z setek taksówek, którymi miałam podróżować w ciągu najbliższego roku, i milczałam przez całą drogę do domu. Poczucie zmęczenia powoli ustępowało. Nie byłam tylko pewna, że zdołam dostatecznie długo działać na przyspieszonych obrotach, żeby przetrwać cały długi dzień w agencji. Kiedy po powrocie do domu rozbierałam się do snu, zobaczyłam, że całe nogi mam w paskudnych, fioletowo-żółtych siniakach - moje łydki były obrazem Georgii O'Keeffe, malowanym moją wynacznioną krwią. Przy tańcu na rurze i *floorworku* to normalka.

\* \* \*

Dwa razy w tygodniu tyrałam w „Deja Vu” jak dziki osioł, a przez cały następny dzień byłam jak w somnambulicznym transie. Zmiana trwała dziewięć godzin, czasem dziesięć, a przez większość tego czasu nieustannie nagabywałam klientów. Poza tym każdego wieczoru zaliczałam około sześciu setów, albo na głównej scenie, albo na górze, w „ekskluzywnej” sali dla VIP-ów (do której ku mojemu zdumieniu mógł wejść każdy, przy czym wstęp był darmowy). Tańce na łózkach były stałą częścią mojej wieczornej rutyny - z czasem nauczyłam się sub-



teinie zmieniać nacisk krocza w taki sposób, aby utrzymać klienta w stanie nieustającej erekcji, zamiast jak najszybciej kończyć „transakcję”. Wiedziałam, że usługi, jakie świadczę, niewiele różnią się od ręcznej robótki za sześćdziesiąt dolarów, ale kiedy opylalam kolejny taniec jakiemuś pulsującemu frajerowi, czułam się rozchwytywana jak najładniejsze dziewczyny w szkole. Oczywiście istniało ryzyko zawodowe, jak na przykład pewien Meksykanin, który ugryzł mnie w cycek aż do krwi, albo turysta z Bombaju, któremu prawie udało się wetknąć we mnie paluchy, albo facet z Detroit, który wyciągnął kutasa i usiłował wepchnąć mi go do ust, rechocząc na widok mojej przerażonej miny. (Po każdym z tych incydentów menedżer zrugał mnie za „dopuszczenie” do takich zachowań.)

Do tego dochodziło upokorzenie w formie „wystawy”: wymagano, aby co cztery piosenki wszystkie dziewczyny ustawiały się w szeregu na głównej scenie. Didżej przedstawiał nas kolejno, a my machaliśmy niemo jak modelki w bikini na targach motoryzacyjnych. Kiedy skończył, miałyśmy zejść ze sceny, rozproszyć się i jak najszybciej wcisnąć komuś dwa prywatne tańce w cenie jednego. Te, które nie znalazły amatora, musiały wrócić na scenę i przetańczyć razem następne dwa kawalki - ten przerażający rytuał znany był wśród dziewczyn jako „taniec frajerek” albo „scena frajerek”. Jeśli któraś spóźniła się na moment przedstawiania dziewczyn albo na scenę frajerek, musiała się liczyć z karą finansową. (Menedżerowie najczęściej nakładali kary na dziewczyny, których nie lubili, na te, którym nie ufali i których regularnie nie posuwali, a ja mieściłam się w każdej z tych trzech kategorii.)

Raz na jakiś czas wymykałam się do swojej szafki, żeby cichaczem zaaplikować sobie dawkę protein (prze-

kąskę Beef Jerky, pochlanianą w mgnieniu oka, tak żeby nikt nie przyuważył, że mam coś do jedzenia i nie odebrał mi tego siłą, jak w więzieniu), ale menedżerowie mieli parszywy zwyczaj wpadania do garderoby i wydzierania się na nas, żebyśmy zwlokły dupy na dół. Czasami nawet bałam się iść wysikać, bo takie chamy jak Wąsy nie powstrzymałyby się od przeszkadzania sikającej kobiecie. Już sobie wyobrażałam, jak wyburzają ścianę kabiny fallicznym taranem, z nozdrzami spienionymi od kokainy.

Którejś nocy się pochorowałam. Można powiedzieć, że miałam kłopoty żołądkowe. (Dobra, miałam wybuchową, pirotechniczną sraczkę. Cacy!) Stwarzało to problemy dwojakiej natury. Po pierwsze, w przebieralni były tylko dwie ubikacje, w dodatku tuż przy wannie z hydromasażem, i o prywatności w nich można było tylko pomarzyć. Ostatnim, czego potrzebowałam, była pogarda innych striptizerek, że śmiałam walnąć kupe (tym samym niszcząc zbiorowe złudzenie, że wszystkie jesteśmy sterylnie czystymi, wyperfumowanymi lalkami do pierdolenia, nie odżywiający się i nie wydalającymi). Po drugie, koszmarnie trudno jest robić striptiz, jeśli kogoś wół zginają kurcze żołądka.

Chciałam wrócić do domu, ale słyszałam, że za wyjście przed końcem zmiany grozi maksymalna kara w wysokości stu osiemdziesięciu dolarów. Zawsze mogłam po prostu rzucić tę robotę, ale czułam, że dla mnie jazda jeszcze się nie skończyła i że jeszcze nie pora wdepnąć hamulec. Zamknęłam się w kiblu i modliłam się, żeby Wąsy mnie nie znalazły i nie ukarały. Był to pierwszy raz, kiedy dotarło do mnie, że pracuję w różowym gulagu. Podejrzewałam, że Wąsy wołałyby, żeby na scenie z tyłka wypadło mi jelito grube, niż pozwolić, żebym pojechała do domu. Z zewnątrz ktoś dobijał się do drzwi kabiny:

- Taniec frajerek, skarbie. Chodź na dół.

# Głód cukru

Niezależnie od tego, że wieczorami zabawiałam występnych mężów chwytaniem się za kostki, wciąż miałam ambicje uchodzić za pierwszorzędną materiał na dziewczynę na stałe. Jonny'ego trudno było nie kochać: grał na gitarze, robił rewelacyjną zapiekankę z kulkami ziemniaczanymi, nosił koszule od Bena Shermana, nie cierpiał na związkofobię ani żadną inną poważniejszą męską chorobę, za to używał drogiego balsamu nawilżającego. Jak dla mnie to wystarczy, żeby się zakochać. I jeszcze miał córkę, do której mówił per Fistaszku, a do której zaczęłam się dziwnie przyzwyczajać. Proces ten przebiegał wolno i niepostrzeżenie jak rozwój ziarna kielkującego w papierowym kubku.

To Fistaszek miała być tytułowym cukiereczkiem, bo była słodka jak cukierek, a przy tym była rzeczywiście uzależniona od cukierków. Dokładniej biorąc, pochłaniała wszystko, co słodkie. Syrop do naleśników. Chapstick od ust. Witaminizowany pył na dnie pudełka po kakaowych chrupkach śniadaniowych. Potrafiła całymi wieczorami siedzieć wpatrzona w mój prywatny zapas lizaków i błagać o działkę cukru. Zwykle ulegałam, bo na widok słodczy rozpromieniała się jak gwiazda fil-

mowa. Któregoś razu, kiedy naćpała się pastylek pez i musujących cukierków pop rocks, była na takim cukrowym haju, że Jonny nie mógł jej położyć spać. Nawet niekończąca się składanka Beatlesów nie zdołała popchnąć tej małej malpki w objęcia Morfeusza - była okropnie pobudzona i z każdą chwilą dokazywała coraz bardziej. Fistaszek świrowała od sacharozy, Jonny stawał na uszach, żeby ją uspokoić, a ja oglądałam Lettermana i czułam się dziwnie klapnięta. W porównaniu z kopniakiem, jaki czułam, kiedy się rozbierałam, codzienne życie było jak płaska linia na kardiogramie i nudziło mnie do lez. Kurczę, to się nazywa miasto nudy.

- Ja nie chcę spać - jęczała w swojej sypialni Fistaszek. - Chcę pizzę. I chcę... do MALL OF AMERICA!  
- Jezu, co za scenka, w sam raz na reklamę.

- Pora spać - mówił Jonny kojącym tonem. - Małe dziewczynki potrzebują dużo snu.

- Ale nie ja! - zawołała Fistaszek, kopiąc materac w rytmie walca.

Jonny zaczął jej cicho śpiewać *Eleanor Rigby*, jedną z najbardziej pokręconych piosenek Beatlesów i ulubioną piosenkę córki Jonny'ego. Jej protesty cichły powoli, kopnięcia o sile motylego skrzydła zwalniały jak bicie serca. Po blisko godzinie dziewczynka wreszcie zaczęła chrapać.

Jonny cicho zamknął drzwi sypialni Fistaszka.

- Przepraszam. Uroki rodzicielstwa, mała.

- Zrozumiałe - odparłam. Wiedziałam, że kiedy jest u nas Fistaszek, ja staję się interesująca dla mojego faceta jak nie przymierzając porcja siekanej wątróbki. Ale jeśli ktoś się pisze na rolę macochy, to - wybaczenie szczerze - takie akcje są w pakiecie.

- I przepraszam cię za tę paskudną kartkę, którą jej matka zostawiła ci za przednią szybą - dodał Jonny.

- Zawsze to lepsze od paskudnych wiadomości, jakimi mi zapycha pocztę głosową - odparłam. Mama Fistaszka niespecjalnie za mną przepadała. Powzięła irracjonalne podejrzenie, że staję się zbyt macierzyńska wobec jej dziecka, co było przezabawne. Miałam instynkt macierzyński jak za przeproszeniem strzępiel. Nawet kiedy brałam Fistaszka za rękę, żeby przeprowadzić ją przez ulicę, po głowie chodziło mi tylko, że wszystko dzieje się za szybko i chyba powinnam spotykać się z innymi maluchami.

- Fakt, to też nie jest w porządku - stwierdził Jonny, przysiadając się do mnie na kanapie i podwędzając mi z talerza pizzowego „ślimaczka”.

- Wkurzające - powiedziałam. - Choć z drugiej strony ostatnio mało co mnie nie wkurza.

Mimo że oboje byliśmy pełni jak najlepszych intencji, nasze wynajęte gniazdko upodobniło się w ostatnim czasie do cyrku rzymskiego. Jonny był przekochany, ale jego bagaż życiowy byłby w stanie ściągnąć boeinga 767 do Bałtyku. Najwyraźniej na papierze nie był rozwiedziony (niespodzianka!) i rozwodowa szarpanina trwała w najlepsze. Jonny należy do ludzi, którzy za wszelką cenę unikają konfliktu, nie byłam więc szczególnie zaskoczona, że nie sfinalizował rozstania z żoną. Zaskakujące było tylko poczucie winy, jakie mnie ogarniało, kiedy pomyślałam, że noc w noc bzykam się z cudzym mężem.

Przeprowadzając się do Minneapolis, nieświadomie wpakowałam się w emocjonalną zawieruchę, która wstrząsnęłaby nawet najspokojniejszą z kobiet. Może zasłużyłam na takie numery. Trzeba być niewiarygodnie głupią, żeby wprowadzić się do faceta - dzieciatego - który ma żonę, nawet w zimnym, antyseptycznym sensie prawnym. Jonny przysięgał, że nie mógłby żyć bez

mojego tyłeczka, ale wiedziałam, że prześladowe go obawa, że mógłby stracić córkę z mojego powodu.

Szczerze mu współczułam. Wychowano go na luteranina, dlatego koncepcja skruchy (czyli duchowego łapownictwa) była mu obca. Mnie zaś wychowano w wierze, że dziesięć „Zdrowaś Mario”, kilka „Ojcze nasz” i irygator poradzą sobie z nieczystym sumieniem. Ale nawet trzydzieści tysięcy petycji do Niepokalanej Dziewicy nie rozgrzeszyłyby mnie ze zbrodni, którą mi zarzucano: celowego rozbicia rodziny. Złamałam zasrane szóste przykazanie i musiałam odkupić swoje grzechy, kręcąc czterema literami. Odprawiałam pierwszy w dziejach erotyczno-taneczny różaniec paciorek po paciorku, knajpa po knajpie. Jeśli już robię za jawnogrzesznicę, wypadaloby się stosownie zachowywać.

# Sztuczne plastikowe włosy

Po kilku tygodniach pracy w „Deja Vu” postanowiłam kupić blond perukę. Niedawno zafundowałam sobie tipsy z frenczem (przyklejone przez młodzieńką Koreankę za pomocą nielegalnego metakrylanu metylu) i postanowiłam popracować nad wyglądem, żeby wznieść się do striptizerskiego panteonu gwiazd. Jasna peruka miała stanowić dopełnienie mojej metamorfozy i (jak miałam nadzieję) zapewnić mi bogactwo. Nie zamierzałam dopuszczać do siebie myśli, że mój brak powodzenia miał coś wspólnego z podejściem do klientów czy z brakiem pewności siebie. Byłam święcie przekonana, że chodzi o niedoskonałości natury fizycznej i że rozwiążę problem, bardziej upodabniając się do lalki Barbie.

Wybrałam się do przygnębiającego, różowo-szarego sklepu z perukami w trzeciorzędnym centrum handlowym, jednym z takich, w których fontanny są nieczynne od lat, a markowe salony błyskawicznie wyprzedają się i zamykają na cztery spusty. Wybór peruk kojarzył mi się raczej z chemioterapią niż z estradą, ale nie chciało mi się lazić sklepach. W perspektywie miałam wieczorną zmianę, na której chciałam wystą-

pić już w wymarzonej fryzurze. Schwytam klientów w sieć złotych loków i zwiążę ich nimi, dopóki nie zrobią się fioletowi i nie zaczną rzeźić. Wtedy złapię ich portfele i wybiegnę prosto w noc, zanosząc się demonicznym chichotem. Roszpunka gwałcicielka. Pasuje, kurwa, jak ulal!

Dwie znudzone nastoletnie ekspedientki wcinały wielkie wegetariańskie kanapki i plotkowały ściszonymi głosami. Uśmiechnęły się, kiedy weszłam, ale nie zaproponowały pomocy. Przespacerowałam się dookoła, krzywiąc się na widok ulizanych fryzur *a la* Carol Brady, cieniowanych grubych loków i plastelinowych paziów na styropianowych głowach o twarzach przerażająco pozbawionych wyrazu.

- Macie coś, co nie byłoby koszmarnie brzydkie? — zwróciłam się do dziewczyn.

- Przychodzą tutaj głównie starsze panie bez włosów - odparła jedna z nich pogardliwie. - Nie mamy więc nic naprawdę dobrego.

- Tam jest kilka dłuższych - dodała druga, wskazując coś w kącie. Zauważyłam długą popielatą perukę z grzywką. Kolor kojarzył mi się z Krystle z *Dynastii*, ale sama fryzura była bardziej w stylu *Alicji w Krainie Czarów*. Zdjęłam perukę ze styropianowej głowy i przymierzyłam. Zadziwiająca. Peruka wydłużała mi optycznie twarz i podkreślała wielkość nosa, co nie do końca było efektem, o jakim marzyłam. Z drugiej strony była blada, jedwabista i niewinna, a dokładnie takie wrażenie chciałam sprawić. Poza tym była wykonana z ludzkich włosów (brr!) i bardzo realistyczna w dotyku, mimo że wyglądała na sztuczną.

- Niech będzie, biorę - powiedziałam.

- Kosztuje dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów - odparła jedna z młodych sklepowych, pakując perukę do



torby. Przelknęłam ślinę i zapłaciłam brudną kasą zarobioną na striptizie, pocieszając się w duchu, że inwestycja się zwróci z wielokrotnym zyskiem.

Tamtego wieczoru w garderobie „Deja Vu” umalowałam się całkiem inaczej. Zrobiłam sobie grube kreski czarną kredką (Estee Lauder, nie do pobicia), wklepałam w powieki cień w odcieniu siniaka (Benefit Traffic School) i pociągnęłam usta bladym, beżowym błyszczkiem (Urban Decay Midnight Cowboy), którego kolor kojarzył mi się z protezą nogi. Rezultat był jak z „Playboya” - twarz jasna i atoniczna, do tego przydymione oczy, z którymi wyglądałam jak modelka obita przez zazdrosnego chłopaka rockmana w Chateau Marmont. Założyłam na głowę specjalną siateczkę i naciągnęłam na nią perukę. Wcale nie wyglądałam jak ja i byłam tym zachwycona.

Zeszłam po tylnych schodach (na których w pociesznej próbie stworzenia w lokalu milej atmosfery ustawiono dużą doniczkową palmę z metką) i zadowolona z siebie pomknęłam na salę. Natychmiast podbiegła do mnie jedna z jasnowłosych Rosjanek (Sasza? Roksana? Saszkana?).

- Ty nowa dziewczyna? - zapytała.

- Nie, jestem Cherish - odparłam, szczerząc zęby jak trupia czaszka. „Sukces!”.

Saszkana uniosła brwi, dwa groźne gotyckie łuki nakreślone kredką firmy MAC.

- Cherish? Nie poznałam cię!

- Kupiłam perukę - odparłam tępo. - Występuję incognito.

- Jest dobra peruka - orzekła Saszkana. — Tak, jest dobra peruka.

- Wielkie dzięki za słowa uznania - powiedziałam.

- W końcu blondynki są bardziej zabawowe, nie?

Saszka zadumała się nad tym frazesem i zmarszczyła czoło, jakby dobrze nie bawiła się od lat.

- Może. Nie wiem. *Niekotoryje*. Ja nie.

\* \* \*

Zgodnie z moimi przewidywaniami pierwszy prywatny taniec wieczoru sprzedałam facetowi, który był wyraźnie oczarowany moją fałszywą blond główką.

- Masz takie piękne włosy - powiedział, kiedy usiadłam na nim okrakiem i z zapalem podskakiwałam na jego połowicznej erekcji. - Jesteś Szwedką?

- Tak - odparłam. - Jestem stuprocentową Szwedką. Właśnie wróciłam ze Sztokholmu, gdzie pojechałam obserwować wieloryby z moimi przyjaciółmi Björnem i Anniką. Później zbieraliśmy borówki i chłostaliśmy się kolczastymi gałązkami. Chwała Bogu, mamy państwową służbę zdrowia.

Facet z lubością przytknął oczy.

- Gorąca jesteś.

- Jak pulpecik? - zapytałam, radośnie podskakując mu na interesie. „Blondynka, blondynka, blondynka! Hura!“. - Jestem twoim małym szwedzkim pulpecikiem?

- Jasne! - przytaknął facet. - Wiesz co, chciałbym zamówić jeszcze jeden taniec, jeśli akurat nie jesteś zajęta.

- Jestem rozchwytywana - odparłam - ale tak mi się podobasz, że nie mogłabym sobie odejść. - Uśmiechnął się i uniósł krocze, tak mocno przyciskając kutasa do mojej kości miednicznej, jakby chciał, żeby zgniotła go na miazgę.

Przez kolejne godziny nie mogłam narzekać na brak zajęć, choć nie nazwałabym tego spektakularnym suk-

cesem, na jaki miałam nadzieję. W pewnym momencie podeszłam do sympatycznie wyglądającego młodego mężczyzny w bluzie od dresu, przykucnęłam przy stoliku i zapytałam, czy nie miałby ochoty na prywatny taniec.

- Nie, dzięki. Kumple mnie tutaj zaciągnęli, ale to nie moja bajka - wyjaśnił, kiedy kłęczałam na podłodze niczym spaniel żebrzący o ulubione mięsne patyczki dla psów. - Żenię się za sześć dni i bardziej niż striptizerki interesuje mnie moja narzeczona.

- No, no - powiedziałam ze szczerym uznaniem.  
- To coś nowego.

- Może moja narzeczona nie jest taka piękna jak wy, dziewczyny - dodał. - Ale to dobra, uczciwa osoba.

Dał mi do myślenia. Mimo że w oczywisty sposób uważał, że zachwala mi swoją narzeczoną, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ona odebrałaby to jako policzek. Striptizerki burzą się przeciwko stereotypowi amoralnych, bezuczuciowych szmat - na tej samej zasadzie żadna cywilna kobieta nie chce, żeby uważano ją za posłuszną, aseksualną i przyzwoitą. Patrzyłam na jego zniesmaczoną minę i wiedziałam, że dla niego jego przyszła wierna żona po prostu nie należy do tego samego gatunku co kolorowe rajskie ptaki, które stroszą piórka na scenie w „Deja Vu”. A ona spokojnie mogłaby być jedną z nas, mimo że on nie zdawał sobie z tego sprawy. Po klubie biegało w tej chwili wiele dobrych, uczciwych osób - po prostu większość kryła się za grubą warstwą makijażu i sztucznej opalenizny, jaką zawdzięczały buleczce Mystic Tan.

- Cóż, powodzenia w małżeństwie — powiedziałam.  
- Może kiedyś przyprowadziłbyś do nas swoją panią?

- Och, ona nigdy by tu nie przyszła - odparł mężczyzna, pewny niewinności swojej narzeczonej.

\* \* \*

Z biegiem czasu zauważyłam coś dziwnego: inne dziewczyny zachowywały się wobec mnie znacznie przyjaźniej, odkąd odrodziłam się jako blondynka. Zupełnie jakbym przystąpiła do siostrzanego stowarzyszenia Aryjek. Nagle dostąpiłam zaszczytu uczestniczenia w zakulisowych ploteczkach i demonstracjach najnowszych sztuczek na rurze. Zakładałam, że peruka spotka się z chłodnym przyjęciem ze strony dziewczyn (gdyż ewidentnie uczyni ze mnie groźniejszą rywalkę na sali), było jednak odwrotnie. Zasługiwałam na szacunek i na przyjaźń właśnie dlatego, że zobaczyły we mnie rywalkę. Striptizerki lubią mieć wrogów tuż przy nieruchomej, faszerowanej silikonem piersi - resztę świata po prostu ignorują.

\* \* \*

Była może pierwsza w nocy, kiedy dorwał mnie jeden z Wąsów.

- Pójdiesz na aukcję majtek w sali VIP-owskiej?  
- zapytał mnie. - Wszystkie inne dziewczyny są akurat zajęte.

- Jasne — odparłam głęboko wzruszona informacją, że zajmuję ostatnie miejsce na liście potencjalnych dawczyń bielizny na rzeczoną aukcję. - A jak to działa?

- Dostajesz majtki z logo klubu, zakładasz je i wychodzisz na scenę na dwie piosenki, a goście na „balustradzie” licytują twoją bieliznę. Trafi ona do tego, kto wyłoży najwięcej kasy.

- Dam radę - oznajmiłam. Wąs rzucił mi zielone satynowe figi. Były w koniczynki (mieliśmy czerwiec) i leżały na mnie jak pielucha, ale uznałam, że na upartego mogą być.

- Panowie, pora przejść do sali VIP-owskiej i zawalczyć o majteczki Cherish! - radośnie zawołał do mikrofonu didżej. Zawsze miał taki zadowolony głos, bo wiele striptizerek dawało mu dupy.

Wyszłam na scenę witana zaskakująco gorącymi oklaskami. Przed samą sceną dla VIP-ów nie było specjalnie dużo miejsca, ale przy „balustradzie” klębił się tłum podpitych studentów szczerzących zęby, jak gdyby zeszli rozpakować gwiazdkowe prezenty i zobaczyli, że święty Mikołaj zostawił im w prezencie sanie pełne półprzutomnych ślicznotek z „Hustlera”. Uśmiechnęłam się i kusząco przyglądałam swoją irlandzką „pieluchę”. (Pamiętacie te stare satynowe majtki z Victoria's Secret, które zawsze odstawały na tyłku? Identyczne miałam teraz na sobie.)

- Dawaj je tutaj! - krzyknął jakiś chłopak, kładąc na balustradzie banknot pięciodolarowy. Małolat stojący po drugiej stronie sceny zareagował, konstruując misterną piramidę ze złożonych jednodolarówek.

- Na razie prowadzi budowniczy piramidy - ogłosiłam, tanecznym krokiem przechodząc na przód sceny i robiąc obrót wokół rury. - Przyznaję dodatkowe punkty za wysilek. - Wiecie, pomyślałam sobie, że każę draniom zapracować na moje szkaradne gacie.

Ten od pięciu dolarów wyciągnął więcej banknotów i położył je na widoku. Dziko dźgał się palcem w pierś.

- Mnie wybierz! Muszę mieć twoje majtki!

Dzieło konstruktora urosło tymczasem ze skromnej budowli Majów do rozmiarów starożytnej egipskiej piramidy i rosło nadal. Budowniczy uśmiechnął się do mnie konspiracyjnie. Kilku innych facetów wyciągnęło portfele, chcąc przyłączyć się do zabawy. Zaczęli garściami rzucać forszę na scenę, a ja brodziłam w niej uszczęś-

liwiona, roztrzając banknoty jak suche liście. Dosłownie stałam po kostki w gotówce, a ciągle jej przybywało. Słuchałam szelestu jedynych obowiązujących w kraju środków płatniczych i myślałam tylko, jaki ten szelest jest rozkoszny.

Zacząła się druga piosenka. Zdjęłam majtki i podroczyłam się trochę, kolysząc nimi nad balustradą. Naga, jeśli nie liczyć czarnych szpilek, usiadłam na skraju sceny, wygięłam plecy w łuk i rozłożyłam nogi dla bardziej efektownego finiszu. Rzucony przez kogoś dolar trafił mnie prosto w krocze. Pośpiesznie wycofałam się w głąb sceny i zaczęłam efektownie tarzać się w porozrzucanych pieniądzach. (Nie mogłam sobie odpuścić okazji do odegrania scenki jak z *Niemoralnej propozycji*.)

— Majtki! Majtki! - skandowali goście. W odpowiedzi pomachałam figami, chichocząc i dalej wierząc się na łożu z pogniecionych banknotów. Ta chwila była zenitem mojego dorosłego życia seksualnego. Czy ja w ogóle żyłam, dopóki nie wystawiłam na aukcji mojej bielizny?

— Ostatnia szansa na wylicytowanie tych ślicznych majteczek! - zadudnił z dołu głos didżeja. - ...za majteczki po raz pierwszy... po raz drugi... sprzedane!

Naciągnęłam palcem gumę w figach i wystrzeliłam je, jak z procy, ku facetowi od piramidy. Pozostali jęknęli z rozczarowania. Przycupnęłam na scenie i zaczęłam nerwowo zgarniać pieniądze. Porozrzucanych banknotów było niemal za dużo, żebym mogła je wszystkie zebrać, ale wcale się tym nie przejęłam. Dwie striptizerki, które przechodziły akurat przez salę, przystały, żeby się pogapić. Pomachałam do nich i pobiegłam do przebieralni, naga i przepelniona poczuciem władzy.

Mój pierwszy wieczór w roli syntetycznej blondynki zakończył się umiarkowanym sukcesem, ale w dalszym ciągu nie zarabiałam tyle, ile statystyczna tancerka w tej

okolicy. Wiedziałam o tym, bo Wąsy publicznie ogłaszały wysokość zarobków wszystkich dziewczyn. Codziennie podczas wypłaty odczytywali z prędkością światła, ile każda jest winna klubowi (a jeśli przypadkiem któraś się zagapiła i poprosiła o powtórzenie, dowiadywała się, że jest „niedorozwojem”). W każdym razie każdy, kto tylko opanował matematykę na poziomie podstawowym, mógł z łatwością obliczyć, ile dana dziewczyna zarobiła przez wieczór na podstawie kwoty, jaką była winna klubowi. Jeśli któraś była zmuszona odpalić klubowi ponad kilkaset dolarów, to było wiadomo, że Zarobiła przez duże „Z”. Zdarzało się, że moje zobowiązania wobec klubu wynosiły marne osiemdziesiąt dolarów. I tak zamykała się Moebiusowa wstęga spaczonej logiki: byłam zadowolona, że moje wypłaty dla klubu są zwykle minimalne, ale równocześnie żalowałam, że nie są kolosalne, bo to oznaczałoby, że jestem cholernie dobra. Niektóre dziewczyny były zadowolone, że „Deja Vu” uzależnia swój procent od indywidualnych zarobków, ale ja dochodziłam do wniosku, że to jedno wielkie ździerstwo. Im więcej zarobiłaś, tym bezczelniej cię skubali. Czy miałaś fatalną noc, czy fantastyczną, zawsze miałaś przechłapanę.

\* \* \*

Poza regularnie odbywającymi się hulaśliwymi aukcjami majteczek innym conocnym rytuałem była w „Deja Vu” zabawa o nazwie „tortura krzesła”. Prosiło się głównego bohatera wieczoru kawalerskiego albo urodzinowego przyjęcia i kazalo mu siadać na nieopisanie brudnym krześle opartym o rurę na środku sceny. Striptizerki zmuszone do wzięcia udziału w tej zabawie (czyli wszystkie) ustawiały się w literę „V” niczym klucz psychodelicznych gęsi i wyklaskiwały rytm przeboju *We Want Sonie*

*Pussy 2 Live Crew*. W tym czasie bardziej towarzyskie dziewczyny kolejno obskakiwały klienta, policzkując go cyckami i poprawiając kolanem w jaja. Czasami któraś ściągała z niego pasek i udawała, że go nim okłada. Rytuał ten potrafił zrobić się zaskakująco brutalny, a reakcje ofiar oscyływały od lekkiego niezadowolenia po autentyczne wkurzenie. „Wszystkiego najlepszego, skurwielu! Zaraz staniesz się obiektem skumulowanej nienawiści dwudziestu striptizerek!”. W „Deja Vu” często organizowano różne wieczorki, bywało więc, że „tortura krzesła” odbywała się i dziesięć razy w ciągu jednej zmiany. W konsekwencji, chcąc nie chcąc, nauczyłam się całego tekstu *We Want Some Pussy*, co do słowa. Do dziś robi mi się niedobrze, kiedy słyszę ten kawałek.



# Uwaga, ślisko!

Nigdy nie pracowałam w „Deja Vu” w środowe wieczory, ale któregoś tygodnia z rozmysłem postanowiłam zrobić wyjątek. W środy odbywała się „Noc Dzikich i Mokrych” (sponsorowana przez piwo O'Doul, ulubiony trunek abstynentów) i chciałam zobaczyć, jak wygląda ta tajemnicza zapowiedź w praktyce.

- Och, „Noc Dzikich i Mokrych”? - odparła jedna z dziewczyn, kiedy ją zapytałam. - Obleśna impreza.

- Totalnie obrzydliwa - dodała druga. - Wybierają trzy czy cztery dziewczyny, które biegają po scenie, a publika na nie pryska.

- Ja to nawet lubię - wyznała trzecia. - Zawsze to jakaś odmiana. Prawdę mówiąc, często zgłaszam się na ochotnika.

Zaintrygowana, zapisałam się na środę. Wieczór zaczął się jak każdy inny, ale około dwudziestej drugiej bramkarz zaczął rozdawać plastikowe butelki i pistolety na wodę rozbawionemu tłumowi pod sceną. Ku mojemu niesmakowi do „Deja Vu” często przychodzili chłopcy z college'u — dawali gorsząco małe napiwki i mieli słabość, jak zauważyłam, do głupiutkich dziewczyn o głosach jak szmerek, przy których czuli się inteligentniejsi.

Średnia wieku oczekujących na seans Mokrych i Dziki- kich wynosiła około dziesiętnastu lat. Gówniarze ści- skali te swoje sikawki z pełną podekscytowania agresją, jak gdyby mieli zaraz się bawić w „gliniarzy i złodziei”, tyle że w wersji dla dorosłych.

- Panowie, tylko nie po oczach - upomniął didżej.  
- Prosimy panie!

Na scenę wybiegły trzy dziewczyny w za dużych ko- szulkach z logo „Deja Vu”. Dwie były niziutkimi Azjat- kami i tandetne koszulki wisiały im poniżej kolan niczym awangardowe suknie od Yohjiego Yamamoty. Trzecią była krzepka blondyna ze zderzakami o pojemności czterystu mililitrów - jak zauważyłam, była ulubienicą wielu gości, którzy natychmiast wzięli ją na cel.

- Na miejsca... Gotowi... Start! - komenderował didżej. Do tej pory naiwnie sądziłam, że ta zabawa to po prostu dziwnie nazwany konkurs mokrego podko- szulka. Nie o koszulki jednak tu chodziło, bo dziewczyny od razu zadarły je pod brodę, demonstrując nagie ciała. Strumienie wody rysowały w powietrzu cienkie łuki, dziewczyny biegały po całej scenie. Pomieszczenie wypełniło się mechanicznym „sklysz-sklysz-sklysz” dwu- dziesiętu ściskanych w zapamiętaniu sikawek.

Azjatki usiadły przed balustradą i każda założyła sobie nogi za głowę. Faceci natychmiast zaczęli przyskać wodą na ich cipki i odbyły. Przypominało mi to gry zręcz- nościowe w wesołym miasteczku: „Traf w anus i wygraj pluszowego jednoroźca dla swojej dziewczyny!”. Zauwa- żyłam, że czasami woda trafiała bezpośrednio do pochwy. Oglądałam pierwszą na świecie interaktywną irygację!

Woda zlewała się na scenie w kałuże, striptizerki były całe mokre. Ściągnęły ociekające wodą koszulki i rzuciły je w tłum. Jedna z drobniutkich Azjatek padła na czwo- raki, a druga ją dopadła i udawała, że posuwa ją w tyłek.

W oczywisty sposób czując się gorsza, blondyna uklękła za dominującą Azjatką i symulowała, że od tyłu robi jej minetę. Po chwili obalily się na scenę, śliskie od wody, i dopiero zaczęło się obmacywanie, sztuczne chichoty i równie sztuczne spazmy. Akcja wyraźnie nabierała rumieńców. Zaczęło się łapanie za tyłki. Wykręcanie sutków. Najbardziej spektakularny pokaz francuskich pocałunków, jaki widziałam w życiu.

- Podziękujemy paniom! - zagrzemiał didżej. Dziewczyny szybko pozbiierały zmoczone banknoty rozsypane wokół sceny i pobiegły na górę do przebieralni. Wezwano dziobatego młodzieńca, żeby zgarnął mopem nadmiar wody. Patrzyłam, jak chłopcy przed sceny z ociąganiem zwracają butelki bramkarzowi. Zazdrościłam im - zapłacili kilka marnych dolarów za przywilej zlania trójki pięknych nagich kobiet lodowatą wodą. Dziewczyny niczego im nie zabraniały, wręcz przeciwnie: same zachęcały ich do oblewania wodą części ciała, które tak dokładnie oglądał dotąd tylko ginekolog. Twarze tych chłopców były zupełnie pozbawione wyrazu - stali, machinalnie zaciskając palce na spustach, wpatrzeni dziewczynom między nogi. Już kiedyś widziałam taki wyraz twarzy: u mojego byłego chłopaka, kiedy grał w gry wideo. Pustka. Nie ma nikogo w domu. Zostało tylko libido.

## Kącik rozrywki!

Dopasuj ulubioną muzykę do typu osobowości striptizerki. (Wyniki opracowano na podstawie wnikliwych badań przeprowadzonych w wielu klubach.)

1. The Eagles
2. Mariah Carey
3. Creed
4. Rammstein
5. Madonna z czasów albumu *Erotica*
  - a. Dobroduszna alkoholiczka
  - b. Brzydka twarz, ładne włosy
  - c. Stała bywalczyni kliniki meta-  
donowej

d. Suka

e. Sympatyczna Kanadyjka  
wciąż żyjąca w latach osiem-  
dziesiątych

*Odpowiedzi: 1b, 2a, 3d, 4e, 5c*

## Niektóre dziewczyny

Ku mojemu zaskoczeniu awansowałam w agencji na menedżera projektów. Był to pierwszy raz, kiedy miałam konkretne obowiązki, z których byłam rozliczana. Co prawda przyjęłam awans z wdzięcznością, ale w głębi duszy byłam przerażona. Lubiałam być zwykłą maszynistką. Był to właśnie ten rodzaj niewymagającej, samotniczej pracy, jakiej ląknęłam jako socjopatka, bez żadnego straszenia duchem pracy zespołowej. Z prędkością światła przepisywałam skrypty, podawałam je dalej i wracałam do ożywionej korespondencji mailowej z Jonnym („Chcę poczuć Cię w sobie. Ściskam, Diabło”). Teraz musiałam radzić sobie i z prawdziwą pracą, i z zespołem. Dotarło do mnie, jak bardzo mam przesrane, kiedy szefowa zdemonstrowała mi, jak porządkować „akta zadań”. (Należę do tego typu osób, które przypadkowo chowają pilota od telewizora do komory na warzywa w lodówce, sama więc myśl, że miałabym utrzymywać porządek w dokumentacji, jest przezabawna.)

Jedynym plusem awansu była zapowiedź pojawienia się większej sumy pieniędzy w moim portfelu ze sztucznej krokodylej skóry. Zdążyłam finansowo uzależnić się od striptizu, a moja nocna praca coraz bar-

dziej przypominała złote kajdanki: niby ładne, ale po pewnym czasie zaczynają uwierać. Zawsze sądziłam, że dzięki dodatkowym profitom będziemy mogli spać na forsie, wydawaliśmy ją jednak równie szybko, jak ją zarabiałam. Kupiłam samochód i coraz więcej wydawałam na swój fantastyczny plastikowy wygląd: na kosmetyki z górnej półki, na przedłużanie włosów i na tyle par kostiumów bikini, że wypełniały gigantyczną materiałową torbę, którą chowałam w szafie. Striptiz zamiast sposobem na zarobienie odrobiny dodatkowej gotówki stał się niezbędnym źródłem dochodu i mój budżet nie przewidywał takiej możliwości, że źródelko mogłoby nagle wyschnąć. Żyliśmy z Jonnym od wypłaty do wypłaty i jeśli stać nas było na odrobinę luksusu, to wyłącznie dzięki mojemu nowemu hobby. Nie mogłam z niego zrezygnować, mimo że nie nawidziłam „Deja Vu” tak gorąco, że na samą myśl o tym różowym jak bismut budynku zaczynały mnie boleć zęby.

\* \* \*

Było tuż po pierwszej w ciągnącą się jak melasa poniedziałkową noc. Zarobiłam siedemdziesiąt pięć dolarów netto za siedem godzin pracy, żalospną, nędzną sumkę, którą każda szanująca się striptizerka nazwałaby „drobniakami na McDonalda”. Krążyłam po sali i rozglądałam się za potencjalnymi klientami, coraz bardziej zmęczona. Na domiar złego inne dziewczyny najwyraźniej miały spory ruch w interesie. W klubie było mnóstwo mężczyzn: po prostu nie domagali się wielkim głosem przyjemności, jaką jest moje towarzystwo. (Niepojęte - założę się, że byłam piękna jak Helena Trojańska, z moimi zgarbionymi plecami, w potarganej peruce i w krót-

kich, obcisłych do bólu szortach, które przecinały mi krocze na dwie wyraźnie zarysowane połowy. To się nazywa Ekstremalna Buleczka.)

Kiedy przygnębiona ruszyłam w kierunku zaplecza, młody mężczyzna z koszmarnym zarostem jak z *Dziękuję Ameryki* (gładko ogolona twarz plus klaki na szyi) zastąpił mi drogę, tak że musiałam się zatrzymać. Przez cały wieczór garściami sypał gotówkę na scenę i to był pierwszy raz, kiedy widziałam go gdziekolwiek poza jego miejscówką przed sceną.

- Cześć - powiedziałam czujnie, zgadując, jakie za chwilę usłyszę pytanie. „Łazienka jest na końcu tego korytarza, pierwsze drzwi po prawej”.

Facet patrzył na mnie z twarzą bez wyrazu.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. - Zatańczysz dla mnie na łóżku?

- Jasne - odparłam radośnie. Modliłam się o dwaście dolarów - będę w ekstazie, zgarniając sześćdziesiąt. Niespecjalnie lubiłam te łóżkowe tańce, ale zdążyłam przywyknąć do rutynowego pocierania udem o kutasa, którego właściciel gapił się tępo na moje piersi, zwisające mu nad głową niczym dwa zakazane owoce (powiedzmy, kumkwaty).

Ujęłam wilgotną, lepką dłoń mężczyzny i zaprowadziłam go na górę. (Wąsy nalegały, żebyśmy zawsze trzymały za rękę klienta, którego oprowadzamy po klubie).

- Skąd jesteś? - zapytałam.

- Z Rosji - odparł.

- Znam dość dobrze rosyjski - wyznałam niepewnie w jego ojczystym języku.

- Masz świetny akcent - odparł zaskoczony. - Gdzie się uczyłaś?



- Studiowałam ten język na... Iowańskim uniwersytecie. Na uniwersytecie z Iowy - poprawiłam się łamanym rosyjskim. Nie używałam go od dwóch lat.

- Imponujące - powiedział Rosjanin, ponownie przechodząc na angielski.

- Dzięki - odparłam. - To co, zaczynamy?

\* \* \*

Kiedy skończyła się trzecia piosenka, Rosjanin zamówił czwarty taniec. Chciałam wziąć się do roboty, ale on usiadł na łóżku i zaczął przyglądać się kamerze monitoringowej umieszczonej pod sufitem - podobne były we wszystkich „sypialniach” na drugiej kondygnacji.

- Co jest? - zapytałam z żelaznym zamiarem korzystania z passy.

- Zastanawiałem się - odparł Rosjanin. - Na górze nie ma kamer, zgadza się? Na drugim piętrze?

- Aha - przyznałam ostrożnie. — Na Erotycznym Strychu nie ma żadnych kamer.

- Co moglibyśmy zrobić tam, czego nie możemy robić tutaj? - pytał.

- Więcej - odparłam pośpiesznie. Nie chciałam precyzować, bo nie chciałam robić więcej, ale byłam podniecona. Nakręcona jak budzik za rubla. Wiedziałam, że wycieczka na Erotyczny Strych zagwarantuje mi minimum dziewięćdziesiąt dolarów (taniec na łóżku kosztował tam trzydzieści dolców, a trzeba było zamówić minimum trzy). Pierwszy raz ktoś prosił mnie, żebym poszła z nim na górę, i czułam się, jak gdybym dostała zaproszenie do ekskluzywnego stowarzyszenia studentek naturystek (o nazwie „Gamma Psi” - od „goła psita”). Nie chciałam odgrywać oklepanej roli Panny Zawsze Bardzo Rozsądnej ani tego wieczoru,

ani żadnego następnego. Chciałam iść na górę. Szłam na górę.

Kiedy wchodziliśmy po lodowatych tylnych schodach, oswajałam się z myślą, że po raz pierwszy obejrzę niesławny Strych od wewnątrz. Weszliśmy do czarnego jak noc, przepastnego pomieszczenia za przeszklonymi drzwiami. Na nasz widok bramkarz z latarką zadzwonił do didżeja z informacją, że od teraz do odwołania nie będę mogła wychodzić na scenę. Ku mojemu rozczarowaniu gorąco zachwalane gościom pokoje tematyczne okazały się małymi ciemnymi boksami, które były oddzielone czarnymi koronkowymi zasłonami przypominającymi hiszpańskie mantylki. Kiedy weszliśmy do jednego z boksów, zauważyłam, że ściana nad wezglowiem łóżka jest upstrzona tajemniczą białą substancją. Całość wyglądała jak miejsce przestępstwa albo tania scenografia teatralna. Rosjanin położył się na łóżku.

- Rozbierzesz się do naga? - poprosił.

- To zabronione - odparłam, ale i tak się rozebrałam.

Nagle kotara rozsunęła się gwałtownie i do środka zajrzała kelnerka.

- Może chciałby pan, żebym przyniosła jakiś napój dla pani? - zadała obowiązkowe pytanie Rosjaninowi, ale widziałam, że nie może oderwać ode mnie oczu. Stałam goła jak święty turecki i też się na nią gapiałam - scenka trochę jak na obrazie *Dojrzenie* Edwarda Muncha. Wzajemnie się siebie wstydziliśmy. Trochę przypominało to psychologiczną debatę. Z wnioskiem: Moja posada jest jeszcze bardziej gówniana niż twoja.

- Niech będzie dietetyczna cola - powiedziałam. Kelnerka skinęła głową i oddaliła się bezgłośnie w swoich nieskazitelnych białych sportowych cichochodach.

- Buty też zdejmij - rozkazał Rosjanin. Dwoma kopniakami pozbyłam się czarnych pantofli na platformach, tych samych, które Jonny wybrał dla mnie w poprzedni weekend, i wdrapałam się na mojego Ruska. Słyszałam stłumiony śmiech dobiegający z któregoś z dalszych boksów. Po gardłowym, gorzko-słodkim rechocie rozpoznałam striptizerkę o imieniu Katrine, kawał baby, która wyglądała jak drag queen i obciążała klientom za działkę hydroponicznej trawy. Wkroczyłam do świata Katrine, ale brakowało mi ochrony jej ochryplego, zobojętniałego śmiechu, w którym rozbrzmiewały dziesiątki wypalonych „dymków”. Katrine niczego się nie bała i zawsze myślała najpierw o własnej skórze. W porównaniu z nią byłam wystraszoną małą suczką z brudnymi majteczkami. „Bądź Katrine” - powiedziałam sobie w duchu. Znowu się roześmiała i zabrzmiało to tak, jak gdyby zacięła się płyta Earthy Kitt.

To było jak sen. Zrobiłam, co zrobiłam, wyłącznie z jednego powodu: chciałam wyciągnąć ostatnią kopiejkę z nieskończonej, wydawałoby się, fortuny tego Ruska. Chciałam być jedną z tych, które wracają do domu z setkami, może tysiącami dolarów. Nie musiałam od razu tyle zarabiać każdej nocy, ale uważałam, że każda dziewczyna ma prawo chociaż raz poczuć się jak królowa, ja też. Bardziej niż na pieniądzech zależało mi na statusie, na pewności siebie. Rosjanin opuścił dżinsy. Minęły trzy piosenki, gdy poprosił, żebym nie przerywała. Dalej więc robiłam swoje, obliczając w duchu, ile jest mi winny. Za sześć piosenek. Za dziewięć. Za dwanaście. Rozboliły mnie stawy biodrowe, ale dalej robiłam swoje. I jeszcze trochę dłużej. Zauważyłam, że jest mi łatwiej, kiedy podśpiewuję do idiotycznych piosenek, którymi nas tu raczono. Rosjanin nie wyglądał, jakby mu to przeszkadzało, zaparłam się więc rę-

kami o ścianę i krzywiąc się, kiedy mnie obmacywał, śpiewalam, ile sił w płucach: „Jestem jak ptak, zaraz stąd odleczę...”.

\* \* \*

Po około czterdziestu minutach spędzonych w pozycji horyzontalnej poczułam nieodpartą potrzebę ucieczki.

- Muszę iść - skłamałam. - Za kilka minut muszę być na scenie.

- Ale ja nie skończyłem - odparł Rosjanin, głaszcząc mnie po brzuchu.

- Wiem - powiedziałam. - Zawołam ci inną dziewczynę.

Rosjanin wyciągnął czerwony portfel z krokodylej skóry i podał mi gruby rulon dwudziestek i pięćdziesiątek. Wskoczyłam w obcisłe szorty, złapałam jeden but, bo tylko jeden zdołałam wypatrzeć w ciemnościach, i potykając się, bosa pobiegłam do przebieralni. Nowa, młodziutka dziewczyna imieniem Lolly, która dzisiaj debiutowała, przebrała się w nobliwy sweter z warkoczami i miała właśnie wychodzić do domu.

- Cześć - powiedziałam, łapiąc ją za ramiona. - Facet ze Strychu prosił mnie, żeby podesłała mu jakąś pannę. Ma kupę kasy. Leć do niego.

- Ale jak ja go znajdę? - zapytała Lolly przerażona.

- Jest na pierwszym łóżku - odparłam. - Idź!

Poczułam lekkie wyrzuty sumienia, że rzucam młodziutką Lolly na pastwę zaślinionego wilka z Rosji, ale miałam przecucie, że jeszcze mi za to podziękuje. (I się nie myliłam.)

\* \* \*

O wpół do piątej rozpoczęliśmy powolny rytuał rozbierania się, zmywania kredki do powiek i opatrywania obolałych stóp, na których pojawiały się pęcherze. Kucalam naga przed szafką i jadłam kawałek pizzy (ale seksowna scenka!), kiedy do przebieralni wpadł jeden z wredniejszych Wąsów. Oczy miał dzikie.

- Nie ubierajcie się - rzucił kategorycznym tonem, bawiąc się tanim krawatem marki Gingiss Formalwear.  
- Właśnie przyszli ważni goście i będę potrzebował kogoś na scenie.

- Do kurwy nędzy, jest piąta rano! - jęknęła dziewczyna o imieniu Ally, siadając okrakiem na gigantycznym bidecie.

- Wisi mi to - warknął Wąsik i wyszedł.

- Co za kutas - zaczęła jęczeć jedna ze striptizerek, zaledwie Wąs znalazł się poza zasięgiem słuchu. - Rozumiem, że klub zawsze jest otwarty dla gości z forszą, ale to już jakaś paranoja. Przecież oni i tak zaraz pójdą na Strych, kogo więc to obchodzi, czy jesteśmy na scenie czy nie?

- Lainy i Fantasia musiały dostać cynk, że wybierają się tutaj jacyś ważniacy - odezwała się inna. - Widziałś, jak cały wieczór warowały przy drzwiach? Pazerne suki. Mam nadzieję, że szybko im obciągną i będziemy mogli wracać do domu.

- Zapraszamy na scenę Cherish! - ryknął piętro niżej didżej, najwyraźniej równie zirytowany rozwojem sytuacji jak my.

- Co?! - przeraziłam się. - Ale ja nie mam drugiego buta! Został na Strychu!

- Leć go szukać - zasugerowała któraś z dziewczyn.

- Nie zdążę - odparłam. - Zresztą tam się dzieją takie akcje, że do tej pory pewnie już zdążył wylądować w czyjejś dupie.

-Jeszcze raz powitajmy Cherish! - powtórzył didżej, tym razem lekko wkurzony.

- Pieprzyć to! - Nie próbując się ubrać czy choćby spróbować pożyczyć parę butów od którejś z innych dziewczyn, naga i bosa zeszlam po schodach i wypadłam na scenę. W wielkiej głównej sali było zimno i pusto jak w hangarze. Uśmiechnęłam się do Wąsa, który piorunował mnie wzrokiem zza wszechobecnej teczki z klipsem. Skoro chcą tańca o świcie, to już ja już im zaprezentuję prawdziwy balet. Didżej puścił *Scar Tissue Red Hot Chili Peppers*, a ja rozpoczęłam taneczną improwizację.

Robiłam arabeski, piruety i *changements*. Podskakiwałam jak Barysznikow, nie przejmując się, że moje niedoskonałe ciało zatrząsie się w nieszczerólnie atrakcyjny sposób w chwili, gdy zafunduję mu brutalne lądowanie. Moja próżność znikła bez śladu - został tylko smutek, zmęczenie i dziwna bladość zbliżającego się świtu. Bez butów mogłam poruszać się znacznie wdzięczniej niż na szpilach, w których czułam się jak kaleka. Obracałam się i okręcałam, pieściłam rury jak ciała żywych przystojniaków. Roześmiałam się na całe gardło, kiedy pomyślałam, jacy zgorszeni byliby moi rodzice, gdyby się dowiedzieli, że dziewięć lat zajęć baletowych wykorzystałam do takich celów. Do stworzenia spontanicznej choreografii na golasie na tej brudnej scenie o wschodzie słońca.

- Cherish już dziękujemy - rzucił sucho didżej.

\* \* \*

Kiedy moja wierna taksówka korporacji Rainbow w końcu dowiozła mnie pod dom, niebo miało kolor masła. Nie byłam pewna, czy zdołam zasnąć, zanim alarm budzika rozzwoni się z wybiciem siódmej, żeby przypomnieć mi o drugiej pracy.

- .. .dobry, laleczko - wymruczał sennie Jonny, kiedy jak złodziej zakradłam się do sypialni.

- Cześć - wyszeptalam. - Straszliwie się za tobą stęskniłam.

- Jak było? - zapytał Jonny, przewracając się na plecy.

- Zarobiłam dużo. Naprawdę dużo. Więcej niż kiedykolwiek- odparłam, wypuszczając z kurczowego uścisku pudełko śniadaniowe pełne brudnych pieniędzy.

- Co musiałaś zrobić? - zapytał Jonny z zainteresowaniem. Szok: poznałam po jego głosie, że się uśmiecha. Jonny miał tę naprawdę zajebistą cechę, że zawsze mnie rozumiał w pół słowa. Traktował moje występy w klubie jak każdą inną normalną (choć lekko zboczoną) pracę na nocną zmianę i nigdy nie przypisywał im zbędnych uczuciowych podtekstów. Zazdrość, przysłowiowy zielonooki potwór, nigdy nie zagościła w naszym związku. Zaufanie, jakim darzył mnie Jonny, wykraczało poza nic nieznaczące, mechaniczne czynności wykonywane przez moje ciało - nigdy nie wątpił w moje bezgraniczne oddanie ani w seksualne fajerwerki, które wciąż umiał odpalić w moich zmęczonych łądźwiach o piątej nad ranem. Nie znalazł ani jednej striptizerki, która miałaby szczęście trafić na równie cudownego faceta.

- To było takie obleśne - powiedziałam, wpelzając pod koldrę. - Serio chcesz wiedzieć?

- Tak - odparł Jonny.

Opowiedziałam mu całą akcję z Rosjaninem.

-To znaczy, że nie jesteś na mnie obrażony? Nie zacznie mi tu świrować?

- Nie zaczę - zapewnił Jonny, oplatając mnie ramionami. - Ale nie obiecuję, że jeszcze przez wiele tygodni nie będę walił konia pod ten obrazek. Zboczona z ciebie laska, kochanie.

- Nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię - zapewniłam szczerze. - Wiem, że to zaszło za daleko.

- Cóż, więcej nie musisz tego robić - powiedział Jonny. - Tym razem zrobiłaś, ale to też nie jest powód do wstydu.

Przestałam wstrzymywać oddech w ciemnościach.

- Okay. Obiecuję, że nie będę się sama napędzać.

- Balaś się, że cię przyłapią? - zapytał Jonny.

- Trochę - przyznałam. - To znaczy, całkiem do naga możemy się rozbierać tylko na scenie. Nagość plus kontakt jest *verboten*. I wiesz... zrobiłam mnóstwo rzeczy, za które mogli mnie wylać.

- Moja dziewczyna łamie wszystkie zasady - wymamrotał Jonny, ponownie zapadając w sen.



## **Dziesięć najgorszych imion dla striptizerki**

1. Edwidge
2. Chlamydia
3. Imię twojej siostry
4. Fatwa
5. Junqui
6. Birtney, Brittanee, Britni, Brittanie etc.
7. Zqwzybrk (wymawiane „Britney”)
8. Placenta
9. Dysplasia
10. Libresse

# Dziewczyna z Ipanemy

O trzeciej nad ranem któregoś czwartku moczyłam stopy w zapyziałym jacuzzi w towarzystwie Brazylijki imieniem Joni. Miała na sobie tani kostium szwajcarskiej pokojówki, który w połączeniu z brazylijskim akcentem był rozczulająco zabawny. Joni miała mocne, umięśnione ciało z typu tych, które wyglądają jak wyrzeźbione z jednego kawałka drewna. Nie była szczupła, ale była pomnikowa w bardzo atrakcyjny sposób.

- Miałam zostać klaunem - oznajmiła, kiedy poziom wody podniósł się powyżej naszych kostek. - Mój ojciec jest klaunem. Wszyscy w naszej rodzinie są klaunami.

- Jesteś striptizerką, a to właściwie niewiele się różni od bycia klaunem - powiedziałam pocieszająco. - Spójrz, gdy ostatnio tańczyłam dla VIP-ów, goście jakoś nie obsypywali mnie kasą, zaczęłam więc tańczyć jak robot. Potem jeden z nich położył na balustradzie dolarówkę z podobizną Sacagawei, a ja udawałam, że wsadzam ją sobie w tyłek.

Joni uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie, bycie klaunem to coś bardzo szlachetnego. Można występować dla ludzi, którzy mają raka i różne takie.

- Okropnie jest mieć raka - powiedziałam. - Ale mieć raka i różne takie? Coś potwornego. Czasami zastanawiam się, czy Bóg w ogóle istnieje.

- Chcesz czekoladkę, Cherish? - spytała mnie zniechęcona Joni. - Jestem w ciąży i ciągle mi się chce czekolady. To Ferrero Rocher. - Wymówiła to „Ferrero Rocher” w zabójczy sposób, jakby to było imię i nazwisko charyzmatycznego dyktatora jakiegoś egzotycznego kraju. Po prostu nie mogłam odmówić.

- Dzięki - odparłam, przyjmując ciepłą, zniekształconą czekoladkę, którą wyjęła z kieszeni fartuszka.

- Chyba nie urodzę tego dziecka - westchnęła Joni. - Mam dopiero osiemnaście lat i nie mam, wiesz, amerykańskiego dyplomu. - Zauważyłam, że na palcu nosi grubą złotą obrączkę z imieniem JEZUS wygrawerowanym pismem blokowym.

- To trudna decyzja - odparłam. - Ja mam dwadzieścia pięć i wciąż panicznie boję się dzieci.

- Ja się boję aborcji - wyznała Joni. - Wiesz, kto ma szczęście? Moja kuzynka. Wychodzi za faceta, który wygląda identycznie jak Sean William Scott, ten z drugiej części *American Pie*. Jest bardzo przystojny. Będą mieli dziecko.

- Jestem przekonana, że ty też kiedyś będziesz miała dziecko - pocieszyłam.

- Mam nadzieję - odparła Joni i wśliznęła się głębiej do jacuzzi. Woda zabulgotała wokół jej falbaniastej spódniczki kostiumu Heidi, ale mokre ciuchy były ostatnią rzeczą, jaką w tej chwili się przejmowała.

Zeszłam na dół i próbowałam sprzedać jeszcze kilka tańców, zanim lokal zacznie się zamykać. Niestety, tego

wieczoru postanowiły przyjść do pracy striptizerki alfa. Była to grupa nadętych, rzadko widywanych, chirurgicznie udoskonalonych cyborgów, które miano samic alfa zawdzięczały bezdyskusyjnemu talentowi do zarabiania pieniędzy. Alfom wystarczył jeden dzień w tygodniu do gromadzenia istnych fortun. Zawsze pojawiały się stadem, kołysząc torebkami od Vuittona, poprzedzane przez silikonowe piersi, które wylewały im się z nieprzyzwyczajenie drogich kostiumów. Gromadziły się przy barze i dyskutowały pół żartem, pół serio, która dzisiaj przeleci didżeja. Wiedziałam, że nic nie zarobię, dopóki na dole roi się od towarów pierwszej klasy.

Przygnębiona wróciłam na górę, żeby posiedzieć w jacuzzi. Ale po Joni zostało tylko wspomnienie i lekkie, mokre ślady stóp blednące na terakocie.

# **Żegnał, żółta brukowana drogo**

Z czerwca zrobił się lipiec. Pracowałam w agencji sześćdziesiąt godzin tygodniowo, maniakalnie starając się coś osiągnąć w normalnym świecie. Niemal uwierzyłam, że z chaosu moich dwudziestu kilku lat wyłonię się jako lepki motylek z niezawodnym planem lotu. Marne szanse: coraz cieniej przedłam. Od początku zdarzało mi się popełniać błędy, a chroniczne niewyspanie nie najlepiej wpływało na moją wydajność w pracy. Zawsze trzymałam na biurku zapadniętą stertę segregatorów, usiłując stworzyć wrażenie, że mam jakiś system, ale w ważnych dokumentach, które miałam uporządkować, panował taki sam bałagan jak w mojej głowie. Zaległości w papierkowej robocie ciągnęły się za mną niczym czteropasmowa autostrada i wiedziałam, że mam przerąbane.

- Poradzisz sobie - upierała się moja szefowa, kiedy poszłam do niej i powiedziałam o swoich wątpliwościach. - Bycie menedżerem projektów to naprawdę nie trudnego.

Być może dla normalnych, pracowitych ludzi, którzy nie obnażają genitaliów za garść drobniaków, rzeczywi-

ście nie jest to takie trudne. Mnie jednak poczucie odpowiedzialności przytłaczało. Nie mogłam przestać myśleć o striptizie. Ilekroć zamknęłam oczy, widziałam znajomy obraz nieśmiertelnej armii striptizerek schodzących po niebotycznych schodach, upiornych blondynek i widmowych rudzielców, ponurych i skoncentrowanych na swojej powolnej drodze donikąd. Bo dokąd właściwie zmierzały? Do piekła? Do salonu Dillarda? Po zasilek?

- Potrzebujesz aminokwasów - zawyrokował Jonny, kiedy mu powiedziałam, że nie jestem w stanie skupić się na pracy. Poszliśmy więc do jednego z tych ośrodków dla pakerów, w których sprzedają legalne sterydy wiadrami, 1 kupiliśmy trochę suplementów z L-tyrozyną i żeń-szeniem. Łykałam stymulanty dla kierowców dostępne bez recepty, licząc na to, że zmienią mnie w jedną z tych hiperaktywnych ćpunek, które nie mogą przestać sprzątać. Nic nie pomagało. Zrozumiałam, że muszę serio wziąć się za robotę. Dorosnąć. Przestać zadzierać orli nos i migać się od ugięcia karku przed korporacyjnym kieratem. Rzucić striptiz, przynajmniej na jakiś czas.

\* \* \*

Jak ostatni mięczak po prostu umierałam ze strachu na myśl, że któryś z Wąsów może mnie przyłapać na próbie wyniesienia z „Deja Vu” mojego striptizerskiego dobytku. Zakradłam się do klubu podczas sobotniej popołudniowej zmiany i modliłam się, żeby nikt nie zauważył, jak wygarniam zawartość szafki do plecaka z demobilu. Kiedy przechodziłam przez główną salę po drodze do windy, zauważyłam, że za dnia panuje tutaj dziwna atmosfera jak z filmów Davida Lyncha. Narąbana dziewczyna w czerwonej sukience druhny kręciła się po scenie przy jazzowej muzyce, podczas gdy siedzący niedaleko

gluchoniemy gość trzymał uniesioną kartkę z napisem: PROSZĘ, ŚCIAĞNIJ MAJTKI. Menedżerka dziennej zmiany, rudowłosa kobieta o budowie futbolisty, przyjrzała mi się podejrzliwie, ale nie powiedziała ani słowa.

Weszłam do przebieralni, otworzyłam swoją szafkę i skrzywiłam się na widok śmieci, które nagromadziłam w ciągu zaledwie kilku miesięcy. W szafce znajdowały się:

- Jedna butelka lakieru do paznokci Wet'n'Wild (idealna nazwa: Mokry i Dziki) w odcieniu o nazwie „Rubinowa begonia” (ciemne lakiery są stworzone dla leni i dziewczyn gotyckich - można bez końca byle jak nakładać kolejne warstwy, zamalowywać nieusunięte skórki i różne drobne samouszkodzenia na tle nerwicowym).
- Pędzel splątany z kudłami blond peruki, wyglądającej jak stworek tribble.
- Dwie pary czarnych stringów na gwałt wymagających uprania (o ile nie utylizacji w zapieczętowanym pojemniku na odpady biologiczne).
- Beztrosko otwarta paczka wyschniętych na wiór chusteczek Huggies.
- Para względnie nowych butów na platformach, które poszły w ką po pierwszym razie, kiedy to zmasakrowały mi stopy i zmieniły je w istną mozaikę czerwonych i fioletowych pęcherzy.

- Asortyment brudnych ciuchów do tańca, w tym jeden z tajemniczą białawą plamą. (Rosyjski dressing? Fuj!)
- Wyjątkowo paskudny smrodek stóp, coś jak dojrzały camembert pokropiony sika-  
mi norki.

Założyłam plecak, wsiałam do stękającej z wysiłku windy i zjechałam na dół w towarzystwie dwóch milczących nowych dziewczyn we fluorescencyjnych szortach boleśnie wrzynających się im w cipki. Gapily się na mnie martwym wzrokiem jak bliźniaczki w *Lśnieniu*. Uśmiechnęłam się do nich - czułam ulgę, że nie muszę się martwić wieczorną rzezią w „Deja Vu”.

Jonny czekał na mnie na zewnątrz. Przybiliśmy piątkę, jakbyśmy razem zaplanowali i zrealizowali ucieczkę z więzienia. I właśnie wtedy, kiedy mijala nas jakaś para, z otwartego plecaka wypadł mi pantofel na niebosiężnej platformie. Kobieta przystanęła na chwilę, spojrziała na but leżący na chodniku, potem na neonowy szyld „Deja Vu”, i spopielila mnie wzrokiem. Równie dobrze mogłaby syknąć: „Striptizerka!” i rzucić we mnie kamieniem. Uśmiechnęłam się niemądrze. Chwilowo wypadłam z gry i czułam się dobra. Rozgrzeszona. Jak gdyby czoło namaszczone mi krzyżmem (na krótko, ale zawsze), jakbym zasłużyła na skrzydła (dostojne skrzydła jak u serafinów, a nie błyszczące podróbki z piór marabuta, w jakich lubią występować striptizerki o anielskim imieniu Angel).

— Chyba właśnie zostałaś zdemaskowana - skomentował Jonny, podnosząc but z chodnika i wpychając go z powrotem do mojego plecaka.

- Nikt nie może wiedzieć o striptizie! - zażartowałam, lecz ten żart miał nieprzyjemny posmak prawdy.



Mało kto ze znajomych wiedział o eksperymencie ze świeceniem gołymi póldupkami, a co dopiero moja rodzina. Ale miałam poczucie, że moja przygoda ze strip-tizem jeszcze się nie skończyła.

# Przypalona bułka z parówką

Sierpień w Minneapolis: tatuaże, łodzie silnikowe i letnie godziny. Miasto poci się piwem *grain belt*, a bladzi, wzdęci mieszkańcy *jeżdżą* na motorach bez koszul albo dryfują u brzegów Hidden Beach niczym niedopieczony bochenki pieczywa tostowego Wander Bread. Rozczułały mnie te cywilne pokazy nagości, tym bardziej że od miesiący oglądałam wyłącznie szczuple, opalone cyborgi zrzucające majtki za niewielką opłatą.

Odkąd oficjalnie skończyłam z występami w „Deja Vu”, ogarnęło mnie to szczególne poczucie wewnętrznej wyciszenia, które jest wymarzoną kanwą dla przygody. Postanowiłam chwycić byka za rogi, że się tak wyrażę, i przepracować jedną noc w zupełnie nieznanym mi klubie. Tłumaczyłam to sobie tak, że zarobię trochę dodatkowej kasy, zafunduję sobie niezłego kopa, a przy okazji zaspokoję antropologiczne ciągotki. Nie spoczęłabym dopóty, dopóki nie dokonałabym infiltracji każdego miejscowego klubu ze striptizem i nie poznałabym go najlepiej, jak się da: czyli od środka.

Był piątek wieczorem, właśnie wyszłam z pracy. Prosto z agencji wybrałam się spacerkiem do dzielnicy magazynów, przezornie zabrawszy z domu reklamówkę Lunda pełną kostiumów. W okolicy było kilka klubów („Deja Vu”, „Choice”, „Dreamgirls”, „418” i „Augies”), ale nazwa „Dreamgirls” - „Dziewczyny Marzeń” - wydawała mi się najbardziej intrygująca. Lokal mieścił się w opustoszałym budynku z czarną, luszczącą się elewacją, ozdobionym nie wiedzieć czemu malowidłem przedstawiającym King Konga. Na podświetlanej tablicy widniał stosownie lubieżny symbol Atlantic City: fontanna tryskająca między palmami, a nad wejściem znajdował się niebieski szyld obrzeżony podłączonymi sekwencyjnie żarówkami, którym wyraźnie nie chciało się migać. Z zewnątrz klub wyglądał jak obskurny kurwidolek\*, jak rudera skazana na rozbiórkę, tak że w powietrzu czuło się już woń dynamitu do wyburzania. Oczywiście jako namiętna wielbicielka wszystkiego co groteskowe, uważałam za swój obowiązek, żeby chociaż zajrzeć do środka.

Kiedy podeszłam bliżej, stwierdziłam, że fasadę budynku zaslaniają rusztowania, za którymi trwa budowa nowej stacji naziemnej kolejki miejskiej. Aby wynagrodzić gościom wszelkie niedogodności, na rusztowaniu umieszczono wielki baner: „DREAMGIRLS” ZAPRASZA NA IMPREZĘ Z OKAZJI BUDOWY NAZIEMNEJ KOLEJKI MIEJSKIEJ. DARMOWY WSTĘP, DARMOWE HOT DOGI, PIĘKNE PANIE (I kasa, i hot dogi? Już lecę!)

Pomijając darmowe parówki, wiedziałam, że informacja o „darmowym wstępie” mogła okazać się bar-

\* Kurwidolek (rzeczownik) - lokal ze striptizem, w którym dziewczyny robą klientom palcówki oraz świadczą inne usługi seksualne.

dzo lukratywna. Skoro opłata za wejście została zniesiona, klub musiał pękać od najróżniejszych skąpiradel ze wzwo dem, a i bez tego w piątki był duży ruch. Podjęłam decyzję. Przepisnęłam się przez rusztowanie i weszłam do „Dreamgirls”.

Pierwsze co zobaczyłam, to dziewczyna w odsłaniającej brzuch koszulce z logo „Hustlera”, która z kwaśną miną napelniała balony helem z butli. Jak się miałam dowiedzieć, nie sprzedawano tutaj alkoholu, za to można było obejrzeć pełny striptiz, poza tym oprócz zwykłych występów na scenie goście mieli do dyspozycji peep-show w piwnicy, nazywanej tu Aneksem. Stojąc jednak w progu, widziałam tylko ciasny hol i dziewczynę seryjnie mordującą czarne baloniki.

- Do pracy? - zapytał wykidajło, za ledwie spojrzal na moją torbę z kostiumami i peruką.

- A mogłabym? - zapytałam. - Bo nigdy tutaj nie pracowałam.

- Bezproblemowo - odparł. - Tylko muszę zobaczyć jakiś dokument tożsamości. - Podalam mu niebawem tracące ważność prawo jazdy (z moim zdjęciem sprzed czterech lat, kiedy jeszcze byłam młodziutką studentką college'u, ideologicznie przeciwną branży seksualnej).

- Wygląda w porządku - powiedział. - Przebieralnia jest na górze.

Przebieralnia była jedną wielką kolonią grzybów i pleśni, z popsutymi szafkami o opadających drzwiach, zza których wyzierały kostiumy, kosmetyczki i zawilgłe ręczniki. Za to było mnóstwo miejsca na kosmetyki, co bardzo mnie ucieszyło. Wyjęłam z torby perukę i zaczęłam palcami rozczesywać koltuny. Ponieważ dzienna zmiana jeszcze nie dobiegła końca, a dziewczyny z wieczornej zawsze się spóźniają, byłam w przebieralni sama.

Po pewnym czasie pojawiły się dwie wesole dziewczyny z dziennej zmiany. Przedstawiły się jako Zoey i Frankie. Zoey miała na sobie rudą perukę a la Farrah („A pod spodem mam niebieskiego irokeza” - powiedziała). Frankie była przesympatyczną dziewczyną z piegami jak u Becky Thatcher i o rozczulająco chudych nogach.

- Przebierz się, to cię oprowadzimy - zaproponowała Frankie.

- Jesteś super. Podobasz się nam - dodała Zoey.

Zrzuciłam drewniaki, przeprosiłam za chronicznie śmierdzące stopy i Szybko założyłam kieckę w paski jak u zebry, różowe buty na platformach i wymemlaną perukę.

- Chcesz zobaczyć Aneks? - zapytała mnie Zoey. Chciałam.

\* \* \*

Aneks funkcjonował niezależnie od tego, co działo się na górze. Kiedy we trzy zjeżdżaliśmy świszczącą windą w czeluście klubu, Frankie i Zoey tłumaczyły mi, jak sprawa wygląda. Otóż w Aneksie mieściły się jednoosobowe kabiny, w których klienci mogli podziwiać interaktywne pokazy erotyczne, wałęsać konia podczas konwersacji z wybraną dziewczyną za ścianą z pleksiglasu. Frankie i Zoey zwierzyły mi się, że często pracują w Aneksie.

- I co tam właściwie robicie? - zapytałam.

- No, najczęściej to się po prostu rozbieram i masturbuję. Jeśli mam przecucie, że klient może być gliną, robię to bez wsadzania palców. Wsadzanie czegokolwiek jest nielegalne - powiedziała Zoey.

- A dzisiaj robiłyśmy z Zoey damsko-damski pokaz — uzupełniła Frankie. - Strasznie nam się chciało śmiać, bo facet miał długąśnego kutasa. - Rozłożyła dłonie, de-

monstrując rozmiary tego jednookiego potwora. - Mówię ci, był wielgachny!

- Udawałyśmy, że strzelamy sobie nawzajem minetę - powiedziała Zoey, dla ilustracji zamiatając w powietrzu językiem. - Głupie uczucie.

-Jęczałam: „Och, proszę pana, jakiego ma pan wielkiego fiuta!" i inne głupoty - dodała Frankie. - Normalnie konałyśmy ze śmiechu.

- Zapaćkał całą szybę, a ja myślę: „Kurczę, normalnie nie mogę na to patrzeć!" - opowiadała Zoey. - Obie zamknęłyśmy oczy.

Dziewczyny pokazały mi kabiny tematyczne, między innymi niby-loch wyposażony w łańcuchy oraz „Wodną Fantazję", całkiem udaną imitację łazienki, z działającym prysznicem włącznie. (Z jakiegoś powodu rozbawił mnie widok kostki mydła i niemal zużytej butelki szamponu Herbal Essence stojącej na podłodze - cóż za urzekający realizm!) Frankie wyjaśniła, że prywatne pokazy kosztują minimum dziesięć dolarów, ale powyżej tej kwoty każda dziewczyna może zażyczyć sobie, ile tylko chce.

- Mogę tutaj siedzieć całą noc? - zapytałam. Była to tak obleśna perspektywa, że wręcz kusząca. Właśnie wkroczyłam w ostatnią fazę krucjaty, której celem było dowiedzenie się, jak żyje druga połowa świata (ta rozebrana).

- Cóż, zwykle vyhaczamy gości na górze i przyprowadzamy ich tutaj na prywatne pokazy - wyjaśniła Frankie.

- A jak jest tam na górze? - dociekałam.

- Czasami dużo roboty, czasami zero. - Zoey wzruszyła ramionami. - Ostatnio zarabiałam średnio na jeża.

Miałam wielkie nadzieje co do moich dzisiejszych zarobków; w końcu kto oprze się gratisowym hot dogom?

Drzwiami i oknami będzie walić do „Dreamgirls” tłum prawdziwych książąt, przebogatych, bawiących się monoklami i wciskających nam w dłonie cenne tahitańskie perły. Dzisiejsza noc stanie się najjaśniejszą kartą w historii branży rozrywkowej w Minneapolis, a ja zamierzałam mieć w tym swój udział. Podziękowałam uprzejmie i wróciłam na parter. Kiedy do szybu windy dotarła woń solonego mięsa, pomyślałam: „Podano hot dogi”.

\* \* \*

Kiedy po raz pierwszy rozejrzałam się po głównej sali, poczułam się zdezorientowana. Klub „Dreamgirls” wyglądał jak mroczniejsza bliźniacza wersja „Deja Vu”, aż po wzór na wykładzinie i układ sceny. Lustrzane sufity tworzyły w relatywnie małym pomieszczeniu złudzenie orgiastycznego chaosu. Spuchnięte ciemne kanapy pod ścianą wyglądały jak kolejka pieprzyków czekających na biopsję. Zadrżałam pod cienką sukienką - klimatyzację ustawili chyba na zero stopni w skali Kelvina.

Podszedł do mnie starszy mężczyzna i otaksował mnie wzrokiem od czubków palców po czubek głowy.

- Boże, błogosław Amerykę! - zadeklamował z aprobatą.

- Hej - powiedziałam, uśmiechając się. - Jestem Cherish.

- Zatańczyłabyś dla mnie na łóżku? - zapytał, zarzucając mi rękę na ramiona.

- Z radością! - odparłam, psychicznie przygotowując się na tradycyjny dziewięciominutowy masaż fiuta. Rzygać mi się chciało od tych łóżkowych tańców, ale z drugiej strony za sześćdziesiąt zielonych można kupić mnóstwo płyt Zappy i wódek z colą.

Roześmiał się.

- Żartowałem. Jestem właścicielem tej budy. Już kiedyś tańczyłaś?

Zrobiłam się czerwona jak burak.

- Aha. W „Deja Vu”.

- To też mój klub - odparł, co tłumaczyło swoją skromność wystroju. Pomyślałam, że właśnie rozmawiam z głównym beneficjentem wszystkich skandalicznych opłat, jakie musiałam ponosić w „Deja Vu”. Facet na pewno jest obrzydliwie bogaty, ma wypasiony basen z płynnym wejściem do wody, domową siłownię i całą resztę bajerów, jak *MTV Cribs*. Najchętniej dałabym mu w pysk albo jeszcze lepiej, kazałabym mu się rozebrać i przez cały wieczór na golasa żebrać o marne grosze.

- Super - skłamałam. - W „Deja Vu” było ekstra.

- System jest taki sam - wyjaśnił właściciel. - Dwadzieścia za taniec, sześćdziesiąt za łóżko. Udanego wieczoru.

- Bardzo dziękuję - odparłam. Stojąca niedaleko kelnerka w obligatoryjnej mini i w sportowych butach pochylała się nad parującą tacą i szczypcami wydawała hot dogi.

\* \* \*

Kiedy wskazówka zegara zbliżała się do godziny siódmej wieczorem, z przebieralni wylaniały się kolejne striptizerki w skąpych polyskliwych ciuszkach i w pantoflach na niebotycznych obcasach. Podczas gdy kilka wyglądało jak odbitki tego samego negatywu (mocno opalonej, piekielnie zgrabnej platynowej blondynki), większość dziewczyn stanowiły wytatuowane punkowcy, poważne jak grób, wykolczykowane gotyckie laski, spasione czirliderki i cała plejada jednostek społecznie nieprzystoso-



wanych rodem z rubryki o subkulturach. Dla mnie było to jak tchnienie świeżości.

Jedna z nich podeszła do mnie, sama się przedstawiła i powiedziała, że to jej pierwszy wieczór w „Dreamgirls”. Leela miała osiemnaście lat, metalowe kółko w przegrodzie nosowej i potargane przedłużane włosy. Usta miała pomalowane szminką czarną jak świeżo położony asfalt.

- Właśnie kupiłam zestaw perkusyjny - pochwaliła się. - Jestem taka podjarana! Zakładamy z kumplami zespół punkowy.

- A ja gram pa basie - powiedziałam, czując się beznadziejnie obciachowo w mojej blond peruce.

- Musimy się kiedyś umówić na jam session! - wykrzyknęła Leela.

- Mam dwadzieścia pięć lat - odparłam. - Jestem taka stara, że mogłabym ci dawać korki z matematyki.

Usta Leeli ułożyły się w obwiedzioną czarną szminką literę „O”.

- Nigdy bym ci tyle nie dała!

- Widocznie dobrze się trzymam — odparłam.

Na scenie wciąż było pusto, poszliśmy więc z Leela poćwiczyć przy rurach. Leela była zwinna jak wyjce z Como Zoo, a ja - jak to ja. Po prostu drewno.

- Łatwizna - oznajmiła zasapana Leela, demonstrując energicznego fikolka. — Spróbuj.

Spróbowałam i wylądowałam na podłodze z kończynami związanymi w supel.

- Nie ma szans, kotku. Nigdy nie prezentowałam poziomu olimpijskiego, jeśli chodzi o ewolucje na rurze. No, chyba że mówimy o olimpiadzie specjalnej.

- Ale to naprawdę łatwe! - upierała się Leela, uczeptiona rury gdzieś nad moją głową. Zrobiła obrót i zawisła nieruchomo, odsłaniając rzędy miniwarkoczyków, które łączyły jej własne włosy z doczepkami.

- Ech, poszalałabym jeszcze, gdyby nie te moje kości - powiedziałam.

\* \* \*

Podeszła do mnie ładniutka Azjatka z szerokim, drapieżnym uśmiechem na ustach. Miała niemal nieosłonięte niczym, drobne brązowe ciało, a zamiast szpilek - znożone sandały, które jakimś cudem jeszcze dodawały jej uroku. Złapała mnie za cycki i ścisnęła je z aprobatą. Potem od przodu wsunęła mi rękę w stringi i poczułam coś chłodnego i papierowego. Przycisnęła mi banknot dolarowy do cipki, wyjęła rękę z moich majtek, zachichotała rozbawiona własnym tupetem i odeszła bez słowa.

- Dziękuję za dolara! - zawołałam za nią.

- Widzisz, nie jesteś taka zła - odezwała się Leela.

- Nikicie się spodobałaś.

\* \* \*

Zaczęły się pokazy na scenie. Zamówiłam u didżeja cokolwiek zespołu Areosmith i ku mojemu zachwytowi wybrał akurat *Pink*. Osobiście jestem zdania, że *Pink* to jedna z najodpowiedniejszych piosenek dla dziewczyny pracującej bez majtek. Bo w końcu czyż nie o jedno chodzi we wszystkich lokalach ze striptizem? O różową, obnażoną cipkę? Rozbierałam się do zera, kładłam się na scenie i rozdziawiałam jak u dentysty. Moja cipka nie przypomina różowiutkiej, schludnej koniczynki, jaką mają niektóre dziewczyny - w gruncie rzeczy nawet nie jest różowa. Mam ciemną, posępnie wyglądającą szparkę koloru siniaka. Ale szybko zrozumiałam, że nikogo nie obchodzi, jak wygląda to, co masz między nogami. Włochata, ciasna, z kolczykiem, wygolona, małoletnia czy

„dystygowana”... Cipa to cipa, i kiedy się rozbierasz, warta jest tyle złota, ile tylko zdołałaby pomieścić.

Mimo akrobacji na scenie na sali było przeraźliwie drętwło. Gości nie przyszło wielu, nawet jak na zwykły wieczór, a co dopiero piątkowy. W weekendy „Deja Vu” pękało w szwach, oblegane przez podpitych studentów - w pierwszej chwili zdziwiłam się nawet, że niemal identyczny klub jakoś nie jest w stanie przyciągnąć klientów. Mimo wszystko jednak domyślałam się, dlaczego ludzie unikają „Dreamgirls”. To było wysypisko śmieci, chory budynek, do którego bardziej niż „Dziewczyny Marzeń” pasowałaby nazwa „Dziewczyny z Nocnych Koszmarów”. Było oczywiste, że wpompowano tutaj całe mnóstwo kasy, ale w powietrzu czuło się zapowiedź nieuchronnej katastrofy. Nawet główna atrakcja, będąca tu na gościnnych występach blondynka w skóropodobnych spodniach bez krocza, usiadła w kącie z nosem zwieszonym na kwintę. Chyba nie muszę dodawać, że przygnębiająca obecność przetworzonego mięsa na sali wcale sytuacji nie poprawiała.

Mięła godzina czy dwie godziny, a ja wciąż nie mogłam znaleźć chętnego na prywatny taniec. Usiadłyśmy z Leelą na moment i podziwialiśmy show na scenie. Jedna z tancerek miała na barkach ozdobny tatuaż, który składał się w napis „Zagubiona Dusza”. Pracując jako striptizerka, widziałam wiele tatuaży, od wrednie wyglądających skrzydlatych duszków, przez liście marihuany, po niewyraźne, przygnębiające więzienne dziury z imionami facetów. Nigdy jednak nie widziałam czegoś równie prawdziwego jak „Zagubiona Dziewczyna”. Ten tatuaż był jak historia całego życia wyrażona w dwóch słowach.

Dziewczyna z tatuażem prowadziła nas, kiedy tłumnie wybiegłyśmy na scenę, przygotowując się do tortury krzesła. Jak zwykle ustawiłyśmy się w literę „V”, znudzo-

ny kawaler zasiadł na swoim miejscu. (Ucieszyłam się, kiedy się okazało, że w „Dreamgirls” znajomy rytuał nie odbywa się przy moim zniechęconym kawalku *We Want Some Pussy* - tutejszy didżej wybrał odpowiednio wulgarny klasyk porno-rapu.) Leela lekko podciągnęła się na rurze i uwięziła twarz kawalera między wyprostowanymi nogami. Ustawiała się do „huśtawki”, popularnej ewolucji stosowanej podczas tortury krzesła - wygląda to tak, że na rurze wiszą równocześnie dwie dziewczyny, zwrócone do siebie twarzami, i rytmicznie jak na huśtawce, raz jedna, raz druga, pompują krocza-  
mi o twarz ofiary.

Machnęła na mnie.

- Chodź, Cherish! Zrobimy huśtawkę!

Jęknęłam i usiadłam na scenie po turecku.

- Innym razem. - Byłam ponura jak burza gradowa. Od początku zmiany zdążyłam ledwie zarobić na opłatę dla klubu, a kwitów za napoje uzbierałam okrągłe zero.

Inna dziewczyna entuzjastycznie podchwyciła propozycję zrobienia z Leelą huśtawki i chwilę później obie podskakiwały jak dwa szałwiki, śmiejąc się nudzie prosto w nos.

\* \* \*

O ile „Schieks” ze swoimi kryształami i cristal kojarzył mi się z magią kina, o tyle „Dreamgirls” to już było *cinema verite* - każda z tutejszych dziewczyn miała cierpiącą minę. Sprzedałam kilka prywatnych tańców, ale goście niechętnie rozstawali się z forszą. (Powinam była wiedzieć, że miłośnikom darmowych hot dogów szkoda będzie wydawać zasilek na dziewczyny, które i tak nie dadzą im dupy.) Trochę posiedziałam przy niesamowicie

spokojnym Sudańczyku, ale bardziej niż legalne usługi interesowało go obmacywanie moich piersi i namawianie, żebym dała się przelecieć.

- Na zewnątrz? - powtarzał jak zdarta płyta. - Ile za seks na zewnątrz, ty i ja?

- Sorry, ale nic z tego - odpowiadałam z przeprasząco-morderczym uśmiechem na ustach. Przemawiałam takim słodkim jak ulepek, rozkosznym tonem za każdym razem, kiedy chciałam ukarać cudzoziemców za nagabywanie o seks. A zdarzało się to co najmniej trzy razy każdego wieczoru, byłam więc do tego przyzwyczajona.

- Cze-e-e-emu?

(To udręczone pytanie zawsze stanowiło fazę drugą operacji „przebiegłego cudzoziemskiego przymawiania się o seks“.)

- Dlatego, że to nielegalne, i dlatego, że nie chcę - odparłam, wiedząc, że zaraz zaproponuje mi sto dolarów.

- Chodź. Sto dolarów! - nie ustępował. Faza trzecia, jak w zegarku.

- Nie - uciełam. - Przepraszam. — Wyplątałam się z jego łap i odeszłam. W stopach czułam „pulsujący ból” jak w reklamie aspiryny. Ale w „Dreamgirls” nie było jacuzzi, nie było więc szansy na pomoczenie ich w chłodnej wodzie. Pomyślałam, że poszukam wolnej toalety, ale samotny kibełek, który wcześniej widziałam, nie wyglądał zachęcająco.

- I jak ci idzie? - zagadnęła mnie smętnie Leela.

- Jak kurwie w deszcz - odparłam. - A tobie?

- Sprzedałam dopiero jeden taniec - odpowiedziała, wyginając dolną, ozdobioną kolczykiem wargę w podkówkę. - Co za syfiasty lokal.

- Ciekawe, czy atmosfera tu się czasem rozkręca - powiedziałam.

- Z tego co słyszałam, to nie - odparła Leela. - Pracuję tutaj tylko dlatego, że wylali mnie z „Choice”.

- A co się takiego stało? - Żeby wylecieć z nocnego klubu, trzeba popełnić kradzież albo morderstwo, byłam więc szczerze ciekawa, co mogła zrobić taka sympatyczna smarkula jak Leela, żeby zasłużyć na taką karę.

- Jedna z dziewczyn powiedziała, że uderzyłam ją w twarz - wyjasniła z pogardą Leela. - Ale kłamała.

- Wróciłabyś do „Choice”, gdybyś mogła? - zapytałam.

- O, tak! - Leela się rozpromieniła. - Tam to mi szło. Raz sprzedalam ciurkiem trzydzieści tańców hokeiście z pierwszej ligi. Przy siedemnastym kawalku spadła mi peruka, a on na to: „Dawaj dalej! Mnie to nie przeszkadza!”. W życiu tyle nie zarobiłam w ciągu jednej nocy.

- Ciągłe słyszę o tym, jak to striptizerki trafiają na sportowców - powiedziałam zamyślona.

- Ty też się na jakiegoś zalapiesz, o ile popracujesz w tej branży dostatecznie długo - zapewniła Leela\*.

Okolo czwartej nad ranem w klubie było pusto, za to garderoba aż pękała od smutnych dziewczyn ze spuchniętymi stopami. Panowała typowa pokrzepiająca atmosfera, jak to po długiej nocy napędzanej red bullem i dragami — dziewczyny mówią za głośno, rzucają w siebie kredkami do oczu, składają kwieciste deklaracje wieczystej żądzy/nienawiści/nędy.

Moją uwagę przykuła jedna z tancerek. Była jedną z najchudszych osób, jakie w życiu widziałam, ale nie była to chudość tego rodzaju, która dodaje kobiecie urody.

\* I rzeczywiście mi się to przydarzyło. Wykonałam dokładnie dwa tańce dla zawodnika Wikingów z Minnesoty - wystąpił w obleśnych spandeksowych portkach, ozdobionych stylowym wzrodem. Nawet nie postawił mi coli.

Twarz spustoszoną przez trądzik miała grubo zaszpachlowaną podkładem, jej włosy przypominały zmierzwioną futrzaną czapę Daniela Boone'a. Dziewczyna stała na środku przebieralni boleśnie naga. Jej piersi przypominały obwisłe cycki, które pamiętałam z oglądanych w dzieciństwie zdjęć w „National Geographic”.

—Jesteś przekonana, że zawsze będziesz kochała faceta, który zmachał ci dziecko - powiedziała przeciągle. - Bo to tatuś twojego dzieciaka. Nie możesz o nim zapomnieć, choćby nie wiem co.

- Co racja, to racja - przyznała inna. - Ale nie chcę od Billa nic oprócz\* czterdziestu dolarów tygodniowo.

- Bo to tatuś twojego dziecka - powtórzył chudzielec, uśmiechając się do swoich wspomnień. - Myślisz, że to na całe życie, ale się mylisz.

\* \* \*

Zeszliśmy na dół gęsiego. Procedura przebiegała identycznie jak w „Deja Vu” (krótka mowa mająca podnieść nasze morale, po której następowała wypłata), ale z intrygującą innowacją: menedżer był furiatem, szowinistyczną, rasistowską świnią, i wyglądał, jakby miał zaraz dostać zawału.

- Wy głupie tanie sukil - ryczał, kiedy siedzieliśmy nieruchomo na brudnych kanapach. - Durne tłuste zdziry! Nic dziwnego, że nikt nie zagląda do tego burdelu!\*

W tym momencie z garderoby chyłkiem wyłoniło się kilka czarnych dziewczyn.

\* Szybko stało się to żartobliwym powiedzonkiem, często używanym przez Jonny'ego i Diabło: „Trzeba zrobić zakupy, bo nie ma nic do żarcia w tym burdelu!”.

- No, no - wycedził menedżer, kiedy je zauważył.  
- A kogóż tu mamy? Trzy małe Murzynki! Ile żeście, ścierwa, wycyganily od tych pedałów?

Dziewczyny z niesmakiem przewróciły oczami i dołączyły do pozostałych, tkwiących na nieprzyzwoicie brudnych kanapach.

- Obserwuję was, zapijaczone szmaty - perorował menedżer. - Widzę, jak przemycacie gorzałę i prochy. Treena. - Wskazał paluchem dziewczynę, która jak się domyślałam, nosiła to imię. Ta zachichotała, ewidentnie nie przejmując się jego jadowitym tonem. Czulałam, że takie obrzydliwe mieszanie z błotem stanowi w „Dre-amgirls” codzienny rytuał.

- Następnym razem macie mi grzecznie siedzieć, każda przy swoim pedale - kontynuował menedżer w natchnieniu. -1 lepiej, żebym żadnej nie przyłapał w garderobie, siedzącej na tłustym dupsku, wlewającej w siebie wodę i jęczącej, że za mało zarabia.

Dziewczyny skinęły potakująco. Zastanawiałam się, czemu w oczywisty sposób heteroseksualni goście klubu są nazywani przez menedżera „pedałami”, ale doszłam do wniosku, że lepiej o to nie pytać.

- Dobra, miejmy to wreszcie z głowy - podsumował menedżer i usiadł za biurkiem, podczas gdy zbesztane dziewczyny potulnie ustawiły się gęsiego, z gotówką w garści.

Kiedy przyszła moja kolej na spłacenie klubu, poszłam do menedżera, mając duszę na ramieniu. Co dziwne, teraz zachowywał się jak uosobienie uprzejmości i uśmiechał się do mnie niczym życzliwy wujaszek.

- Ale chyba jeszcze do nas wrócisz, co, skarbie?  
- zapytał, zgarniając marne pięć dolarów, z którymi nie miałam ochoty się rozstawać, lecz które bałam się zatrzymać.



- Chyba tak - zelgałam zdesperowana, chcąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- Cóż - odparł. - Bardzo byśmy tego chcieli.

„Musztarda po obiedzie” - pomyślałam. Ścisłej biorąc, po hot dogu!

## Dziesięć najgorszych podkładów do striptizu

1. Ten kawałek Midnight Oil o Aborygenach.
2. *Friday I'm in Love* The Cure. Rzewne jęki Roberta Smitha idealnie nadają się na weekendy przestane i przeszlochane pod oknami domu byłego męża, ale dla seksownego występu estradowego są prawdziwym zabójstwem.
3. *Hey Ya* grupy Outkast. Ten kawałek wszystkim się podoba (niby że taki superzakręcony), ale zwykła striptizerka musi wciągnąć dobrych kilka kresek, żeby nadażyć za tymi świrniętymi bitami. Poza tym żaden facet nie chce, żebyś mu przypominała o jego małżeńskich kłopotach, świecąc mu gołą dupą przed nosem.
4. *Ice Ice Baby* Vanilla Ice. Powszechnie używane jako „kara” przez pasywno-agresywnych didżejów chcących zemścić się na striptizerce, która – w ich poczuciu – odpała im za mało kasy.

5. *Girls* Beastie Boys. Mimo że to pozycja szafy grającej często wybierana przez tępych, gardzących kobietami erotomanów, którzy uczęszczają do klubów ze striptizem, ksylofony w mgnieniu oka zabijają romantyczny nastrój.
6. Cokolwiek Britney Spears. Masz dużą szansę podpaść klubowej weterance, która już w 1998 roku zastrzegła sobie trwałe prawa do całej twórczości Britney i ma precyzyjnie ułożoną choreografię do każdej piosenki w jej dorobku (nawet do *Don't Let Me Be the Last to Know*). Lepiej od razu jej ustąpić.
7. Którekolwiek z dzieł Eminema o matkobóstwie, metakwalonie czy ojcostwie.
8. *Elenore* zespołu The Turtles. Wiem, że każdy przepada za tym cikliwym przebojem aspirujących gwiazdorów Los Angeles lat sześćdziesiątych, ale odpuść sobie!
9. *Hotel California* The Eagles w gównianym wydaniu post-country. Tylko wszystkich wkurzysz. Wszystkie striptizerki nienawidzą Joego Walsha, chociaż nie mam pojęcia czemu.
10. *The More You Ignore Me, the Closer I Get* Morriseya. Zachęta dla różnych zbrodni, a ostatnie, czego byś chciała, to Freddy, twój stały klient, pojawiający się w twoim dziennym miejscu pracy z bukietem zwędzonych goździków i naładowaną czterdziestką piątką.

# Niewyprawiona skóra

Pod koniec sierpnia zatankowaliśmy z Jonnym nasz Cipkomobil (nazywaliśmy go tak, ponieważ zapłaciłam za niego kilometrami horyzontalnych uśmiechów) i śmignęliśmy na zachód. Była to nasza pierwsza wspólna wycieczka i okazała się tak idylliczna i kolorowa, jak to sobie wyobrażałam - dziwaczne atrakcje turystyczne, inscenizowane strzelaniny i malownicze zachody słońca zlewały się nad postrzępionym horyzontem w całość, słodką niczym lody na patyku. W Cody w stanie Wyoming wybraliśmy się na nocne rodeo, podczas którego na widok jednego Brazylijczyka w trupie klaunów musiałam pomyśleć o Joni, ciężarnej pokojówce. Wcinaliśmy „preiowe ostrygi”, jak nazywano tutaj smażone w głębokim tłuszczu bycze jądra, w barze dla kowbojów (pstrykałam zdjęcia Jonnyemu, który krztusząc się, heroicznie przelykał bycze jaja, podczas gdy spaleni słońcem miejscowi przyglądali się nam z sennym rozbawieniem). Zaliczyliśmy każdy pomnik, każde muzeum i każdy zawalony wyrobami ze skóry sklepik pamiątkarski, jaki figurował w przewodniku Frommera. Zaliczyliśmy Yellowstone, Medicine Wheel i Mount Rushmore.

Jak było do przewidzenia, właśnie na zachodzie doznałam swoistego olśnienia. (Powinam raczej zapytać, kto zdołałby go uniknąć pośród takich przecedzonych widoków i zestawów ze stekiem za cztery dolary dziewięćdziesiąt pięć centów porcja?) Otóż dotarło do mnie, że ostatnio czuję się przybita, ale wcale nie jest to skutek uboczny uprawiania striptizu. Jasne, „Deja Vu” było przygnębiającą, źle zarządzaną, wysysającą z człowieka radość czarną dziurą, ale najbardziej zdołał mnie fakt, że zawiodłam. Poniosłam klęskę. Byłam żalną imitacją striptizerki, o dwa tysiące lat świetlnych oddaloną od opanowanej, zmysłowo polerującej rurę bogini, której obraz podsuwała mi własna wyobraźnia. Zarabiałam gówniane pieniądze, bo miałam gównianą samoocenę. Jak dromader dźwiga garb, tak ja taszczyłam za sobą lata kompleksów kujona i nienawiści do samej siebie - nic dziwnego, że faceci oganiali się ode mnie jak od natrętnej muchy. A już szczytem wszystkiego było to, że pozwalałam klientom bezwstydnie się wykorzystywać, bo byłam przekonana, że nikt mnie nie zechce, gdybym nagle zaczęła mieć wymagania. Na wejściu ofiarowałam swój tyłek po cenie zniżkowej. Używając żargonu marketingowego, nigdy nie stworzyłam odpowiedniego popytu.

Z kolei mój niedawny awans w agencji nie przyniósł mi nic oprócz nieodczuwalnej podwyżki i owrzodzenia żołądka, przez które krwawiłam z tyłka. Nigdy nie byłam dobrze zorganizowana, co więc mnie podkusiło, żeby przyjąć stanowisko, które sprowadzało się do sprzątania cudzego bałaganu? Zaczynałam się bać, że rzucę nie tę posadę, którą powinam. Powiedziałam o tym Jonny'emu, kiedy jechaliśmy przez Bighorn Mountains z debilną prędkością stu dwunastu kilometrów na godzinę.

- Chyba masz rację - odparł Jonny, zaskakując mnie. - Nie robisz wrażenia, jakbyś naprawdę skończyła ze striptizem.

- Ja z nim skończyłam, ale on ze mną najwyraźniej nie - uściśliłam. - Pamiętasz tamtą dziwną akcję z „Dreamgirls” w zeszłym miesiącu? Co to niby miało być? Czemu nie mogę przestać się rozbierać po różnych podrzędnych spelunach? Musi być jakiś powód.

- Myślisz o przejściu na zawodowstwo? - spytał Jonny. - O rzuceniu dziennej posady i rozejrzeniu się za nowym klubem i pracą na pełny etat? Coś w ten deseń?

- Pewnie myślisz, że bredzę - odparłam. - Ale jeśli zostanę w agencji, to chyba zwariuję, a w branży seksualnej wciąż jest mnóstwo kasy do wyciągnięcia.

- Zrób to - powiedział Jonny. - Na co czekasz?

- Jeszcze nigdy tak nie było, żeby nie miała normalnej posady - powiedziałam w zamyśleniu, ściskając kierownicę, i z rykiem przejechałam koło awaryjnego zjazdu dla ciężarówek.

\* \* \*

Byłam świadoma tego, że rodzina i znajomi uważają moją posadę w agencji reklamowej za coś fantastycznego. Bądź co bądź miałam szczęście pracować w progresywnym środowisku, w którym liczba osób kreatywnych i trendsetterów wielokrotnie przewyższa liczbę zwykłych zjadaczy chleba. (Nie jest przy tym ważne, że to co robiłam, niewiele różniło się od sortowania listów na pocztce i że na podwyżkę, którą miałam otrzymać „niebawem”, czekałam od miesięcy.) Moje skromne sukcesy w agencji nic dla mnie nie znaczyły — nie stanowiły wyznacznika mojej wartości jako osoby. Z kolei jedna dobra noc w klubie potrafiła wydzwignąć moją samoocenę na wy-

sokość szczytu Kilimandżaro. Tam miałam namacalne dowody aprobaty, pewność, że marka „Cody” cieszy się dużym popytem. Żaden menedżer średniego szczebla nie umiałby precyzyjnie wycenić wartości mojego intelektu czy etyki pracy, podczas gdy po wieczornym targu niewolnic mogłam dokładnie obliczyć, ile jest wart każdy gram mojego ciała. Konkretność tej wiedzy podnosiła mnie na duchu, dowartościowywała jak żadne nadęte korporacyjne pochwały.

Rzuciłam pracę w agencji niemal natychmiast po powrocie. Efekt oceniałabym na mizerne dwa i pół stopnia w skali wstrząsu po zrzuceniu bomby. Szefowa beznamiętnie przyjęła moje wymówienie, leciutko zaciskając perfekcyjnie uszminowane usta. („Nie rozmaz sobie konturówki, dziewczyno. Też używasz Spice MAC-a?”)

- Czulaam, że nie jesteś do końca zadowolona z tego stanowiska - westchnęła, kiedy czerwona jak burak stałam w jej nieskazitelnym gabinecie, którego wystój łączył filozofię zen z estetyką przedmieść. - Powodzenia.

Pośpiesznie zorganizowano pożegnalny poczęstunek z lodami. (Zapamiętałam z niego tylko tyle, że faceci obżerali się lodami czekoladowymi z kawałkami czekolady, a kobiety ostrożnie dziobały łyżkami sorbet cytrynowy.) Kiedy pytali, co zamierzam, łgałam jak z nut („Idę do szkoły kosmetologii i ziołolecznictwa!”). Wkrótce zostałam oficjalnie uwolniona od dotychczasowych obowiązków, z rozśpiewanym sercem i z plecakiem pełnym kradzionych artykułów biurowych.

## Części lalek

Praca w klubach dała mi pewność siebie. Byłam nieustraszona, zobojętniała i niewrażliwa od pasa w dół. Miałam pusty portfel i coraz mniej zahamowań. Dojrzałam do przeistoczenia się z tancerki erotycznej do dziewczyny z peep-show, i doskonale wiedziałam, gdzie powinnam skierować swoje następne kroki.

„Sex World” był trzykondygnacyjnym, czynnym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę imperium pornograficznym wzorowanym na wystroju cyrku, oferującym striptiz „na żywo” (w odróżnieniu od striptizu „na nieżywo?”), kabiny wideo, wiele akcesoriów do palenia oraz wszystkie najnowsze seksualne gadżety - od lizaków w kształcie penisów po cyberżelowe repliki odbytnicy gwiazdy porno Alishy Klass. Rozchichotane dziewczyny przechadzają się wśród tych samych regałów, co mamroczący zboczeńcy, ruch jak na lotnisku, ale gdzie indziej można kupić erotyczny tort (piersi i penisy bez artyzmu wykonane z plastycznego lukru), wysoką na dziewięćdziesiąt centymetrów faję wodną i stos amatorskiego porno, wszystko pod jednym dachem? To Wal-Mart seksu, erotyczny supermarket, do którego idziesz po najnowszy numer „Taboo”, a wychodzisz



z czterema wibratorami i całym *grand oeuvre* T. T. Boya na kasetach VHS.

„Dom Lalek” (czytaj: peep-show w wydaniu „Sex World”) wyróżniał się tym, że zatrudnione w nim dziewczyny były nieustannie wystawione na widok publiczny. Tkwiły za grubą tafłą szkła niczym lalki Barbie cierpiące na gigantyzm przysadkowy, stanowiąc cel spojrzeń żądnych golizny tłumów, jakie nieprzerwanie wlewały się i wylewały z sex-shopu. Kiedy klient miał ochotę na pokaz, niemo wskazywał paluchem dziewczynę, która najbardziej przypadła mu do gustu, a ona dołączała do niego w jednej z prywatnych kabin, ciągnących się wzdłuż wschodniej ściany lokalu. Nieraz wpadałam na zakupy do „Sex World”, ale nigdy nie zbliżałam się do okna wystawowego. Tafla szkła była niepokojąco realną linią demarkacyjną między „nami” a „nimi”, poza tym nie chciałam niepokoić rybek zamkniętych w tym akwarium. Dziewczyny z peep-show wyglądały na takie zblazowane, kiedy siedziały i paliły fajki w swoim małym Amsterdamie, że bałam się podejść i lepiej im się przyjrzeć, żeby mnie nie wyśmiały. (Wiem, jestem okropnym tchórzem.)

Po harówie w śródmiejskich klubach perspektywa pracy w „Domu Lalek” wydawała mi się niezmiernie kusząca. Dla mnie to było coś w rodzaju branżowego odpowiednika urlopu, okazji, żeby trochę odzignąć w szklanym akwarium i pozwolić, żeby dla odmiany to klienci trochę się za mną pouganiali, zanim sama wrócę do nerwowego uganiania się za pieniądzem. Słyszałam, że osoby zatrudnione w „Sex World” mają cotygodniowe wypłaty i ubezpieczenie zdrowotne, co było dużym plusem w porównaniu ze statusem niezależnego współpracownika, jaki proponowano dziewczynom w większości klubów ze striptizem (pomijając wyjątkową do-

wolność interpretowania fragmentu o „niezależności”). Postanowiłam zajrzeć do klubu i przekonać się, czy poproszą mnie, żebym zasilila szeregi lalek.

Po wypełnieniu standardowego formularza (w rubryce STOPIEŃ WOJSKOWY wpisałam „laska marszałka”), dałam się sfotografować polaroidem, w pełni ubrana, zachmurzonemu urzędasowi, który miał drewniane kolki w rozciągniętych płatkach uszu. Po kilku dniach zadzwoniła do mnie menedżerka, zachwycona sobą damska wersja Dona Kinga, która wyglądała, jakby nieraz bila i była bita. Zawsze mówiła o swoich podwładnych per „lalki”, rzeczowo i bez sympatii.

- Jedna z lalek właśnie się wycofała, mam więc nieobsadzoną zmianę od szóstej do północy - oznajmiła.  
- Pięć dni w tygodniu. Chcesz albo nie?

Chciałam.

- Okay. Przynies koc, jakiś lubrykant i zabawki, których zamierzasz używać - dodała. - To są pokazy masturbacji. Z zabawkami więcej zarobisz.

Przytaknęłam i się rozłączyłam. Zapomniałam zapytać, czy ja też będę widziała każdego fagasa w zapamiętaniu trzepiącego kapucyna po drugiej stronie kabiny. Z jakiegoś powodu voyeurystyczny aspekt tej roboty (to, co ja miałam oglądać), najmniej mi się podobał.

Moim pierwszym dniem w „Domu Lalek” był poniedziałek. Menedżerka pokazała mi, jak dostać się do „Domu Lalek” sprytnie ukrytym wejściem (w przeciwnym razie podwoje Krainy Lalek przyciągnęłyby potencjalnych gwałcicieli i usychających z miłości zбочeńców). Następnie poprowadziła mnie wąskim korytarzem do przebieralni, która była tak mała, że szatnia „Skyway Lounge” wyglądała przy niej jak zaplecze Tropicany. Była w niej umywalka, zegar czasu pracy, ekspres do kawy i to właściwie tyle. Po drugiej stronie korytarza było

widać troje drzwi, oznaczonych literami A, B i C. Były to wejścia do ciasnych kabin, w których odbywały się pokazy. Kazano mi wybrać tę, w której będę pracować — wybrałam A. Była pomalowana na różowo i stał w niej szeszlong obity wymęczoną sztuczną skórą o pękających szwach, z których sterczały nieefektywne strzępki. Wy-  
patrzyłam także przenośny odtwarzacz płyt kompaktowych, przytwierdzony do ściany imponująco grubym łańcuchem. Domyśliłam się, że w „Domu Lalek” próby kradzieży traktuje się bardzo poważnie. Wysoka gruba tafla szkła oddzielała moją stronę kabiny od strony klienta (czyli jednak będę musiała oglądać całą galerię onanizujących się hydraulików, prawników i programistów COBOL-a!), a po obu stronach znajdowały się czarne słuchawki, jak w więzieniach, umożliwiające wymianę sprośności między dziewczyną i klientem.

Za rogiem znajdowała się kanciapa, w której dziewczyny czekały na widoku klientów, dopóki któryś nie wezwie ich na prywatny pokaz. (Większość znanych mi osób nazywała to po prostu wystawą, na przykład: „Chcesz powiedzieć, że jesteś jedną z tych lasek na wystawie w «Sex World»?”). Wnętrze kanciapy miało ciemny, czerwono-brązowy odcień zakrzepłej krwi, który miała uszlachetnić tania pozłotka, zaaplikowana w dużych ilościach. W wyposażeniu znajdowała się czerwona sofa w kształcie dzióbka Marilyn oraz dwa ekstrawaganckie fotele w kształcie pantofli na szpileczkach. Od razu skojarzyły mi się z modą na dziwaczne, koncepcyjne meble w latach osiemdziesiątych - nie zdziwiłabym się, widząc tam telefon w kształcie hamburgera. Na wierzchu leżało w nieładzie kilka starych numerów „Entertainment Weekly”, w powietrzu zaś wisiał zapach chińskiej czyszczyny. Dziewczyna w ciemnej peruce na pazia siedziała na kanapie ze szkicownikiem i pudełkiem pasteli na

kolanach - uśmiechnęła się do mnie i przedstawiła jako MacKenzie.

Frontowe okno wystawowe było nieustannie bombardowane ostrym, fluorescencyjnym światłem. W porównaniu z miękkim półmrokiem klubów ze striptizem taka iluminacja rodem ze sklepu spożywczego była *molto* nietwarzowa, pomijając fakt, że człowiek czuł się wystawiony na widok publiczny jak nie przymierzając kawał cielęciny. Pod oknem ktoś przykleił kartkę kawałkiem taśmy klejącej. A oto jej wierny zapis, z zachowaniem oryginalnej interpunkcji i pisowni:

**DO WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH  
ŚWIATŁA MAJOM SIĘ PALIĆ NON STOP  
NIE OBCHODZI MNIE JAK PRZEZ TO  
WYGLONDASZ ALBO ŻE BOLI CIE OD NICH  
GŁOWA JAK ZOBACZĘ ZE SA WYLONCZONE  
DOSTANIESZ PISEMNE UPOMNIENIE  
IZEBYS WIEDZIAŁA ZE WPISZE CIE NA  
CZARNA LISTĘ ZA TAKA PIERDULKE JAK  
WYLONCZONE ŚWIATŁA JAK CHCESZ SIĘ  
PRZEKONAĆ TO ŚMIAŁO JAKIEŚ PYTANIA**

Pomyślałam, że jestem bardzo daleko od pomykających na skuterach copywriterów z agencji reklamowej.

Kolejną rzeczą godną uwagi, jaką odkryłam w kanciapie, były dwukierunkowe krótkofalówki. Dziewczyny z peep-show miały po dwie krótkofalówki ze względów bezpieczeństwa, ale kasjerzy i ekspedienci w całym rozległym kompleksie „Sex World” też z nich korzystali, żeby porozumiewać się między sobą, kiedy klient pytał o konkretny produkt. Od razu wiedziałam, że przysłuchiwanie się takim rozmowom będzie wielką frajdą. Kiedy wypakowywałam koc w gepardzie cętki

oraz krótki, choć gruby wibrator, podsłuchałam następującą rozmowę:

**Pierwszy sprzedawca:** Jak się nazywał ten film z tymi ludźmi, co to uprawiali seks pod wodą?

**Drugi sprzedawca:** Albo *Seks pod wodą*, albo *Podwodny seks*.

**Pierwszy sprzedawca:** Przyjąłem! Bez odbioru! \*

Efektownie udrapowałam koc na szezlongu (ostatnie, na co miałam ochotę, to figlowanie w podeschniętym kisielu po innej pannie) i położyłam wibrator na parapecie. Kiedy zajrzałam do kabiny MacKenzie, zobaczyłam, że przytargała z domu wielki plastikowy pojemnik Tupperware, z którego dosłownie wypływały brązowe gadżety. Były tam żelowe penisy we wszystkich możliwych rozmiarach, o najróżniejszych obwodach i zróżnicowanych kolorach, zatyczki analne, klipsy na sutki, kulki gejszy, pejcz, bita śmietana w spreju, a nawet „okienny gwałciciel” (sztuczny członek, który dziewczyna może przymocować do szyby dzięki specjalnej przysawce i następnie radośnie ujeżdżać, o ile jest wygimnastykowana). Zrobiło mi się okropnie wstyd, kiedy zdałam sobie sprawę, jak wiele brakuje mojemu maciupkiemu różowemu wibratorowi rozmiarów korniszona. Autentycznie czułam zazdrość o sztucznego członka innej dziewczyny.

Po wyjściu menedżerki MacKenzie wyjaśniła mi, że za każdym razem kiedy klient zostawia pieniądze w kabynie, drukuje się paragon. My miałyśmy te paragony

zbierać i zdawać codziennie po pracy, tak by raz na tydzień, w piątek, odebrać czek opiewający na połowę sumy, którą dają wszystkie paragony łącznie. Osobiście byłam zdania, że pobieranie połowy moich zysków to już przesada, ale zdążyłam się przyzwyczać do myśli, że w tej branży skubią człowieka na każdym kroku.

Wcisnęłam się do przebieralni i wbiłam w zakupiony w Hot Topie za jedyne osiem dolarów marynarski kostium bikini, założyłam szpilki i nową perukę a la Mia allace. Nie chciałam, żeby jakiś palant z „Deja Vu” rozpoznał mnie i zrobił mi obciach, wystąpiłam więc w roli zmysłowej dziewczyny gotyckiej. Dołączyłam do MacKenzie w kanciapie - siedziałyśmy w milczeniu i czekałyśmy, aż klienci ruszą leniwe tyłki i zastukają w szybę. Myślałam o tym, jak mi pójdzie pierwszy pokaz, i zastanawiałam się, czy patrzenie, jak obcy facet onanizuje się do wytrysku będzie czymś obrzydliwym. W końcu się doczekałam: facet o urodzie Billa Gatesa podszedł bliżej i wskazał mnie niemrawo. „No, pora ruszać z tym koksem!”.

Kiedy usadowiliśmy się, każde po swojej stronie kabiny, Bill Gates podniósł słuchawkę więziennego telefonu i zamówił pokaz za czterdzieści dolarów. Szybko zrzuciłam bikini i zaczęłam się nieporadnie dopieszczać i mizdrzyć jak pijana aktoreczka na widok paparazzich. (Na prywatny użytek masturbowałam się w bardzo rzeczowy i pozbawiony udziwnień sposób, ale teraz starałam się tę czynność uatrakcyjnić, chociaż za bardzo nie wiedziałam, jak.)

Zauważyłam zmieszana, że Bill Gates także zaczął się rozbierać. Wolno i metodycznie wieszał kolejne elementy garderoby na haczyku, zapobiegliwie umieszczonym po jego stronie kabiny. Kiedy rozebrał się do rosołu, uśmiechnął się do mnie i wyjął skądś butelkę lubrykan-

tu Astroglide, w rozmiarze jumbo, wylał sobie na dłoń idiotycznie wielką ilość płynu, usiadł i zaczął z ukontentowaniem wtykać sobie palec w odbytnicę. „Sklelcz, sklelcz, sklelcz!”.

Przelknęłam ślinę i onanizowałam się dalej. Bill pokazał przez szybę, że bym wsadziła sobie dwa palce do cipki, co też uczyniłam. W „Domu Lalek” obowiązywały bardzo konkretne zasady dotyczące penetracji. Formalnie rzecz biorąc, wsadzanie sobie palców czy zabawek było zakazane, z drugiej strony pokazy z użyciem zabawek waginalnych i analnych stanowiły tutaj normę. Aby obejść tę przeszkodę, poinstruowano nas, żebyśmy niczego nigdzie nie wsadzały, dopóki klient nie zacznie się onanizować. Logika była taka, że policjant w cywilu raczej nie zechce opuścić portek i zwalić konia. Jeśli klient wyjął ptaka, można było bezpiecznie brać się za pokaz z zabawkami. Regułę tę dowcipnie przypominały kartki naklejone we wszystkich kabinach: NIE MA WKŁADANIA BEZ WYJMOWANIA!

Kiedy Bill Gates zbliżał się do orgazmu, skinał na mnie, że bym przysunęła głowę do szyby, tak bym mogła podziwiać jego wytrysk z bliska. Zamiast przerażającego, potężnego mlecznobiałego gejzeru, którego się spodziewałam, skończyło się na żenująco ciekim strumyczku ejakulatu, przezroczystego i glutowatego jak kurze białko. Podejrzewam, że nie była to jego pierwsza masturbacja tego dnia. Mimo to wpatrzyłam się w niego z udawaną czcią, jak gdyby zafundował mi pokaz mojego życia. „Przy takiej ejakulacji erupcja Góry Świętej Heleny może się schować!”. Po wszystkim wyszłam z kabiny i ze złością wyszorowałam ręce nad umywalką. MacKenzie zaśmiała się sucho, a ja zastanawiałam się, czy czuła się zakłopotana, wiedząc, że jej koleżanka masturbuje się za cienką ścianą. Jeśli to żenujące, to będę musiała szybko przemóc wstyd.

\* \* \*

Podczas mojej pierwszej nocki obsłużyłam następujących klientów:

1. Fetyszystę, który błagał mnie, żebym lizła obcas jednego pantofla, jednocześnie „zwalając gruchę” obcasowi drugiego. Powiedział, że mam wrodzony talent do zwalania gruchy pantoflom na szpilkach. (Szczerze powiedziawszy, trochę mnie tym zaskoczył.) Podczas uwieńczonej sukcesem próby przyspieszenia jego orgazmu, wyjęczałam uwodzicielsko: „Och, tak bym chciała, żebyś tryśnął mi na buty...”. A on mi na to: „Serio? Chcesz mój numer telefonu?”. *Nein.*
2. Nienagannie ubranego biznesmena, którego żona kazala udać się do „Sex World”, zapłacić jakiejś dziewczynie z peep-show, żeby się masturbowała, a potem przez komórkę opisywać jej, co się dzieje, tak żeby ona także mogła się masturbować. Miłą niespodzianką było to, że facet w miarę pozytywnie wypowiedział się na temat mojej techniki. Co chwila powtarzał żonie: „Nie, serio, jest całkiem atrakcyjna”, jak gdyby oboje spodziewali się trędownej pokraki z twarzą jak naleśnik.
3. Lubieżnego młodzieńca, który zapewniał mnie, że ciągle stuka swoją siostrę i że obie mamy identycznie cipki. Zaproponowałam, żeby się tutaj zakradła i odwalila za mnie kilka szycht, jak w *The Patiy Duke Show*, bo



przecież od pasa w dół wyglądałyśmy identycznie, nikt by się więc nie połapał. Ale chłopak był z Ekwadoru, dlatego niewiele z tego rozumiał.

4. Faceta, który chciał być zdominowany i klepał idiotyczne teksty w stylu: „Wal mnie w dupę! Jestem twoją posłuszną pokojówką!”, wywołując wybitnie nieliczące z rolą dominy wybuchy śmiechu z mojej strony kabiny. (Rozkazujący ton w połączeniu z podległą rolą zawsze mnie rozwalaly.)

Sześć godzin później skończyła się moja zmiana. Zgodnie z regulaminem przetarłam szezlong i telefon alkoholem, a później na dokładkę szpitalnym środkiem dezynfekcyjnym. Jego zapach kojarzył mi się z wizytą u kosmetyczki, która przekłuwa uszy w centrum handlowym. Na szczęście lalki nie musiały sprzątać strony klienta w kabinie. Zadanie to zarezerwowano dla kadry gotyckich dozorców - mnie trafił się taki w bawełnianej koszulce z napisem PAL CRACK I CZCIJ SZATANA. Szybko zgarnął mopem małą, stworzoną przez człowieka lagunę na podłodze w mojej kabinie i poszedł.

Kiedy wyszłam na ulicę i zatrzymywałam taksówkę, czułam się dziwnie zadowolona z siebie. Zarobiłam dwieście dolarów śmiesznie małym wysiłkiem. Wiecie: zapłacono mi za masturbowanie się przez sześć godzin! Nie to co w „Deja Vu” - nie było żadnych kar finansowych czy obowiązkowych tipów, o które musiałabym się martwić. Nie musiałam nikomu wciskać potwornie drogiej coli ani oganiać się od klientów o lepkich łapach. Miałam poczucie, że wreszcie zaczynam panować nad moim budzącym się talentem seksualnego substytutu.

Za szkłem czułam się bezcenna i nietykalna jak dzierzący gumowego penisa bibelot z *Precious Moments*. Nieskażona. Czysta jak Śnieżka w jej szklanej trumnie, zakonserwowana, żeby cieszyć oczy tłumów.

\* \* \*

W ciągu tygodnia zdążyłam poznać albo i pracować z niemal wszystkimi dziewczynami zatrudnionymi w „Domu Lalek”. W peep-show pracowało ich około dziesięciu, zwykle po dwie czy trzy na jednej zmianie. Fizycznie były bardzo różne - niektóre grube, inne chude jak szczapy, było kilka ubranych w drogie kostiumy wymalowanych lasek o wyglądzie typowych striptizeerek, było też kilka drobnych oszustek, żyjących z najróżniejszych zasiłków, bosych i ubranych w dresy Baby Phat. Jedną z nich, Ava, była w siódmym miesiącu ciąży i potrafiła wycisnąć z sutków siarę, ku zachwyceniu naszych klientów z fetyszem na punkcie przyszłych mam. Kolejną z dziewczyn była eks-dziennikarka, która miała czterdzieści dwa lata, chociaż wyglądała na trzydzieści kilka. Donna, nasza etatowa wariatka, cięła się z wielkim upodobaniem i jej ładne białe ramiona były naznaczone kratownicą blizn. Kiedy się naćpała, zanosila się maniakalnym śmiechem jak Tom Hulce *-w Amadeuszu*. **Jeszcż.** inna dziewczyna, Ariel, była bezdyskusyjnie przepiękna, ale uważała, że jest gruba i obleśna. Siadała i kompulsywnie głaskała się po udach, cichym, jednostajnym tonem opowiadając o tym, jak to w duchu dodaje sobie dziesięć minut do codziennego programu treningów za każdym razem, kiedy klient się przy niej nie zatrzyma.

(Ariel, przy wszystkich swoich kompleksach, używała najgłośniejszego, najmocniejszego wibratora wynalezionej przez człowieka. Mówię serio - wydaje się

co najmniej wątpliwe, czy instrument rozkoszy o takiej mocy mógł pochodzić z legalnych źródeł. Kiedy znikala w kabinie i odstawiała prywatne pokazy, brzmiało to tak, jakby bawiła się ogrodową dmuchawą do liści. Nie zdziwiłabym się, gdybym pewnego dnia poczuła z jej kabiny woń przypalonego ciała - oto jak straszliwą frykcję generowało to urządzenie. Ale jak się przechwalała, inne były dla niej po prostu za słabe.)

\* \* \*

Menedżerka zawsze proponowała pracę bardzo młodym dziewczynom, które się zgłaszały. Któregoś razu zatrudniła dwie nastolatki, rodzone siostry, które same proponowały klientom spotkanie po pracy i numerki na parkingu. Kiedy ktoś doniósł menedżerce, że nowe wykorzystują pracę w peep-show, żeby werbować chętnych na seks za pieniądze, odpowiedziała tylko:

- Biali faceci lubią młode dziewczyny. One ściągają tu pieniądze. Nie mogę ich zwolnić.

Najzabawniejsze było to, że siostry w niczym nie przypominały rozkosznych lolitek o jasnej skórze i o policzkach palających panińskim rumieńcem. W rzeczywistości jedna z nich wyglądała tak, jak gdyby własnoręcznie obila się łyżką do opon podczas halucynacji wywołanych przez ospę wietrzną, druga zaś - wypisz wypisz - jak pajak wałęsaka w przerażająco dużym zbliżeniu. Menedżerka tak dalece wierzyła w ich młodzieńczy „urok”, że nie powiedziała im słowa, dopóki któregoś dnia po prostu nie pojawiły się w pracy.

Seks z klientami podpadał pod paragraf, ale jeszcze większą paranoję menedżerka miała na punkcie narkotyków. W peep-show widniała groźna wywieszka o treści:

ZAKAZ ZAŻYWANIA JAKICHKOLWIEK NARKOTYKÓW W PRACY! OBEJMUJE TO TRAWĘ, KWAS, HEROINĘ, KOKAINĘ, PIGUŁKI SZCZĘŚCIA, JAKIEKOLWIEK INNE PIGUŁY, CRACK I WSZELKIE INNE GÓWNIANE PRZYŚPIESZACZE I ZWALNIACZE, JAKIE MOŻECIE MIEĆ PRZY SOBIE

Nie wyobrażam sobie, żeby podobne obwieszczenie mogło pojawić się w pokoju socjalnym H&R Block. Niemniej przekonałam się, że chociaż wiele striptizerek notorycznie upijało się szampanem, bardzo nieliczne stawały się autentycznymi ćpunkami. Uważam ten fakt za dowód wrodzonej przyzwoitości mieszkańców Minnesoty, słyszałam bowiem wiele tragicznych opowieści rozgrywających się w innych częściach Stanów Zjednoczonych.

Pracowałam między innymi z dwudziestoczteroletnią prostytutką i matką trojga dzieci. Któregoś razu w przebieralni opowiadała o tym, jak to znalazła kokainę w domu któregoś ze znajomych.

- Nigdy nie widziałam kokainy na własne oczy - zapewniła żarliwie. - Ale widziałam ten film *Blow*, widziałam więc, że to koka.

Wszystkie roześmiałyśmy się dobrodusznie z jej naiwności. Dziwiło nas, że ktoś, kto regularnie daje dupy obcym facetom, kokainę zna wyłącznie z filmów. Właśnie taki jest świat striptizu, pełny sprzeczności, dziewczyn z drogich przedmieść z pozrastanymi żyłami, dziewczyn z getta na diecie Atkinsa, niewiniątek, które rozbierają się, żeby poczuć się jak dziwki, i dziwek, które rozbierają się, żeby znowu poczuć się jak niewiniątka. Jedno wielkie wariactwo.

\* \* \*

Klienci „Sex World” stanowili odrębną kategorię dziwaków. Pieprzenie stopami, cross-dressing i sadomasochizm stanowiły najczęściej spotykane fetysze, ale mnóstwo gości gustowało w „złoty deszczach” oraz w innych wariantach rozrywek wymagających znacznych ilości płynów ustrojowych. Klienci często mnie prosili, żebym się wysikała, a czasem nawet o to, żebym sprzedała im kubek moczu. Było to surowo zabronione, o czym informowała wywieszka o treści: ZAKAZUJE SIĘ POKAZÓW Z DESZCZYKIEM, TZW SIK-SHOW. PRZYŁAPANE ZOSTANĄ ZWOLNIONE. Za to kilka dziewczyn potajemnie sprzedawało zużyte tampony klientom, z których jeden płacił aż pięćdziesiąt dolarów, żeby pozwolono mu patrzeć, jak dziewczyna ceremonialnie wyjmuje zbrukanego tamponsa.

Czasami rzygać mi się chciało od tych pleksigłowych amantów, wszystkich takich samych, i od wyswiechtanych fantazji wyczytanych na forum „Penthouse'a”, które z roztargnieniem mamrotali w słuchawkę. W ramach walki z nudą wymyślałam absurdalne historyjki, które nawet mnie samej wydawały się mocno awangardowe. W mojej kabinie odbyła się na przykład, i zgodnie z regulaminem została zarejestrowana, następująca konwersacja:

**Klient** (wyciągając na wierzch standardowego, krótkiego różowego fiuta typowego dla stanu Minnesota):  
- Cześć, mała. Ile masz lat?

**Uniżona Narratorka:** - Dwadzieścia\*.

\* Miałam dwadzieścia pięć.

**Klient:** - Opowiedz mi coś seksownego. Opowiedz mi o swoim pierwszym razie.

**UN:** - To było, hm..., na obozie tenisowym\*. Miałam zaledwie trzynaście lat i niesamowicie przystojnego, zarozumiałego instruktora, który był, tego, po trzydziestce. Pewnego dnia postanowił mnie ukarać za mój żalosny backhand i po prostu mnie zerznął. W tylek.

**Klient** (pod wrażeniem): - Twój pierwszy raz i od razu anal?

**UN:** - Tak, najpierw anal, następnie zaś już normalnie. A potem zbił mnie po pupie rakieta tenisową. (W tym momencie wyrwał mi się zdławiony chichot.) Przepraszam. Po prostu przypomniało mi się coś zabawnego, co wydarzyło się na tamtym obozie.

**Klient:** - Ostro było. Jaka jest najbardziej sprośna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś?

**UN:** - Oprócz tego incydentu na obozie tenisowym? Cóż, mam taką jedną kuzynkę, która ma dopiero czternaście lat, i niedawno ją przeleciałam\*\*.

**Klient:** - O-o-o-o-o tak.

**UN:** - Ona brała udział w ogólnokrajowych zawodach gimnastyki artystycznej\*\*\*. Kojarzysz te dziewczyny, które skaczą po macie i machają wstążką do *Piątej*

\* Nigdy nie byłam na obozie tenisowym i dotąd nie kojarzę zasad tej gry.

\*\* Nic podobnego.

\*\*\* Skąd ja biorę takie bzdurne pomysły?

*symfonii* Beethovena? No więc ona jest niesamowicie wysportowana i tak dalej. Powiedziałam jej, że zrobię z niej lesbijkę, a potem zerznąłam ją wielkim sztucznym fiutem. Moja rodzina padłaby trupem, gdyby o tym wiedziała.

**Klient:** - Była wygolona?

**UN:** - Była zbyt niewinna, żeby myśleć o takich rzeczach.

**Klient:** - A ile miałaś lat, kiedy ją rozprawiczyłaś?

**UN:** - Dziewiętnaście, to było, hm... jakoś w zeszłym roku.

**Klient:** - Czyli jeszcze chodzisz do college'u?

**UN:** - Chodziłam przez jakiś czas, ale wyleciałam\*.

**Klient** (zbliżając się do orgazmu): - Jaki był największy kutas, jakiego w życiu miałaś?

**UN:** - No... w zeszłym roku grałam w węgierskim filmie porno\*\*. A dokładnie to była seria trzech filmów, w Stanach niestety nie do kupienia. Mój filmowy partner... był autentycznym hrabią. Węgierskim hrabią. Ciekawostka, żeby arystokrata grał w pornolu, nie? No więc on, ten hrabia, miał dwudziestopięciocentymetrowego fiuta.

\* Ukończyłam college.

' A skąd!

**Klient** (ejakulując): - Blarrrrgh. Gnuuuuh.

Kolejną kategorię stanowili kolesie, których porypana psychika była jednym wielkim zlepkiem problemów natury seksualnej. Należała do ich między innymi „Pedalska Dziwka”. Któryś wieczora wpadł do mojej kabiny niespokojny facet, który wiercił się, jakby palił się na nim spodnie. W ciuchach od J. Crew i ze złotą obrączką wyglądał na typowego podmiejskiego mężusia/tatuska szukającego pozamałżeńskiej rozrywki w sobotni wieczór.

Pierwsze jego słowa do mnie brzmiały:

- Byłem niegrzeczny. Oglądałem film na górze. (W trosce o tych, którzy nie mogą dać się przyłapać na wypożyczaniu „świństw”, czyli właśnie mężów/tatusiów, „Sex World” dysponuje gamą kabin na monety z tak szeroką ofertą filmów porno, że dosłownie oczy wypadają z orbit.)

- Ach, tak? - odparłam.

- Zgadnij, jaki to był film - poprosił żarliwie, kiedy zdjęłam stanik i figi firmy Target (komplet z gofrowanej bawelny, bardzo w stylu Lolity).

Ciekawostka. Co taki podtatusiały typ może uważać za wyjątkowo niegrzeczne?

- Hm..., taki z analem? - strzeliłam, dla ilustracji unosząc tylek do gry.

—To też — przyznał, szczerząc zęby w uśmiechu i waląc konia. - Ale tam było kilku facetów.

- Doprawdy? - wycodziłam.

- O, tak - odparł, wyjmując nielegalny środek pobudzający i wciągając go z zapalem. - Uwielbiam fiuty. Mam się dzisiaj spotkać z kolesiem, który wyrucha mnie w dupę. A potem obciągnę jego koledze. Po prostu uwielbiam fiuty! - zapiał. - Jestem dziwka.



- Jesteś straszną dziwką! - podchwyciłam entuzjastycznie. - Spragnioną kutasa szmata!

- Spójrz na mojego pedalskiego fiuta! - zapiszczał zachwycony.

- Wiesz co - powiedziałam - jak tylko tu wszedłeś, pomyślałam, że wyglądasz na szanowanego człowieka, głowę rodziny. Ale teraz widzę jak na dłoni, że jesteś tylko sprośnym, zaćpanym, homoseksualnym, puszczałskim spermopijem!

Zgodnie z moimi przewidywaniami to od razu załatwiło sprawę. Błyskawicznie skończył, podkreślony myślą o własnych występkach. A potem zniemacka zrobił się bardzo rzeczowy i zapinając materiałowe spodnie bez kantów, powiedział spokojnie:

- Było super. Kiedy cię tu zastanę?

\* \* \*

Bez wątpienia najcięższym krzyżem lalek z „Sex World” były drobiazgowe oględziny w wykonaniu klientów płci żeńskiej. Cholera, laski są najgorsze. W sobotnie wieczory często byłam sama jedna na całej zmianie. Praca solo była dość męcząca nawet w zwykły wieczór. Każdy klient w sklepie zerkał na mnie, zamkniętą w moim szkarłatnym terrarium, szacując na oko moją wagę i rozmiary, jakbym była ostatnim homarem w akwarium u Mortona. Praca w pojedynkę w sobotnie wieczory była dwa razy bardziej przerażająca, ponieważ właśnie w soboty najczęściej urządzano wieczorki panieńskie. Najwyraźniej dziewicze luterańskie panny młode i ich świta uważają wizytę w sklepie z akcesoriami erotycznymi za wyjątkowo zabawną. Wbiegały takie do sex-shopu, narąbane drinkami o nazwie „Flirtini”, ubrane w koszulki własnoręcznie ozdobione głupawymi napisami i natych-

miast zaczynały rechotać z tytułów naprawdę niewinnych (jak na tę branżę) filmów, typu *Listonosz tryska dwa razy*. (Ciekawe, co by pomyślały o hardcorowych pornosach w stylu koń plus kaleka, dostępnych w Internecie?). Nieuchronnie zauważały mnie na wystawie dla dorosłych, czytającą *Psychotic Reactions and Carburetor Dung* i zajęta własnymi sprawami. Sama nie wiem, czy nie wiedziały, że je słyszę, czy po prostu miały to gdzieś.

- O mój Boże. O mój Boże, Michelle, tam jest jakaś dziewczyna!

- Coś ty. To manekin.

-Jaki manekin, ona oddycha.

- O mój Boże!

- O mój Boże!

- Ohyda. Co ona tam robi? Musi tylko siedzieć tam i czytać? Za to jej płacą?

- Założę się, że powinna tańczyć albo coś w tym stylu.

- Żeby chociaż była ładna. Jezu. Ja też bym tak mogła.

- Idź tam, pogadaj z nią. A może się boisz?

- Ohyda! Nie chcę się do niej zbliżyć!

I tak dalej. „Ty jesteś głównem, a ja szampanem” - pomyślałam, prostując się na otomanie w kształcie ust. Próbowałam zbyć te przykre uwagi wzruszeniem ramion, ale nie jestem z kamienia. W soboty zwykle wracałam do domu w podłym humorze, przez całą noc śniły mi się koszmary i rano budziłam się zdolowana. Po raz pierwszy czułam, że przegrywam w mojej epickiej batalii o zachowanie godności. Dziewczyny potrafią być wyjątkowo podle.

# Dziwki i frajerzy

Wiele wieczorów w peep-show przepracowałam z dziewczyną o imieniu Nico. Była to jedyna zatrudniona tam czarna dziewczyna, matka czworga dzieci, kobieta o krępej, atletycznej budowie i o oczach koloru czekolady od Scharffenbergera. Pewnego razu w przyplywie szczerości Nico wyznała mi, że swego czasu żyła z prostytutką i że okazjonalnie wciąż zdarza jej się zaliczyć jakiś numer.

- Obiecuję, że nie powiem innym dziewczynom - zapewniliam przejęta tą sensacją.

- Wisi mi, czy im powiesz czy nie - odparła Nico, zaciągając się świeżo zapalonym Newportem z taką siłą, że żar na końcu poczerwieniał. - Cała moja rodzina o tym wie. Wszyscy wiedzą. - Jak pantera przeciągnęła się na welwetowej sofie i popatrzyła na mnie wyzywająco.

- Zaczęłam, kiedy miałam osiemnaście lat. Miałam wtedy jednego dzieciaka, córkę, pięcioletnią. Klientów przyjmowałam na zapleczu solarium, które nazywało się „Polinezyjska Rozkosz”. To całe opalanie to była typowa przykrywka - łóżka opalające z przodu, nasze pokoje z tyłu.

- Ile was było? - spytałam żadna szczegółów niczym Brenda Starr, reporterka przeprowadzająca wywiad w zaniedbanym akwarium.

- Dziesięć, może piętnaście dziewczyn - odparła Nico, wydmuchując obłoczek dymu. - Głównie białych, od osiemnastu lat do około czterdziestki.

- Długo tam pracowałaś?

- Dopóki wszystkie nie trafiłyśmy do pudła - odparła Nico bez emocji. - Zgarnięte przez obyczajówkę. Potem przez rok z okładem pracowałyśmy po hotelach. - Wzruszyła ramionami. - Przynajmniej żarcie było super.

- Dobrze zarabiałaś? - zapytałam.

- O, tak. Boże, gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, wciąż bym siedziała na kasie, którą zarobiłam, jak miałam osiemnaście lat. Wciąż miałabym pieniądze z prostytutki. Dziwki dobrze zarabiają. - Westchnęła. - No i ta babka, która prowadziła lokal, ciągle zabierała nas na miasto. Wszędzie umiała nas wcisnąć. Do dobrych restauracji. Do drogich klubów. Codziennie jadłam poza domem.

- Zauważyłam, że wiele dziewczyn z branży stołuje się po knajpach - powiedziałam, przypominając sobie striptizerki z „Deja Vu”, które zaledwie poczuły pierwsze nieśmiałe ssanie w żołądku, dzwoniły do Hoyta po porcję miecznika i najlepszy stek. - Zupełnie jakby żarcie było dla striptizerek i dziwek wyznacznikiem statusu.

- Właśnie. Ja zamawiałam najdroższe ostrygi w otwartych muszlach. Kalmary. Nawet nie lubię tego świństwa, ale jadłam - opowiadała Nico, krzywiąc się. Klienci przechodzili obok okna i wybaluszali na nas oczy: dziewczyna w gotyckim bikini wpatrzona w drugą w różowym welurowym dresie. Opowieść wylewała się z niej jak rzeka brudnej wody.

- Płaciłam czynsz za cztery miesiące z góry, bo już nie wiedziałam, co robić z pieniędzmi - kontynuowała Nico. - Pewnego dnia zadzwoniłam do niańki, która siedziała z moją córką, kazałam się jej dowiedzieć, jakie zabawki mała widziała w telewizji, i zrobić listę tych, które jej się podobały. Wzięłam tę kartkę, szurnęłam na miasto i kupiłam córce wszystko, co było na liście. Stać mnie było na takie akcje. - Zgasila papierosa. - Dziwnie było mieć tyle kasy.

- Ile dostawałaś za numerkę?

- To zależało od wielu rzeczy. W salonie masażu można było zgarnąć ładną kasę za pół na pół\*, ale trzeba było coś odpalić właścicielce. Brałam czterysta dolarów za anal, ale taki udawany. Trzymałam przy tyłku zaciśniętą pięść i to ją posuwali, albo pozwalałam im tylko przesuwac fiutem między półdupkami. Żaden się nie zorientował. Frajerzy już są od tego, żeby ich naciągać.

- A co z alfonsami? — dociekałam. - Miałaś jakiegoś?

- Już ja ci coś powiem o alfonsach - oznajmiła Nico z nagłym ożywieniem. - Każdy alfons jest dziwką, a każda dziwka jest frajerką. Już ci tłumaczę: alfons pieprzy dziwkę, żeby dostać pieniądze, skoro zaś pieprzy się za pieniądze, to jest dziwką. Za to jeśli dziwka pieprzy się z alfonsiem i daje mu pieniądze, to nie jest niczym więcej jak zwykłą frajerką. - Nico uśmieiała się z tej absurdalnej zależności. - Dlatego alfonsi nigdy nie mieli do mnie szczęścia. Nie można być alfonsiem alfonsa.

- Ile najwięcej zarobiłaś za jednym razem? - zapytałam. Przypomniały mi się dziewczyny, które w tajemniczy sposób noc w noc zgarniały w klubach całe stosy szeleszczących setek.

\* Pół oralu i pół normalnego numerku, trochę jak pizza z dwoma mniej lub bardziej równomiernie rozłożonymi dodatkami.

- Raz dostałam cztery tysiące dolarów za wyjazd do Meksyku, gdzie czekał na mnie jeden facet - opowiadała z dumą Nico. - Cztery dni, cztery koła. I pokrył wszystkie koszty. Nie chciał mi zapłacić, dopóki nie odprawiłam się na samolot, bo się bał, że wydam pieniądze już na lotnisku. - Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Pamiętam też jedną Wigilię w solarium. Ja i ta druga dziewczyna zarobiłyśmy po półtora patyka.

- Co się z nią stało? - spytałam. - Z całą tą forszą, którą zarobiłaś?

- Nie mam pojęcia - odparła Nico glucho.

- Miałaś kiedyś klienta, który był tak obrzydliwy, że nie mogłaś się zmusić, żeby się z nim pieprzyć?

Na policzkach Nico pojawiły się doleczki.

- Nie możesz odmówić - powiedziała rozbawiona.

- Nikomu nie możesz odmówić, jeśli siedzisz w tej branży. Było dwóch takich gości, którzy naprawdę fatalnie śmierdzili - przeżywałyśmy ich Trenczowym Gregiem i Obsranodupym Jeffem. Trenczowy Greg jeszcze nie był taki zły. Był pierwszym facetem, który robił mi minetę tak, że doszłam. Ale Obsranodupy Jeff to już był koszmar. Nie mogłam się zmusić, żeby mu obciągnąć. Już wolłam dać się wydymać. I jeszcze kiedyś wynajmowałam pokój na spółkę z koleżanką, był wieczór, miała klienta, a ta nagle jak nie zacznie się wydzierać. Miała się z nim bzyknąć, ale facet miał takie brudne dupsko, że jak wstał, to na prześcieradle zostały brązowe smugi. Zupełnie jej odbiło.

- Ale numer - powiedziałam. - Kurczę, ja bym tak nie mogła.

- Wiesz co — powiedziała konspiracyjnym tonem Nico. - Ostatnio jak byłam z frajerem, to się normalnie porzygałam. Paskudnie się obciąga gościowi w gumie.

- To ty wciąż się tym zajmujesz?

- Jasne. Pieprzyłam się z Wikingami za pieniądze. Zaliczałam koleśków w klubach, w których tańczy. W zeszłym tygodniu poszłam do hotelu z jednym gościem i udawałam pierwszą naiwną. Wrzucałam mu gadkę, że: „Och, normalnie nigdy tego nie robię! Nawet nie zabrałam gumek”. Skończyło się na ręcznej robótce, a i tak mi zapłacił. Tak najłatwiej wycyckać frajera. Udajesz, że nie masz prezerwatywy. - Jej śmiech był szorstki. - A raz trafił mi się taki, który dawał pięćset dolarów, żebym się na niego wysrała.

- Za pięć stówek to ja bym się zgodziła - powiedziałam refleksyjnie. - To znaczy, i tak przecież codziennie walę kupę, no nie? Równie dobrze mogę na tym zarobić.

- Też racja - przyznała Nico.

\* \* \*

Nasza zmiana już się skończyła. Zdezynfekowałyśmy kabiny zgodnie z regulaminem, Nico odbiła kartę pracy przede mną, bo szybciej przebrała się w cywilne ciuchy.

- Do widzenia, ślepa Genia, kup se kulki do wsadzenia! - wychrypiała i wymknęła się sekretnymi drzwiami do damskiej łazienki.

Następnym razem, kiedy widziałam się z Nico, powiedziała mi, że klient zaprosił ją na tygodniowy rejs na Fidzi. Pogratulowałam jej szczęścia, ale nigdy więcej nie wracałyśmy do tematu prostytucji. Było to jedno z nielicznych tabu w naszym malutkim, zadymionym domu dla lalek.

## Zliź fo do czysta

Podczas mojej kadencji w „Domu Lalek” stworzyłam coś w rodzaju przewodnika po osobliwościach i perwersjach tego peep-show, choć niektórzy klienci nie mieścili się w żadnej z istniejących kategorii. Niczym *Mały szpieg* w przecenionym bikini opisywałam co dziwniejszych w ściśle tajnym kapowniku suczki. I tak uwieczniłam całą galerię typów, od Latarnika, który lubił świecić dziewczynom w nosy mocnym Mag-Lite'em i upajać się widokiem ich glutów, po Trenera, któremu nic nie sprawiało więcej przyjemności, jak patrzenie na dziewczynę dyszącą z wysiłku (ja zabawiałam go stawaniem na głowie i lipną jogą). Słowem: nie było ani jednego dewianta seksualnego, który uszedłby mojej uwadze.

Jeden z nich szybko stał się w naszym klubie postacią kultową. Często bywał w „Domu Lalek”. Wyglądał jak Ken z Malibu, opalony, w nieskazitelnym drogim polo i z burzą artystycznie przylakierowanych blond włosów. Ot, facet w typie analityka finansowego, oczywiście geja, których tylu widuje się w Minneapolis. Za ledwie jednak przekroczył próg peep-show, wzrok robił mu się błędny i gość zmieniał się w nienasyconego amatora spermy. Życiową misją Lizaka było najwyraź-



niej wypucowanie na błysk każdej bez wyjątku kabiny w lokalu. Językiem.

Po pierwszych kilku razach moje pokazy dla Lizaka stały się dość nudne: zdejmowałam stanik (co w gruncie rzeczy było czystą formalnością), on tymczasem robił inspekcję kabiny, szukając śladów bytności innych mężczyzn. Jeśli mu się poszczęściło, znajdował kilka upiornych smużek na szybie albo glutowatą kałużę pełną małych pływaków na podłodze. Wówczas ja zaczynałam mówić sprośne rzeczy, a Lizak z namaszczeniem gmerać przy swoim skarbie i zadawać mi najrozmaitsze pytania na temat tego, jak świeża mogła być znaleziona sperma albo jak wielu mężczyzn dołożyło się do tej kałuży w ciągu wieczoru. Onanizował się, ale rzadko miał wytrysk. Kiedy z jego dziesięciu minut zostawały marne sekundy, błagał mnie, żeby moja kabina zawsze była dla niego „ekstrabrudna” i przysięgał, że do mnie wróci. Kazał mi przysięgać, że nie dopuszczę do niej sprzątaczy i dopilnuję, żeby broń Boże nie dotknęli podłogi. Wychodząc z kabiny, widziałam kątem oka, jak opada na czworaki i zaczyna chleptać jak pies.

Lizaka wkrótce znały wszystkie lalki z peep-show i wszyscy ekspedienci. Przez swój obrzydliwy, szokujący nałóg cieszył się wyjątkowo złą sławą. Wcześniej czy później każdy pracownik „Sex World” stawał się świadkiem jego zachowań, „czyścił” bowiem nie tylko kabiny w peep-show, ale też sumiennie polerował posadzki kabin wideo. Któregoś wieczoru, kiedy wreszcie wyszedł ze sklepu, któryś z ekspedientów oznajmił przez krótkofalówkę:

- Lizak właśnie opuścił budynek!  
Facet był Elvisem „Sex World”.

\* \* \*

Peep-show to był pieprzony cyrk. I to dosłownie, bo wszystko obracało się wokół pieprzenia na tle cyrkowej scenerii. W „Sex World” potraktowano motyw cyrkowy ekstremalnie serio, od podłogi jak arena po pasiasty materiałowy dach i organy parowe, których donośne akordy co kwadrans wytryskiwały niczym fontanna ze studni życzeń zbudowanej na kształt penisa. Praca w tym pornograficznym domu klaunów zaczynała boleśnie odbijać się na moim zdrowiu psychicznym.

Co dziwne, nigdy nie miałam pracy, w której czułabym się bezpieczniejsza niż właśnie w „Domu Lalek”.

W agencji byłam etatowym kozłem ofiarnym. Co rano rozsiadałam się w moim boksie ze ściśniętą piersią i z żołądkiem pełnym kwasów. W ciągu dziewięciogodzinnego dnia pracy od cholery spraw może pójść nie tak. Na widok szefa mojej szefowej, buca snobującego się na znawcę sztuki i zawsze ubierającego się na czarno, dosłownie robiłam pod siebie ze strachu. Powaga: wolałabym samotnie stawić czoła całej armii klonów Lizaka, niż przez piętnaście sekund rozmawiać z tym gościem. Był taki serio, że każda odprawa z nim była jak pogrzeb niemowlęcia. Facet rzeczywiście przeżywał krój czcionki na czterokolorowej ulotce do POS-ów. Czulałam, że on doskonale wie, że ściemniam, kombinuję i tylko się podszywam pod pracownicę biurową. Wiedział, że pracuję na odwal się. Kiedy oznajmiłam, że składam wypowiedzenie, odparł zimno:

- Nie jestem tym zaskoczony - z tym swoim hindusko—brytyjskim akcentem.

Peep-show był inny. Był niczym sztuczne matczyne lono. W kabinie czulałam się jak słynne pięcioraczki Dionne'ów w przeszklonym pokoiku dziecięcym - na widoku, lecz zarazem nieskończenie bezpieczne. W peep-show nikt nie mógł mnie opieprzyć tylko dlatego,

że odłożyłam segregator w niewłaściwe miejsce albo że przegapiłam bardzo istotne połączenie konferencyjne z Brazylią. Mogłam pracować pijana i często to robiłam (aż do dnia, kiedy przysnęłam z papierosem i wypaliłam dziurę w wykładzinie). Musiałam tylko przyjść, wysłuchać klienta i rozluźnić określone grupy mięśniowe. Łatwizna.

Na nocnych zmianach panowała osobliwie ciepła atmosfera. Niby ci sami gardzący kobietami ekspedienci byli obecni na miejscu (albo nieobecni, choć usprawiedliwieni), ale było jakoś inaczej. „Prawdziwi” pracownicy „Sex World” był z reguły nieufni wobec dziewczyn z peep-show, czasami jednak rozmawiali ze mną przez krótkofalówkę. Czuło się atmosferę przygnębienia i nie myślało o przyszłości, co dodawało mi skrzydeł. Po przepracowanej zmianie zmywałam makijaż i chowałam perukę do szafki. Po drodze do samochodu mijalam dwa kluby ze striptizem. Wyobrażałam sobie ciała poruszające się za przyciemnianymi szybami i z żalem i tęsknotą myślałam o czasach, kiedy sama tańczyłam.

# **Dziewczyny z „Domu Lalek” nie znają odpowiedzi na wszystkie pytania**

Za dnia jak inne striptizerki żyłam w blogim lenistwie, podnosząc się z łóżka około dziesiątej. Potem wsuwałam miseczkę płatków Special K zalanych mlekiem sojowym i godzinami oglądałam kretyńskie programy w stylu randki w ciemno. Nie zajmowałam się domem ani nie przygotowywałam posiłków. Łaziłam po mieszkaniu w piżamie, dopóki nie musiałam wyjść. Około czwartej po południu jechałam autobusem do śródmieścia i szliśmy z Jonnym na martini z wódką. Nawalaliśmy się *ke-telone*, po czym zamawialiśmy na spółkę koszyk zakąsek serowych. Następnie wychodziłam na ulicę zapalić, bo nie wiadomo kiedy stałam się nalogową palaczką. Życie wydawało mi się pozbawione sensu, co albo mnie cieszyło, albo dołowało, zależnie od dnia.

Odpracowywałam spokojną zmianę w peep-show: od szóstej do tuż po północy. Kiedy po wszystkim chowałam do torby przezroczystą zatyczkę analną (model „Slim Jane”) i przebierałam się z lepkiego od lubrykantu

bikini w normalne ciuchy, pozostałe lalki ziewały, popijając podrasowane kawy. Pamiętam, że na ścianie przy mojej szafce widniał napis: DZIEWCZYNY Z DOMU LALEK NIE ZNAJĄ ODPOWIEDZI NA WSZYSTKIE PYTANIA, wywieszony przez menedżerkę w chwili irytacji. Kobieta nawet nie wiedziała, że pisze jak poci bitnicy. Jej pisane naprędce notatki służbowe zawsze brzmiały jak sentencje.

Kiedy skonana niczym robol z fabryki odbiłam kartę, dziewczyny z nocnej zmiany minęły mnie gęsiego, odbijając swoje - wyglądały jak duchy z podkrążonymi oczami. Po „nockach”, kiedy zaliczyłam dużo pokazów z zabawkami, demonstracyjnie chodziłam na ugiętych nogach, żeby zilustrować ogrom zniszczeń, jakie wyrządziłam swoim dolnym partiom. Ta sztuczka, moim zdaniem bardzo zabawna, nieodmiennie wywoływała niesmak u innych dziewczyn, dziwnie przewrażliwionych na tym punkcie.

Do samochodu odprowadzał mnie szef ochrony, krzaczastobrewy miłośnik średniowiecznego oręża, który pogodnie opowiadał o swoich przygodach z czasów uczelnianego stażu w kostnicy. Odprowadzano w ten sposób większość lalek, żeby zniechęcić ewentualnych maniaków i podpitych pryszczatych studentów, którzy po zmroku kręcili się w tej okolicy. (Jedną z lalek ktoś śledził przez całą drogę do domu, podobno klient, którego kręciło naprawdę chore gówno typu *bondage* i dominacja - lalka zdołała uciec, ale wciąż opowiadała tę historię drżącym głosem.) Ja tam nigdy się nie martwiłam, że ktoś może mnie śledzić, bo bez peruki byłam właściwie nie do rozpoznania. Mimo to byłam wdzięczna za te „odprowadzki”.

- Widziałaś dzisiaj dużo pał? - zapytał mój tymczasowy osobisty ochroniarz, mój „parkingowy”.

Zawsze miałam dla niego tę samą odpowiedź:

- Człowieku, aż mnie oczy bołą!

\* \* \*

W domu Jonny zawsze się budził, kiedy wracałam. Obejmował mnie ramionami i z uczuciem pchał mi język do ust, nawet jeśli go uprzedziłam, że czuję się jak wspólny ręcznik do tyłków w tureckiej łaźni. Było ciemno, ale zawsze słyszałam uśmiech w jego głosie, kiedy pytał, ilu świrusów dzisiaj obsłużyłam.

- Nagiego Billa Gatesa - zaczynałam półgłosem, odliczając na obolałych palcach. - Frodo Bagginsa. Trenera. Męską dziwkę. Gościa przebranego za zakonnicę.

- Powaga? Ale taką w cywilnych ciuchach czy wiesz, taką we franciszkańskim habicie?

- Raczej jezuickim. No wiesz, skromnym. Włosienica i takie tam.

- Welon też miał?

- Pewnie. Dlatego zgadłam, że się przebrał za zakonnicę.

- A pod habitem był goły?

- A jak myślisz?

Powoli zapadaliśmy sen, objęci i nie niepokojeni, dopóki Fistaszek jak zwykle nie przebudziła się z sennego koszmaru i nie zaczęła kwilić. Jonny był mistrzem w uspokajaniu wzbudzonej podświadomości córki - szedł do jej pokoju, kładł się przy niej na łóżku i miodowym tenorem z liverpoolskim akcentem śpiewał jej piosenki brytyjskich kapel całymi albumami, dopóki nie zasnęła. (Fistaszek była prawdopodobnie jedynym berbeciem w historii dziejów, który znalazł na pamięć cały album *Their Satanic Majesties Request* Rolling Stonesów.) Każdego dnia, który spędzała u nas, patrzyłam, jak Jon-

ny przygotowuje kąpiel, szykuje „dzieciowe” śniadanko, zajmuje się małą, kiedy ta źle się czuje, albo całuje krwawiące „kuku” na palcu i tłumaczy po raz enty, skąd się biorą macochy. Jego miłość do Fistaszka graniczyła z uczuciem anielskim, skupiała się na tej małej osobce z dokładnością laserowej wiązki.

Znałam wielu rozwiedzionych facetów, którzy z dziećmi widywali się bardzo sporadycznie. Nikt ich nie osądzał - mężczyźni słyną z tego, że tracą zainteresowanie własną spermą, zaledwie ta wydostanie się z nasieniowodu. Co innego Jonny, który musiał walczyć o te swoje trzy dni, z Fistaszką tygodniowo i który każdy z nich traktował jak ostatni, kiedy dane mu jest pogłaskać córeczkę po cieplej błyszczącej główce. Kiedy więc jakieś chamy sugerowały, że Jonny jest palantem, albo że nie nadaje się na ojca, bo rozwiódł się z matką Fistaszka, po prostu szlag mnie trafiał. W sądzie walczył o swoje dziecko jak żaden inny znany mi ojciec, żonaty czy po rozwodzie, i serce mi krwawiło, kiedy słuchałam, jak mieszają go z błotem, bo ośmielił się zakochać w jakiejś zwariowanej lasce z Chicago w okolicznościach, które nie do końca były idealne.

- Dobrej nocy, moja piękna - mówił Jonny, wracając do mnie do łóżka, kiedy łkania Fistaszka już ucichły.

- ... branoc - odpowiadałam jednemu człowiekowi na ziemi, który wciąż widział we mnie dobro.

\* \* \*

Moje piersi, te same, które klęłam jako nastolatka, że są za małe, okazały się błogosławieństwem. Noc w noc zarabiałały pieniądze, pozwalały nam żyć na poziomie. Za gotówkę zarobioną w „Sex World” umeblowałam sypialnię Fistaszka, zafundowałam jej stylowe fatalaszki marki

Dora the Explorer i stale zapychałam lodówkę mielonką i najlepszymi sokami dla dzieci typu Juicy Juice. Jest rzeczą oczywistą, że kobiece piersi są stworzone do karmienia - uważałam, że w pewnym sensie ja także jestem kontynuatorką tej wspaniałej tradycji i poniekąd też karmię piersią. Nasze konto bankowe wreszcie się zapelniało, mimo kosztów prawnych i alimentów. W pewnym sensie odkarmiałam całą naszą popieprzoną rodzinę. Ta myśl pocieszała mnie w chwilach, kiedy byłam zmęczona i zestresowana.



# Białe Świeża

Pierwsze święta w Minneapolis podkradły się do mnie cicho jak zaśliniony bachor w śpiochach doktora Dentona. Miasto dławilo się śniegiem, drogi pokryły się sprasowaną, gołębioszarą breją. Pługi warczały całymimi nocami, wydawałoby się w czysto rekreacyjnym celu, gdyż śniegu wcale nie ubywało. Mimo to wciąż była to piękna młoda zima, cała w mieniących się zaspach śniegu, o jakim marzył Bing Crosby, nieskażonego i białego jak kłębuszki waty rozsnute na gałęziach choinki. Pewnej nocy stałam przed „Sex World” i na próżno czekałam na taksówkę w oślepiająco białej alei. Chodnik tonął w zmrożonym krystalicznym puchu i nie mogłam oprzeć się pokusie, żeby nie spróbować się poślizgać w moich fioletowych skórzanych kozakach do go-go. Uwaga, taka zabawa grozi śmiercią lub kalectwem! Kierowca mammoth escalade, który akurat przejeżdżał aleją Waszyngtona, obrał mnie, latającą striptizerkę, beztrąsko więc pokazałam mu palec wskazujący z istic włoskim rozmachem. Kiedyś wstydziłam się, czekając przed klubem na taksówkę (winna przez asocjacje), ale dawno mi przeszło. W peruce i w tren-czu w leopardzie cętki narzuconym na kostium bikini

czułam się nieustraszona. I jeśli komuś coś się nie podoba, może się walić.

W przebieralni „Domu Lalek” pojawiła się ulotka zapraszająca wszystkich bez wyjątku na coroczną imprezę świąteczną w „Sex World”, z główną atrakcją w formie sandacza na kolację (obowiązkowego w Minnesocie) i wyścigów gokartów - współmałżonkowie mile widziani. Mnie osobiście wizja pracowników sklepu porno i ich ślubnych szalejących gokartami rozbawiła do łez. W rzeczy samej wyobrażałam sobie, że to będzie wybitnie „grzeczna” impreza - kiedy ktoś przez cały tydzień układa w porządku alfabetycznym filmy wideo o fistingu\*, raczej nie ma szczególnej ochoty dawać czadu na gwiazdkowym przyjęciu w firmie. Smażone ryby i jazda gokartem to chyba strzał w dziesiątkę.

W skrytości ducha żalowałam, że nie możemy przyjść z Jonnym, ale impreza wypadła w jeden z moich zapisanych w grafiku dni roboczych, a ja wolalam uniknąć dyskusji z odporną na logikę menedżerka (mimo że byłam ciekawa mężów i życiowych partnerów innych słodkich babeczek zza szkła). W ramach rekompensaty za niezaliczoną balangę w sex-shope (i aby uczcić nasze niedawne zaręczyny), postanowiliśmy z Jonnym wybrać się do klubu ze striptizem, w którym nigdy jeszcze nie byliśmy. Lokal o enigmatycznej nazwie „Choice” był znany z naprawdę ostrej jazdy bez trzymanki i jeśli wierzyć pogłoskom, padł tego roku ofiarą nalotu gli-niarzy. Czad!

W „Choice” panował chaos. Był to intymny lokalik przywodzący na myśl grecką knajpkę z pomalowanymi na złoto kolumnami i z po amatorsku wykonanym freskiem na ścianie za sceną, przedstawiającym nocny pej-

\* Większość tytułów zaczyna się na „f”.

zaż. Z dziewczyn były prawdziwe dzikie kotki - wdrapywały się na scenie jedna na drugą i chwaliły widzom przekłutymi językami, ozdobionymi sztyftami, które błyszczwały w ultrafiolecie. Za każdym razem kiedy odważyłam się położyć dolara na balustradzie, tancerki molestowały mnie żartobliwie. Dwie nawet zadarły mi spódnicę pod same pachy, ku zachwytowi tłumu.

—Ty niegrzeczna dziewczynko! Nie założyłaś stanika! - wykrzyknęła jedna z nich, wystawiając moje cycki na widok tłumu. (Striptizerki wykazywały się taką atencją wobec pań, że jedna z klientek czmychnęła z klubu zażenowana.) Striptizerka w obrzeżonym futrem kostiumie elfa wysypała Jonnyemu za spodnie cały kubek kostek lodu, uśmiechając się szelmowsko. Ubaw na maksa.

Postanowiliśmy z Jonnym zamówić podwójny taniec u pięknej hawajskiej tancerki, której set zrobił na nas wielkie wrażenie. Dziewczyna była uperfumowaną kolumną promieniującego ciepła, uosobieniem wyspiarskich fantazji, w kusej koszulce Wikingów i dobranych pod kolor majteczkach. Udaliśmy się do prywatnej salki na prawdziwe atrakcje. Hawajka najpierw wdrapała się na mnie, chowając głowę pod moją bluzką i liżąc mnie po sutkach. (Zasygnalizowałam Jonnyemu swoją ekstazę, na sekundę unosząc oba kciuki.) Wylonila się spod bluzki i zaczęła ocierać się o moje krocze, delikatnie policzkując mnie ciepłymi, sztucznie powiększonymi piersiami, robiąc mi okłady na oczy z całych kilometrów gorącego dekoltu. Podskakiwała jak szałwika, ocierała się **O** mnie jak syrena, zmysłowo liżała mnie po okolicach tętnicy szyjnej i przygryzała płatek ucha. Kiedy skończyła się piosenka, piękna Hawajka skupiła uwagę na moim narzeczonym, gapiącym się na nas z oczami jak spodki, i potraktowała go równie luksusowo. „Najlepsze. Święta. Mojego. Życia!”.

Pobyty w klubie w roli klientki, a nie tancerki, przypominał mi, co jest w striptizerkach tak fascynującego. Niektóre dziewczyny mają w sobie to słodkie, zaraźliwe ciepło, tę totalną hojność seksualną i duchową, która sprawia, że nawet czterdziesty klient danego wieczoru czuje się wyhołubiony jak VIP. Ja nigdy nie byłam w stanie dać z siebie aż tyle. Nawet teraz nie umiałam sobie wyobrazić, że to ja obskakuję Hawajkę. Nie miałam bladego pojęcia, co czują obsługiwani przeze mnie goście. Przez cały ten czas czułam się, jakbym posuwała kłodę; sama nic nie czułam i po nikim innym także nie spodziewałam się żadnych uczuć.

\* \* \*

„Sex World” był otwarty przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, menedżerka poinformowała mnie więc, że muszę pracować albo w Wigilię, albo w Boże Narodzenie. Bardzo śmieszne. Postanowiłam nie pracować w Wigilię, która ma znacznie więcej magii i klimatu „cichej nocy, świętej nocy”. W Wigilię chciałam odegrać panią Mikołajową (tylko młodszą i bardziej rozpasaną) przed moją pasierbicą in spe. Z drugiej strony byłam ciekawa, kto, do jasnej cholery, przychodzi do peep-show w Boże Narodzenie. Część dziewczyn, które pracowały w święta, przebierała się w świąteczne kostiumy. Ja mówiłam wszystkim, że jestem przebrana za mirrę.

## Znowu w czerni

Po czterech miesiącach męczenia moich coraz bardziej niewrażliwych genitaliów w „Domu Lalek” przyłapałam się na tym, że pragnę (nie, że wprost dyszę chucią), żeby znowu pracować na scenie. Brakowało mi wrażeń, poczucia, że stoję w samym oku cyklonu szalejącego wśród rurek, majteczkowych aukcji i gróźb nalotu ze strony obyczajówki. Odkąd spędziliśmy z Jonnym wieczór w tamtym małym kryptoburdeliku, ciągle się zastawiałam, czy kiedykolwiek będę miała tyle ognia co striptizerka, której występ dosłownie zwalił nas z nóg. Ta dziewczyna była jak Mistrz Jedi, tylko bez majtek - kiedy się na nią patrzyło, człowiek rozumiał, po co wynaleziono striptiz. Nie było w niej bólu, zmęczenia ani żadnej innej negatywnej emocji, która mogłaby zagościć w jej zajebistym ciele. Była taka uczuciowa i erotyczna, że nikt nie podejrzewał nawet, że mogła mieć małe dziecko, a miała - maleńkiego synka, jak dowiedziałam się później. Ale kiedy tańczyła, liczyło się tylko czyste, charyzmatyczne gorąco emanujące spod siedmiu zasłon. Była jak pachnąca ylang-ylangiem elektrownia. Może ja też mogłabym podłączyć się do tego źródelka delirycznej magii seksu? Wcześniej, kiedy tańczyłam, usiłowałam sprzedać

swój blady korporacyjny tyłek jako autentycznie słodką dupcię. Ale dość tego wszystkiego! Stanę się taka, jaka chciałam być, tak słodka, że mężczyźni nie zdołają mi się oprzeć. Będą do mnie lecieć jak pszczoły do miodu: oto moja najnowsza mantra.

W lutym dowiedziałam się, że w „Choice” (w klubie, który odwiedziliśmy z Jonnym), akurat robią nabór. Tego dnia pracowałam w „Sex World”, ale wiedziałam, że dam radę wyrwać się z domku Barbie na godzinę czy dwie. Punktualnie o ósmej pomachałam więc kasjerom na do widzenia, założyłam dżinsy, narzuciłam na bikini bolerko ze sztucznego futra i zostawiłam „Dom Lalek” całkiem pusty (co uważano za grzech śmiertelny, ale zupełnie mi to wisiało). Dzielnica rozrywki w Minneapolis jest mała i słodka jak sąsiedztwo pana Rogera z dobranocki - musiałam tylko przejść przez ulicę i już byłam na miejscu.

W „Choice” było ciemno i pusto, ale już wiedziałam, że wczesny wieczór to marna pora dla większości lokali ze striptizem. Niemniej sztuczne rośliny, małe, namiotopodobne salki i mrugające węże świetlne tworzyły atmosferę niskobudżetowej przytulności, która wydawała mi się całkiem przyjemna. Wypełniłam krótki kwestionariusz, zamówiłam kilka melodii u didżeja i obejrzałam występ jakiegoś szczuplutkiego, przypominającego żrebaka stworzenia, młodziutkiej dziewczyny z włosami w kucyk, która przyszła na casting w sandałkach.

Kiedy wywołano mnie na scenę, odtańczyłam set złożony z dwóch piosenek Rolling Stonesów, dopingowana przez Nico, która towarzyszyła mi w ramach (nie)moralnego wsparcia. Scena była śliska jak skórka od banana, bo poprzednia tancerka natłuściła sobie zadek olejem sezamowym i tarzała się po posadzce niczym epileptyczna czcicielka słońca. Mimo to zdołałam wykończyć kilka

stanowiących mój znak rozpoznawczy kopnięć w stylu kung-fu i perkusyjnych solówek - nie ukrywam, że ku zachwytowi innych striptizerek zgromadzonych przy scenie. Byłam także jedyną z dziewczyn, której chcieli się tańczyć przy rurze, a czyniłam to z prawdziwym zapalem. Peruczka a la Bettie Page dodaje tupetu - zawsze kiedy ją założę, czuję się jak marynarz Popeye naszprycowany suplementami żelaza. Kiedy wyciszono końcówkę *Beast of Burden*, przykucnęłam, żeby pozbierać napiwki, i stwierdziłam z zadowoleniem, że jak na poniedziałkowy wieczór zgromadziłam całkiem efektowną stertę gotówki. Kiedy schodziłam ze sceny, czułam się naładowana energią. „Cholera, ja znowu tańczę!”.

Później główna menedżer, była striptizerka w rozdeptanych zamszowych kozakach i z zabytkowymi implantami piersi, poprosiła mnie na rozmowę. Powiedziała, że właśnie zwolniła dziewczynę za pieprzenie się z klientem w sali dla VIP-ów i zaproponowała mi pracę na dziennej zmianie.

- Jesteś dobra - pochwaliła. - Poza tym mężczyznom podobają się takie ciała jak twoje. - Był to pierwszy wypadek w mojej karierze, kiedy usłyszałam od kogoś z szefostwa pochwałę na temat mojego tańca czy wyglądu. „To dobry znak” - powtarzałam sobie.

\* \* \*

Dwa dni później rozpoczęłam pracę w klubie. (Menedżerka w „Domu Lalek” prychnęła tylko i rzuciła słuchawkę, kiedy nieśmiało przebaknęłam, że odchodzę.) Dałam sobie spokój z kostiumami (wyjątek zrobiłam dla czarnej peruczki a la Bettie) i z lipnymi pseudonimami scenicznymi — występowałam jako ja sama i sama pracowałam, nie roztaczając żadnej innej iluzji oprócz tej

przezabawnej, że stanowią oś seksualnego wszechświata. Szeptalam koleśiom do uszu. Bez oporu dotykałam ich klat, ud i szyi. Grałam zakochaną dziewczynę. Tuliłam do siebie ich głowy, żeby poczuli perfumy Stelli McCartney, którymi wcześniej skropiłam się, gdzie trzeba. Nie bawiłam się w odstawianie wyuzdanej bibliotekarki - zamiast gadać, ujeżdżałam facetów jak konie na rodeo. „Patataj-patataj-patataj!”. Nagle wszyscy wstawali, kiedy brałam ich za ręce. W ciągu trzech dni zarobiłam ponad tysiąc dolarów. Rozgryzłam, w czym rzecz. Zagadka rozwiązana. Sprawa zamknięta. Czulałam się, jakbym właśnie odebrała dyplom ukończenia studiów, tyle że zamiast *Pomp and Circumstance* z głośników leciała piosenka kapeli Warrant.

Wystarczy, że będę odrętwiała, czasami i fizycznie, i psychicznie.

\* \* \*

Mój relatywny sukces w „Choice” sprawił, że koleżanki po fachu były na mnie wściekle jak nigdy - i jak nigdy mieszały mnie z błotem. Nigdy wcześniej nie miałam poczucia, że wszyscy mnie nienawidzą, ale zdawałam sobie również sprawę, że nigdy dotąd nie zarabiałam konkretnych pieniędzy. Nowych dziewczyn nikt nie lubi. W normalnej pracy (powiedzmy, w firmie zajmującej się rozliczeniami podatkowymi, w klinice ginekologicznej, w zoo z małymi zwierzątkami czy w agencji reklamowej) nowe pracownice są przyjmowane z zaciekawieniem, uprzejmością albo wręcz z kurtuazją, wyrażaną za pomocą blachy świeżo upieczonych czekoladowych ciasteczek. W klubie ze striptizem natomiast nowa dziewczyna jest niczym świeże mięso rzucone na żer drapieżnikom - starsze striptizerki kipią wobec niej nienawiścią i chyba



wolałyby umazać swoje torebki od Vuittona w krowim placku, niż zdobyć się na odrobinę zwykłej uprzejmości wobec innych przedstawicielek swojej płci.

Nauczyłam się trzymać na dystans, i było mi z tym dobrze. Zamiast mieć ozorem i lykać stymulanty w garderobie z resztą „dziennych” dziewczyn, cierpliwie czekałam się na sali i obserwowałam każdy ruch klientów. Zaczęłam wyczuwać, kiedy dojrzeliby do tego, żeby pójść ze mną (albo z kimkolwiek) - wyobrażałam ich sobie jako dojrzewające jabłka, powoli zmieniające kolor na czerwony. A kiedy już dojrzały, pojawiałam się ja.

- Hej, słodki. Wyglądasz na gotowego.

Ponieważ poprzysięgłam sobie, że odtąd będę poważnie traktowała striptiz, doszłam do wniosku, że czas postarać się o quasi-egzotyczną, nierakotwórczą opaleniznę. Striptizerki muszą być opalone. Odpowiednia opalenizna (słoneczna czy z buteleczki) maskuje cellulit, podkreśla karnację i nadaje świetlistą aurę zdrowia, bogactwa i seksapilu, jak w *Girls Gone Wild*. Coco Chanel wiedziała swoje. Do mnie też w końcu dotarło, co trzeba.

Najpierw eksperymentowałam z pianką opalającą. W rezultacie uzyskałam ciało w kolorze mandarynki, całe w zaciekach - przypominałam cierpiącego na żółtaczkę oseska zamiast muśniętą słońcem boginię. Postanowiłam zdać się na fachowców i skorzystać z opalania natryskowego - to relatywnie nowa technika polegająca na polewaniu delikwentki przemysłowym środkiem barwiącym w klaustrofobicznym pomieszczeniu. Opalenie natryskowe jest przerażające. Człowiek dusi się powoli w kabinie, podczas gdy zautomatyzowane dysze natryskowe zraszają jego ciało chłodną bursztynową mgiełką. Proces jest niepokojąco hałaśliwy i z niezbadanych powodów sprawił, że zachciało mi się siku. Przed wejściem uprzedzają cię, że należy dolożyć wszelkich starań, żeby

osłonić przed barwiącą mgielką wnętrza dłoni (przyjmując jedyną zatwierdzoną „pozycję do opalania natryskowego”), a także pokryć palce u stóp oraz knykcie „kremem barierowym” (w którego roli, jak podejrzewam, występuje zwykły balsam do rąk).

Opalenizna pojawia się w ciągu dwunastu godzin, co oznacza, że możesz wałnąć się do łóżka jako przezroczysta, sinobiała dzierlatka, a obudzić się, wyglądając jak jedna z córek Cosbyego. Genialny patent! „Opalałam się” trzykrotnie w ciągu pierwszego tygodnia i stopniowo przeszłam od wyglądu Sondryjdo Rudy Huxtable. W pracy, kiedy tańczyłam, odrobinę mocniej bujałam biodrami. Rozkosznie było czuć się pewniej dzięki lipnej melaninie i wiedzieć, że moje ciało przestało świecić w ultrafiolecie.

W „Choice” takie zabiegi były konieczne, żeby utrzymać się na szczycie. Większość striptizerek była ekstraapeptyczna („Mamy najładniejszą dzienną zmianę w mieście” - jak to ujęła kiedyś menedżerka). Była Veronica, której napięta jak bębenek dupcia kołysała się hipnotycznie, krążąc między stolikami. Była Sinnamon o piersiach niemal dorównujących rozmiarem regulaminowym piłkom do koszykówki i z pewnością nie mniej niż one napompowanych. Była mała Courtney, która wyglądała jak Pamela Anderson, tylko starsza o dziesięć lat i cierpiąca na karłowatość wrodzoną (co zdaniem legionów wiernych klientów wcale nie było wadą). Była nawet jedna taka, która miała implanty policzków, dowód absolutnego oddania idei samodoskonalenia, który wzbudzał cichy szacunek najbardziej fanatycznych zwolenniczek skalpela. Nigdy też nie zapomnę Coco, przeuroczej pijaczki z permanentnym makijażem oczu i ust oraz z chicagowskim akcentem tak wyraźnym, że moja matka się chowa. Same długoterminowe laski z tych, które pracują w branży dopóty, dopóki nie zostaną przemocą umieszczone w Domu

Rekonwalescentów pod Starymi Dębami, wśród innych starsuszek z zaawansowaną demencją. Patrzyłam na nie i podziwiałam ich odwagę i blizny.

Dziewczyny z dziennej zmiany lubiły urządzać grille. Podczas nietypowo ciepłych jak na kwiecień dni wyciągały na parking grilla firmy Weber i pichciły góry skrzydełek z kurczaka, zachwycone własnym geniuszem. Samochody przejeżdżające drugą ulicą zatrzymywały się z piskiem opon na widok piętnastu półnagich kobiet w pantoflach na platformach bezwstydnie opychających się kurczakiem w biały dzień.

- Zamkną mnie za to - biadolila menedżerka, kiedy dziewczyny podsycaly ogień i chichotały, nagle postarzały w świetle słońca.

\* \* \*

Ponieważ dzienna zmiana przyciągała raczej zatwardziałyh zbrozeńców niż ciekawskich żółtodziobów, miałam dostatecznie dużo okazji, żeby dobrze poznać plejadę nietypowych klientów. Był wśród nich w jednej osobie pracownik agencji wydawniczej i wielki koneser stóp, który przychodził trzy razy w tygodniu wymasować dziewczynom halluksy i ciągnąć je za palce u stóp. Moje niemyte stopy bardzo mu się podobały, bo podobno zajeżdżały tak jak żadne inne.

- Dam ci kasę na tę twoją grę wideo, tylko się zgódź, żebyś pomiętosil te paluszki śmierdziuszki przez kwadransik - zaproponował z nadzieją, kiedy wrzucałam kolejne ćwierćdolarówki do stojącego na zapleczu automatu z grą Playboy Match\*.

\* Najbardziej zarabista gra barowa wszech czasów. Gra się w nią całkiem jak w Memory, tyle że zapamiętuje się gołe cycki.

- Trzymam cię za słowo - odpowiadałam, z wdziękiem wyciągając stopę w jego kierunku. Paluszki, pięta, wyplata. Szkoda, że w klubie nie było zwykłych automatów do gry, bo byłabym teraz taka bogata, że całymi dniami popijałabym drinki z cytrynką gdzieś na Barbadosie.

Kolejnym moim stałym klientem był informatyk z Nigerii, który twierdził, że uosabiam jego ideał kobiety: cholerną słonicę.

-Taka silna! - piał któregoś razu. - Jesteś taka gruba i silna. A te muskuly! Jesteś wielka, wielka, wielka!

- Nieprawda - oburzyłam się. - Jestem delikatnym kwiatuszkiem lotosu.

- Nie - powtórzył Nigeryjczyk. - Jesteś wielka. O, jakie masz grube nogi i biodra!

- Nienawidzę cię - odparłam szczerze. Dzięki ewolucjom na zasranej rurce miałam figurę jak nigdy w życiu, a facet się podniecał, jakbym była pieprzoną matką Gilberta Grape'a.

- Widziałem taki jeden program w telewizji - pochwalil się Nigeryjczyk, raptownie zmieniając temat. - Z kobietą, która miała na imię Oprah.

- Chyba o niej słyszałam - odparłam sucho.

- Grubaski są takie cudowne! Naprawdę uważam cię za moją przyjaciółkę - upierał się Nigeryjczyk. - Prawdziwą przyjaciółkę. Taką puszystą kumpelkę z college'u.

Najmniej spośród stałych klientów lubiłam gównozjadów, którzy z uporem maniaków przychodzili do klubu w cieniutkich spodniach na gołej dupie, żeby czerpać maksymalną stymulację z tańców. Podczas dłuższej sesji czułam każdą zmarszczkę na ich kutasach, poza tym wkurzało mnie, że ciągle przerywają taniec, żeby sobie „poprawić”. Niektórzy ukrywali pod swoimi *frajergacien* gumy założone na instrument, a po

prywatnym tańcu ściągałi zużytego trojana w rozmiarze mikro i wtykali go między poduchy kanapy. Później jakaś biedna dziewczyna znajdowała mokry lateksowy „prezencik” i przebiegał ją dreszcz. Pozbycie się tego ohydztwa było zadaniem menedżerki, która wezwana pojawiała się w gumowych rękawiczkach i ze zdolowaną miną. Szkoda tylko, że takie cwaniaczki nie chcą zostać w domu i zadzwonić po prostytutki, zamiast przyłączyć do klubu i domagać się wysoko frykcyjnych tańców od przyzwoitych kobiet. Kiedy jednak w przypływie rozdrażnienia próbowałam wyjaśnić, o co biega, jednemu z takich koleśków, odparł, że spuszczenie się w zakazanym miejscu bardziej go kręci. Lubił patrzeć na miny dziewczyn. Fui!

Zaliczyłam także swoją działkę nietypowych fetyszystów - „Sex World” nie miał monopolu na zбочeńców w dawnym Mieście Młynów. Dwa razy był u mnie ten sam klient, który chciał, żebym przez dziesięć minut walila go pięścią w brzuch i jądra najmocniej, jak potrafię. Wyjaśnił, że w dzieciństwie został zgwałcony i że piącha w bebechy przypomina mu o tym zdarzeniu, co z kolei podnieca go na poziomie podświadomości. Nigdy wcześniej nikogo nie uderzyłam, ale tego biedaka stłukłam na kwaśne jabłko zgodnie z jego precyzyjnymi instrukcjami.

- Och, ty pieprzona suko! - popiskiwał głosikiem małego chłopca.

— Możesz mi zaufać, skarbie - mówiłam obrzydliwie obłudnym tonem, pieszcząc jego zaciśnięte usta. - Nie zrobię ci krzywdy.

A potem - bach! - wymierzałam cios prosto w jaja.

Wbrew temu co można by sądzić, nie było w tym nic zabawnego. Za pierwszym razem po jego wyjściu

trzęsłam się przez całą godzinę. Niektórzy dają striptizerkom taką władzę, tyle mocy, że kończy się to krótkim snem.

Najlepsi klienci to ci, którzy już osiągnęli nirwanę nocnych klubów, stan objawiający się rozanielonym uśmiechem i rozleniwioną pozycją na kanapie do prywatnych tańców. Oni już ujrzeli światło, kotku. Któregoś razu sprzedałam dwanaście tańców z rzędu biznesmenowi buddyście, promieniejącemu niczym królowa piękności, który wyrwał się z bezruchu tylko po to, aby z zapalem pokiwać głową, kiedy pytałam, czy chce następny taniec

- Jesteś jak bogini Atena - mrucał, kiedy ocierałam się piersią o jego policzek. - Kiedy mówisz o krytyce mediów, od razu mi staje.

I takich klientów lubię!

Niestety nic nie trwa wiecznie w striptizosferze.

# Jazda

Chociaż z maniakalnym uporem starałam się nie dopuszczać do siebie tej myśli, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na zbliżające się wypalenie. Wiedziałam, że nie zawsze będę roznegliżowaną laseczką - z moim wiekiem już plasowałam się gdzieś między dojrzałością a przejrzałością, żeby nie powiedzieć: zgnilizną. Nie wiedziałam, kiedy w końcu pęknę, ale pogodziłam się z nieuchronnością tego wydarzenia. Od pewnego czasu dorabiałam sobie jako wolny strzelec w miejscowym tygodniku poświęconym alternatywnym stylom życia, co oznaczało, że gdybym rzuciła pracę w klubie, na uparte go mogłabym się utrzymać z pisania. Takie myśli nawiedzały mnie prawie codziennie, kiedy wieczorem wracałam do domu wyczerpana i moczyłam posiniaczone ciało w gorącej kąpieli. Zawsze mogłam liczyć na Jonny'ego, gotowego posiedzieć przy wannie i wysłuchać, jak pomstuję na przykrości, które przyniósł miniony dzień.

- Mieliśmy z Fistaszkim superwieczór - mówił potem. - Poszliśmy do sklepu z komiksami, a później wróciliśmy do domu i przez kilka godzin siedzieliśmy nad kolorowankami.

- Zdrowe zajęcie - odpowiadałam zrzędliwie. - Ja przez cały wieczór użerałam się z Meksykaninem, który dawał pięćdziesiąt dolców za moje majtki ze zdjęciem Kissów, te z plamą po ciotce.

- I co, opchnęłaś je?

- Za cholerę! Znasz jakiś inny sposób, żeby twarz Petera Crissa wylądowała na moim kroczu?

- Nie wierzę, że najbardziej lubisz Petera Crissa.

W tę pamiętną środę siedziałam przy barze, popijając obrzydliwą mieszankę soku żurawinowego i ananaso-  
wego. Na scenie blondyna o dupci w kształcie serduszka tańczyła do *Barbie Girl* szwedzkiego zespołu Aqua. Ścisłej biorąc, nie tyle tańczyła, ile raczej maszerowała w tę i z powrotem w sięgających do bioder skajowych kozakach, wyzywająco unosząc drobny podbródek, kiedy ktoś śmiał krzywo na nią spojrzeć. Zauważyłam cały stół z nudzonych striptizerek, które obserwowały ją z pogardą. Dziewczyna ruszała się, jakby miała nogi z ołowiu, i wodziła wokół wrednym wzrokiem, ale wyglądała jak Barbie, i to był wystarczający powód, aby pozostałe ją znieawidziły. Nawet w gorszym dniu taka złotowłosa suka mogła zgarnąć kupę forsy, co tylko pogłębiało atmosferę wrogości. Do tego dochodził fakt, że miała fan-klub składający się ze zbereźnych emerytów skłonnych zapłacić krocie, żeby „pomacać jej cycuszki”.

Aqua tortury się skończyły i Barbie zeszła ze sceny, żeby dać się poobmacywać swoim zgrzybiałym wielbi-  
cielom. Interes się kręcił aż miło, w każdym kącie klubu siedzieli klienci, odmawiając i zamawiając tańce według uznania. Tego popołudnia pokazało się w pracy wiele striptizerek i menedżerka była zmuszona odprawiać następne już od drzwi. Był to jeden z tych dni, kiedy powietrze aż drga od brzęczących poddźwięków, a klub jest jak ul, w którym roi się od trutni. Powinnam była przy-



wolać na usta zawodowy uśmiech i skorzystać z okazji, żeby trochę zarobić po wyjątkowo marnym tygodniu. Jeszcze nie tańczyłam, a była już druga nad ranem, najlepsza pora na zarabianie.

Lecz mimo to nie byłam w stanie ruszyć tyłka.

Nie mogłam wstać. Słyszałam, jak wszędzie wokół mnie inne tancerki wypróbowują standardowe bajery: „Szukasz towarzystwa?“, „Gotowy się zabawić?“, „Zatańczymy?“ (i klasyczne: „Gotowy na wycieczkę do rajaju?“, często zadawane przez tancerkę o imieniu Paradise). W sali aż dźwięczało od obłudnego szczebiotu dziesiątek gejsz. Z garderoby parami i trójkami wylaniały się kolejne dziewczyny, dzieląc się niczym mitochondria, żeby zarobić na kolację. Tyle dziewczyn, a wszystkie z konieczności utopilyby jedna drugą w łyżce wody. Jak na niekończącym się konkursie piękności z nowymi konkurentkami do tytułu, zjeżdżającymi się każdego dnia aż z Wisconsin. I już nie winiłam dziewczyn za to, że się nienawidzą. Dziwiłam się raczej, że nie doszło do morderstwa.

Zawsze wierzyłam w możliwości kobiet. Pracowałam w przemyśle porno i popierałam go, nawet kiedy krytykowano tę branżę, że nas uprzedmiotawia. Kiedy tańczyłam na scenie do AC/DC albo masturbowałam się w szklanym pudle przed jakimś inżynierem budownictwa, czułam się jak prawdziwa liberynka. Wyklócałam się do upadłego z każdą życzliwą, która odważyła się insynuować, że się poniżam. Nie bez powodu mężczyźni płacą grubą kasę za doborowe towarzystwo. Bułą, bo striptizerki są zjawiskowe. Po prostu rządzą.

Nie miałam nic przeciwko nagości ani symulowaniu ruchów frykcyjnych, nie miałam obiekcji moralnych, ale dalej siedziałam na krześle jak przyszpilona — to było jak ołśnienie. Wszystko, co wiązało się z bezpośred-

nim kontaktem z klientem, miało dla mnie sens, za to dziewczyny jako masa najzwyczajniej mnie odrzucały. Setki dziewczyn krążących wśród klientów po klubach, pięknych kobietek żebrzących o uwagę jak pieski żebrzące o kasek z cesarskiego stołu. W klubie ze striptizem reguły podrywu są odwrócone. Piękne dziewczyny, na widok których stanęłyby samochody na Nicollet Mail, odchodziły wzgardzone przez koleśków w paskudnych pasiastych portkach. Byle robot z dwudziestoma dolarami w kieszeni mógł przez całe popołudnie zwozić kilka tancerek, zanim wreszcie wybrał tę, której przypadnie wątpliwy zaszczyt zabawiania go przez trzy i pół minuty. Te odrażone, bez względu na to jak bardzo kochają ich mężowie, kochankowie czy dzieci, czuły się przez chwilę jak śmieci, a wszystko to z powodu głupiego robota. Takie sytuacje zdarzały się coraz częściej i coraz więcej dziewczyn czuło się wytęsknione i wymarzone jak, nie przymierzając, tryperek.

To było jak szwedzki stół z dziewczynami, a przecież nikt nie rozkoszuje się smakiem brązowej packi ze szwedzkiego stołu. Łapie się wysterylizowany talerz, łąduje na niego górę żarcia i wcina jak najszybciej. Wszystko smakuje tak samo i wydaje się lekko oślizgłe. Człowiek nie analizuje relatywnych zalet kurczaka w porównaniu z przymiotami spaghetti. Nie zauważa w cieście jagodowym osieroconej kluski, której miejsce jest na półmisku z *lo mein*. Wszystko smakuje jak szajs, ale najeść się można. I zawsze jest więcej żarcia, zawsze biegiem donoszą z kuchni kolejną parującą tacę.

Nienawidziłam szwedzkiego stołu z dziewczynami. „Zasluguje na to, żeby ładniej mnie podawano” - pomyślałam. Wszystkie na to zasługujemy.

W dalszym ciągu nie byłam w stanie się podnieść. Poruszałam palcami u stóp, ale nogi wciąż odmawia-

Jy mi posłuszeństwa. Zupełnie jak gdyby modemowe połączenie między moim mózgiem a ciałem zostało przerwane. Zaczęło mnie s'ciskać w piersi i nagle usłyszałam, jak moje serce odgrywa odjechaną wstawkę perkusyjną w stylu Ricka Allena. A potem zaczęłam ryczeć.

Z łazienki zadzwoniłam do Jonny'ego.

- Muszę się stąd wyrwać - wyszochałam.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem.

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Po prostu dłużej tak nie mogę.

- A co chcesz robić?

- Cokolwiek innego, stary.

- Myślałem, że lubisz robić striptiz. Czy nie dlatego wciąż tam jesteś? - zauważył.

- Byłam - odparłam, ściągając stringi i (używając ich do otarcia łez, kredki do powiek oraz rozmazanego podkładu z policzków) wepchnęłam je do plecaka. - Ja tutaj byłam.

\* \* \*

Zabrnęłam w ślepy zaułek. Minął rok, odkąd weszłam do „Schieks” ubrana jak kelnerka - krótkowłosa, w nowiutkich szpilkach, wyglądając jak łyżwiarka Dorothy Hamill w chwili, gdy na nowo uczyła się chodzić po siedemnastu godzinach spędzonych na lodowisku. Teraz przyjrzałam się sobie w łazienkowym lustrze. Doczepione włosy sięgające do talii. Sztuczna opalenizna. Na twarzy sceniczny makijaż uzyskany dzięki firmie MAC. Akrylowe tipsy, ozdobione niespokojnymi śladami zębów zdradzającymi moje neurozy. Zacieki z samoopalacza na mostku, mające tworzyć złudzenie głębszego dekoltu. Nawet ja nie poznawałam samej siebie. Widziałam

tylko twardą dziewczynę, która wyglądała, jakby zaraz miała strzelić mnie w twarz.

Pokuśtykałam do menedżera, przemiłego faceta, który po koszmarnym rozwodzie pocieszał się płytami Sama Kinisona, wyblagać, żeby puścił mnie do domu.

- Nie ma sprawy - zgodził się łatwo. - I tak mam dzisiaj za dużo dziewczyn.

Poszłam ulicą, łkając w mankiet. Zwykle nie jestem skora do płaczu, ale tego dnia po prostu ryczałam jak głupia. Wsiadłam do samochodu i pojechałam pod dom, który kupiliśmy z Jonnym zaledwie przed tygodniem, parterowy budynek z lat sześćdziesiątych przy porośniętej drzewami ulicy w małym miasteczku, o którym nie słyszał nikt z moich znajomych. Jeszcze się nie wprowadziliśmy, ale trawnik był zielony jak te w Levittown, a fasada budynku była jasna i zapraszająca. Popatrzyłam na nasz mały biały dom na przedmieściach i pomyślałam: „Oto dom zbudowany na wytryskach”.

Taka była prawda. Gdyby nie istniała armia penisów we wzwodzie, nie stałabym teraz na skarpie zagapiona w mój pierwszy dom. W mieszkaniu na lodówce stało pudełko śniadaniowe z fotką Bettie Page - znajomi, którzy nas odwiedzali, myśleli, że to taka kiczowata ozdoba, lecz w rzeczywistości pudełko zawierało tysiące dolarów żywą gotówką. W życiu nie odłożyłabym takiej kasy, będąc na pensji i mając „przyzwoitą” posadę. Striptiz zmasakrował moją psychikę, ale równocześnie żywił mnie i dopieszczał.

Moja roczna przerwa, mój roczny urlop od obowiązków w końcu jednak dobiegł końca. Pora wracać do realnego świata.

# Sfephanfe mówi

W języku striptizerek emerytura może oznaczać kilka rzeczy. Zwykle dotyczy opuszczenia branży porno na rzecz legalnej posady (patrz też: „odwyk” i „zejście z rurki”). W kilku szczęśliwych wypadkach określenie to oznacza dosłowne przejście na emeryturę i zaniechanie jakiegokolwiek pracy. Słyszałam, że najbardziej rozchwytywane dziewczyny chwaliły się, jak to odłożyły pół dużej bańki i zamierzają przeprowadzić się do bliżej niesprecyzowanego regionu Minnesoty, „gdzieś dalej na północ”, gdzie będą do końca swoich dni hodować konie lipicańskie. Kiedy indziej znowu emerytura oznaczała umawianie się z wolnym facetem przy forsie, wprowadzenie się do jego wypasionej rezydencji nad Lake of the Isles, roztycie się i stanie się niepracującą matką wychowującą gromadkę rozkosznych przyszłych striptizerek. W moim wypadku żadna z tych opcji nie wyglądała realistycznie, ale trzeba coś zrobić, żeby mieć na wódeczkę i ciasteczka.

Niezatrudniona, względnie niezatrudnialna i z widokiem na trzydziestoletnie spłacanie hipoteki, podjęłam błyskawiczną decyzję o zahaczeniu się w sekstelefonach. Nic nie przebije swobody, jaką daje taka praca: popularne „sekstelefonistki” chwalą się długimi, leniwymi dnia-

mi spędzonymi przed telewizorem na oglądaniu *Szpitala miejskiego* i równoczesnym roztargnionym pojękiwaniu w zestaw słuchawkowy. Poza tym po pięciu miesiącach wyciskania spermy z podpitych nierobów w „Sex World” („Dawaj, dasz radę! Chyba już widzę pierwszą kropelkę!”) przypuszczałam, że wykażę się wrodzonym talentem do telefonicznego dymanka na chybcika.

Znalezienie posady to już była bułka z masłem - po krótkiej rozmowie w siedzibie firmy w Alabamie zaofiarowano mi pracę na pełny etat. („Najbardziej mnie kręci sado-maso - wyznała sympatyczna «matka dzieciom», która mnie zatrudniła. - Mój mąż i pan, Kevin, właśnie kupił mi nową obrożę”). Przesłała mi mailem rozbrajająco długą broszurę informacyjną dla nowych pracowników, jak radzić sobie z różnymi rozmówcami, i było to chyba jedno z zabawniejszych, choć nie w zamierzeniu, dzieł komediowych, jakie zdarzyło mi się czytać. Serio, rzecz była genialna. Na przykład: „*Czarna i zamężna*: Jeśli trafi ci się taka rozmowa, powinnaś udawać czarną kobietę **O** dużych piersiach. (Nie próbuj «mówić jakczarna», naśladując murzyński akcent czy używając określeń slangowych.) Twój mąż jest kierowcą ciężarówki albo przedsiębiorcą i rzadko bywa w domu. Jesteś bardzo napalona i lubisz seks analny. Nie zapomnij napomknąć o swoich dużych czekoladowych sutkach”.

Albo klasyczna już pozycja: „*Ruda*: Na sygnał o treści «ruda», powiedz rozmówcy, że rude włosy masz wszędzie!”. Skąd takie ostrożne słownictwo? Broszurkę czytają tylko przyszłe operatorki sekslinii, czemu więc nie walnąć z grubej rury: „Masz płomiennorudą szparkę, której kolor może wypalić siatkówki patrzących. Wyglądasz, jakbyś rodziła Scotta Thompsona, a jego ryza głowa wystawała już z twojego kanału rodnego. Dzwoń po straż pożarną, szefowo, bo ci cipka PŁONIE!”. Na-

prawdę żalowałam, że nie zahaczyłam się w tej firmie jako wewnętrzna copywriterka. Napisałabym o nieco lepsze materiały informacyjne.

Szybko doposażyłam nasz nowy dom w drugą linię telefoniczną, a Jonny kupił mi ładny okrągły fotel wypoczynkowy, żeby mi było wygodnie, kiedy będę zabawać telefonicznych rozmówców. (W przeciwieństwie do pracownic wielu innych sekcji, w których operatorki odbierają telefony, kiedy chcą, ja musiałam się logować i siedzieć przykuta do telefonu przez całą zmianę.) Nie mogłam się doczekać odgrywania „czarnej mężatki” albo wystąpienia w którymkolwiek z kilkunastu innych wcieleń, jakich mógł sobie zażyczyć klient. Wyobraźcie sobie moje rozczarowanie, kiedy zdałam sobie sprawę, że miazdząca większość klientów sekstelefonów wybiera opcję „Ledwie legalna”. Na prośbę większości dzwoniących byłam zmuszona opracować postać Stephanie i trwać w tej roli aż do ośmiu godzin każdego wieczoru.

„Stephanie” była nastoletnią dziewczyną, która mieszkała z zamożnymi, często wyjeżdżającymi rodzicami. Miała włosy ciemnoblonde, zielone oczy, głosik tylko odrobinę mniej koci od głosu Joey Lauren Adams, biust 34C oraz tak rozszalane libido, jakie miał Bob Dylan na łożu śmierci. Lubiła opalać się w staniczku i majteczkach, zwłaszcza kiedy podejrzewała, że podglądają ją sąsiedzi. (Poza kuszeniem podglądaczy, Stephanie miała tylko skromne hobby: robienie sobie wzajemnie minety z najlepszą przyjaciółką Kimberly oraz rzecz jasna, uprawianie seksu przez telefon. Rozmówcy szaleli za Stephanie. Była taka popularna, że czasem i dwadzieścia razy w ciągu jednej zmiany musiałam odbierać telefon słowami: „Halo (chichot), tu Stephanie!”. Och, jak ja tę Stephanie znienawidziłam. W cichości ducha miałam nadzieję, że wreszcie dorośnie, utyje i będzie palić, dopóki nie

ochrypnie. Tymczasem moi rozmówcy byli w niej coraz bardziej rozkochani).

-Tylko tak dalej! - entuzjasmowała się przez telefon kierowniczką mojej zmiany, Andrea. - Świetnie ci idzie. Średnia twojego czasu połączeń to siedem minut!

- Mam telefony tylko w opcji „Ledwie legalna” - poskarżyłam się. - Nie możesz przekierować na mój wewnętrzny numer kilku „Hiszpanek po amputacji”?

- „Ledwie legalna” to nasza najpopularniejsza propozycja - odparła słodkim jak słodzik Splenda głosem z przeciągłym południowym akcentem. - Mężczyźni lubią młode, głupie i spragnione śmietanki.

- Pewnie tak - odparłam, ale byłam rozczarowana. Branża porno straciła dla mnie urok nowości. Stałam wobec konieczności zrobienia rzeczy niewyobrażalnej: znalezienia sobie normalnej posady.

\* \* \*

Uzbrojona w życiorys w dużej mierze wyspany z palca, zdolalam jakimś cudem załatwić sobie posadę specjalistki do spraw rozpatrywania roszczeń w firmie ubezpieczeniowej na przedmieściach. Była to typowa **Orwellowska** fabryka z pracownikami schludnie upakowanymi w gołębioszary kubiki. Firma była przeraźliwie sztywniacka, zarówno jeśli chodzi o korporacyjną atmosferę, jak i o rozplanowanie przestrzeni roboczej. Wszędzie kwadraty - po kwadransie człowiek czuł się tak, jakby istniał w piątym wymiarze. Pracowałam w tesseractach. Moja szefowa była drobiazgową kobietą, której śmieszna wymowa i bierna wrogość były urzeczywistnieniem wszystkich negatywnych stereotypów o Minnesocie. Zakazała mi korzystania z Internetu w celach prywatnych (co za pech!), ale rzeczywiście nagradzała mnie, kiedy byłam grzeczna.



Na przykład gdy okazjonalnie zdarzało mi się wykroczyć poza zakres przypisanych mi obowiązków, przynosiła mi rulonik cukierków i wydrukowany na drukarce laserowej certyfikat o treści: JESTEŚ WZOREM KOLEŻEŃSKOŚCI! I tak oto rozpoczęłam żywot wzorowej obywatelki i wzoru koleżeńskiej.

# Narodziny striptizerki

Większość pracownic branży porno (do których należy zaliczyć także striptizerki) powołuje się na dawny incydent związany z molestowaniem seksualnym, kiedy próbują wytłumaczyć, jakim zrzędzeniem losu weszły na drogę rozpusty. Ja nie mam podobnego usprawiedliwienia. Nikt nie molestował mnie w dzieciństwie, prawdopodobnie dlatego, że nie byłam zbyt ładnym dzieckiem. Mimo że matka starała się, żebym była ubrana jak małej damie przystało, zawsze byłam jakaś niechlujna i nastroszona. Cierpiałam na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i miałam tiki nerwowe. Moje szare oczy kurczyły się za przerośniętymi okularami o szklach jak z pleksiglasu, zęby kryły się za parkanem błyszczących konstrukcji stanowiących dorobek nowoczesnej myśli ortodontycznej (luki, klamry i stabilizatory, wszystkie ze srebrnego drutu, kwaśnego cementu oraz/lub dentystycznego akrylu w kolorze języka). Nie miałam doleczków i loczków jak dzieciaki reklamujące zupki Campbella, takie śliczne, że tylko je molestować. W rzeczywistości gdybym miała reklamować jakiś produkt, prawdopodobnie byłby to zestaw encyklopedii dla juniorów. Albo karma dla ptaków sprzedawana na wagę. W każdym razie coś nudnego. Tak

czy inaczej moje młodzińcze lata były całkowicie wolne od traum natury seksualnej.

Pomijając to wszystko, sama nie jestem pewna, dlaczego stałam się striptizerką, a mój brat zagubionym wiecznym dzieckiem uzależnionym od kokainy. Takie smutne życiorysy miały ponoć być zastrzeżone dla dzieciaków z „rozbitych” domów, małych utrzymywanych za wypłaty z fabryki, istot, których życie jest pastiszem normalności, z różnymi „ojczymami”, mieszkaniem w rozklekotanych przyczepach i rządową akcją: „Pij mleko”. Mnie i Marca natomiast wychowywała nierozłączna para małżeńska (rodzice byli zdecydowanie zbyt zaściankowi, żeby zdecydować się na rozwód).

Podobnie jak wiele innych dzieciaków z naszych małych przedmieść Chicago, chodziłam do katolickiej szkoły, w której nie brakowało codziennych mszy, sędziwych zakonnic w ciemnych habitach, rozpinanych swetrów z kontrafaldami, kar cielesnych i stałego zapewniania mnie przez starszych ode mnie, że będę smażyć się w piekle, aż będzie skwierczało. Nikt by się zbyt nie dziwił, gdyby to były lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku, ale przecież ja dorastałam w katolickiej szkole w latach osiemdziesiątych. Należałam do jednego z ostatnich pokoleń amerykańskich dzieciaków, które otrzymały tradycyjne wykształcenie sprzed II Soboru Watykańskiego, i co było do przewidzenia, miałam z tego powodu popieprzone w głowie i zrobiłam się puszczalska.

Moje życie domowe natomiast było idylliczne. Mieliśmy duży dom na bukolicznej działce na przedmieściach, wykończoną piwnicę, metry kwadratowe kosmatej wykładziny, niebieskiej jak futerko Ciasteczkowego Potwora, i stanowiący obiekt powszechnej zażywania, pełny likierów barek z bieżącą wodą. Mój ojciec, w tamtych czasach dobrze zarabiający restaurator, jeź-

dził wiśniową corvetta z tablicami na specjalne zamówienie. Mój starszy brat Marc i ja byliśmy rozpieszczani do nieprzyzwoitości. Wakacje spędzaliśmy w Orlando, nosiliśmy nieskończoną ilość warstw odzieży Benettona i tak często jadaliśmy na obiad steki, że przeciętny dzieciak nabawiłby się przez to zatrucia żelazem. Pomijając jeden krwawy incydent jakoś w czasie, kiedy w kinach leciał film *Gleaming the Cube*\* (kiedy wyrznęłam, jadąc na deskorolce firmy Nash), moje dzieciństwo było nieskazitelnym podmiejskim ideałem.

Kiedy nie szaleliśmy po Eureka Street na tandemie marki Schwinn, przesiadywaliśmy z bratem w „Matterhorn”, niemieckim barze z restauracją, który należał do moich rodziców i babki. „Matterhorn” był olbrzymim, cudownie kiczowatym i, zdaniem mojego ojca wyjątkowo ciężkim do ogrzania i schłodzenia kawałem sukina. Kiedy wchodziło się frontowymi drzwiami, widziało się kamienną grootę z akwariem, które mieściło samotnego sumy ze skłonnościami samobójczymi, oraz stoisko z upominkami pełne pluszowych zabawek i żelków Black Forest. Nad kominkiem w głównej sali jadalnej umieszczono gigantyczny losiowy leb, a sprzątający ze stołów nieodmiennie wtykali mu do pyska zapalone papierosy.

W Boże Narodzenie animatroniczny bałwan rozmiarów człowieka opuszczał magazyn, żeby witać gości w holu. Za barem stały moje ciotki i robiły manhattany, a w każdą sobotę w sali bankietowej występował ekscentryczny organista. (Mieliśmy z bratem obsesję na punkcie tego organisty, bo miał żydowskie afro a la mokra Włoszka, wąsy jak z filmów porno i kawalerkę, w której świa-

\* Zenit śmieciowego kina lat osiemdziesiątych, w którym wystąpił młody Christian Slater, jeszcze sprzed zarzutów o przemoc domową.

tła wyłączało się kiasńnięciem.) Kelnerki, dźwigające tace z żeberkami i *sauerbraten*, nosiły gorsety uciskające talię i upodobniające je do podstarzałych dziewczyn z reklam St. Pauli. Dzielnie zachwycaly się moim bratem i mną, chociaż oboje byliśmy nieładnymi dziećmi o popękanych ustach. „Matterhorn” cieszył się dużą popularnością wśród mafiosów. Moja babka, nie-dająca-sobie-w-kaszę-dmuchać zodiakalna Lwica, która mocno trzymała lokal w upierścienionej dłoni, kazała co ładniejszym kelnerkom zabawiać mafijnych silnorękich, którzy jak duchy pojawiali się w porze kolacji. Dziewczyny, kwaśne, ale posłuszne, dosiadały się do stolika i popijały *Dom Perignon* z bandą gangsterów, którzy akurat tego dnia wpadli na kolację. Moja babka wiedziała, że kontakty towarzyskie tego rodzaju są kluczem do powodzenia podupadającej *Bierhalle*. Kelnerki były świadome jej stręczycielskich zapędów, ale w popijaniu szampana z butelki magnum w towarzystwie Szczęściarza, Naleśnika czy kogokolwiek innego, kogo akurat wypuszczono ze stanowego mamra i kto miał ochotę na świętowanie przy kiepskiej muzyce i szkopskim żarciu, było coś, co im pochlebiali. Pod tym względem „Matterhorn” niewiele się różnił od klubu ze striptizem. Często sobie myślę, że z babci byłaby pierwszorzędną właścicielką baru z gołymi laskami.

Tylko nie zrozumcie mnie źle - to były totalnie niewinne czasy. GUT ESSEN, GUT TRINKEN - widniało na zabytkowej tabliczce nad wejściem do jadalni. Nikt z rodziny nie umiał tego przetłumaczyć, gdyż nasz „klan” nie był ani niemiecki, ani inteligencki, ale podejrzewałam, że ma to coś wspólnego z dobrym żarłem i z zadowoleniem. Moja rodzina rzeczywiście była dobrze odżywiona pod każdym względem.

Mieszkaliśmy w tej samej, solidnej jak skała, ceglanej rezydencji przez całe nasze dzieciństwo i ukoń-

czyliśmy uniwersytety stanowe. Na tamtym etapie jeszcze oczekiwano od nas, że zrobimy, co do nas należy, i znajdziemy sobie lukratywne, satysfakcjonujące posady w sektorze korporacyjnym. Marc wcześniej się wypiał na rodzinę i został zawodowym kelnerem, ja trzymałam się kilka lat dłużej dzięki dziewczęńskim zajęciom administracyjnym wykonywanym w wielu śródmiejskich wieżowcach. Przepisywałam notatki służbowe, parzyłam kawę i zamartwiałam się, czy kiedykolwiek awansuję na Asystentkę Młodszeo Koordynatora do spraw Mikrotycich Klientów. Oczywiście moi starzy byli w siódmym niebie. Dopiero po przeprowadzce do Minnesoty zaczęłam się zastanawiać nad moim przetestowanym-przez-dzieci-i-zaaprobowanym-przez-rodziców-życiemburwy.

\* \* \*

Swojej pierwszej styczności ze striptizem nie pamiętam. Jako ciekawskie dziecko mętnie zdawałam sobie sprawę z istnienia tancerek erotycznych, ale moje wyobrażenia na ich temat były z niewyjaśnionych przyczyn szalenie ckliwe i raczej burleskowe niż jawnie seksualne. (Może widziałam scenę w lokalu ze striptizem w *Absolwencie*, kiedy biedna, niewinna Elaine Robinson gorszy się na widok ozdobionych frędzelkami naklejek na sutki.) Później widywałam striptizerki w głupawych talk-show, które pochłaniały dużą część moich chłodzonych freonem letnich popołudni w 1989 roku, ale do głowy mi nie przyszło, że sama mogłabym robić coś podobnego za pieniądze. Tamte panny były bezzębne i rozwrzeszczane - rzucały krzesłami i szlochaly, dopóki na policzkach nie porobiły im się czarno-niebieskie fiordy z tuszu do rzęs. I nie było w tym nic seksownego ani intrygującego. Striptiz

kojarzył mi się z desperacją, wydawał się przeznaczeniem chronicznych pechowców.

Sprawa wygląda zupełnie inaczej, odkąd striptizerski szyk przedostał się do kultury młodzieżowej. Od 2004 roku skromne fanki fitnessu mogą uczęszczać na zajęcia „striptizu cardio” i ujędrniać mięśnie pośladkowe, realizując występne fantazje. Nastolatki chodzą w bluzach z logo „Hustlera” i psikają się samoopalaczami dopóty, dopóki nie osiągną złotobrazowej opalenizny jak na smażonych kurczakach Gold’ n Plump. Feministki, intelektualistki i różne laski z „alternatywy” zmysłowo rozzuwają się z elżbietańskich gorsetów na stronach internetowych w stylu *Suicide Girls* czy *Nekkid Nerds*. Studentki koedukacyjnych college’ów i uniwerków zdezierają koszule i aż piszcza, żeby korzystając z przerwy semestralnej, załapać się na wiosenny piktorial w jakimś szmatławcu. Seksualny ekshibicjonizm jest normą, a nie dewiacją. Ale kiedy byłam nastolatką - w erze, kiedy eksplodował punk - żadna szanująca się dziewczyna (z wyjątkiem Courtney Love, jakże wymownej absolwentki licznych klubów ze striptizem) nie pokazałaby tyłka tłumom za napiwki w żywej gotówce. Osnuwałyśmy się kokonami z flaneli i przestawaliśmy myć włosy. Protestowałyśmy przeciwko dziurze ozonowej, przeciw opłatom pobieranym przez serwis Ticketmaster i przeciwko niesamowicie nieproporcjonalnym lalkom do przebierania. Zawód striptizerki wydawałby się nam wtedy niewyobrażalną stratą naszego tak zwanego życia.

\* \* \*

Po raz pierwszy poważnie zastanawiałam się nad striptizem jako profesją, kiedy miałam dziewiętnaście lat i chodziłam do college’u w Iowa City, mieście, które szczyli

się rolę samotnego mieszka włosowego *hoch Kultur* zapoczonej pachy, jaka zowie się Iowa. Rutynowo chodziłam się strzyć do punkowego salonu w śródmieściu, gdzie pracowały halaśliwe, wytatuowane laski jak z kolorowych pism o tuningu. Któregoś dnia, kiedy siedziałam w fotelu, jedna z nich zwierzyła mi się, że okazjonalnie tańczy w „Dolls”, klubie ze striptizem w sąsiednim mieście Coralville.

- Dobrze zarabiasz? - zapytałam, kiedy strzygła moje włosy na przyzwoite podobieństwo fryzury, jaką pod koniec lat dziewięćdziesiątych obnaszała Winona Ryder, czyli na chłopczycę.

- Jasne, kasa jest nie z tej ziemi - przytaknęła z entuzjazmem, ścisząc ścieżkę dźwiękową z *Urodzonych morderców*. - Też powinnaś spróbować.

- Poważnie? - odparłam zdumiona. - Myślisz, że bym mogła?

- Zdecydowanie - przytaknęła. - Jesteś w odpowiednim typie. Mogę ci pożyczyć buty, jeśli chcesz wybrać się na casting.

Roześmiałam się.

- Chybabym nie mogła. Straszny ze mnie cykor. - Potajemnie pochlebilo mi, że ten *ubervool* sobowtór Nancy Spungen uważa, że nadaję się na striptizerkę, ale jednocześnie sam pomysł wydawał mi się śmieszny. Postanowiłam zostać przy dziennej posadzie i dalej wprowadzać dane w języku duńskim w bibliotece.

\* \* \*

Kiedy więc - i dlaczego? - moja mała czerwona corvetta wjechała na autostradę niemoralności? Myślę, że wreszcie się w tym połapałam. Większość dziewczyn zabiera się za robienie striptizu, kiedy wejdą w rozrywkowe to-



warzystwo, ugrzęzną w kłopotach finansowych albo od tak dawna żyją w dysfunkcyjnym środowisku, że w naturalny sposób ciągnie je do popapranych relacji pseudo-rodzinnych, a takie można znaleźć właściwie w każdym klubie ze striptizem. W moim wypadku było dokładnie odwrotnie. Przez całe życie dławiałam się normalnością, przyzwoitością i posmarowanymi masłem orzechowym Jif kanapkami z kromek o amputowanych skórkach. Dla mnie striptiz był niezwykle rodzajem ucieczki. Nie musiałam uciekać przed niczym oprócz przywilejów, ale i tak szukałam azylu. Miałam dwadzieścia cztery lata i była to moja ostatnia szansa, aby odrzucić coś i stać się niczym. Chciałam przerazić samą siebie. Misja została wykonana.

# Koda

Ty, czytelniku, żywisz zapewne nadzieję, że znajdziesz wyraz żalu i skruchy w sążnistej epopei (okay, niech będzie, że w sążnistym pamflecie) korporacyjnej „przynieś-wynieś-pozamiataj”, która naraża własną dupę (dosłownie) i dla sportu zaczyna pracować w seksbranży. Obawiam się jednak, że skruchy się nie doczekasz. Tak to już bywa z prawdziwymi historiami - rzadko dostarczają głębokich nauk natury moralnej. A już na pewno nie wtedy, gdy dotyczą czegoś' płytkiego jak kaluża i symbolicznie molekularnego jak striptiz. „Wybryki jednej dziewczyny” - tak to można ująć w telegraficznym skrócie. Jakby ktoś pytał: Jonny i ja wzięliśmy ślub i jesteśmy najszcześliwszą parą luzaków w całych Stanach Zjednoczonych. Fistaszek fantastycznie wyglądała na ślubie z koszyczkiem kwiatów. Mieszkamy na przedmieściach i nikt się nie rozbiera, chyba że przed wejściem do wanny.

Muszę przyznać, że uległam ogromnym zmianom w czasie spędzonym wśród striptizerek w ich wilgotnym, parnym środowisku naturalnym. Zmieniłam się nie tylko fizycznie, ale także fizjologicznie. Tak długo tłukłam kośćmi udowymi o rurę, że nagle ocknęłam się w roli właścicielki pary chorych kolan. Moje stopy, zupełnie

jak stopki Barbie, zastygły w udręczonej pozycji jak do szpilek. (Po stronie plusów mogę dodać, że dzięki pracy przy rurze mam mięśnie brzucha jak ze stali.)

Opisałam swoje przygody, bo nie chciałam pozwolić, żeby cały ten psychiczny zamęt buzował we mnie bez końca. Niektóre historie aż proszą się, żeby je opowiedzieć (tu złota myśl narratorki: te, w których jest mowa o aukcji czyichś majteczek, należy opowiedzieć). Opowiedziałam więc. Mam nadzieję, że lektura tej opowieści była równie przyjemna jak jej pisanie, mam też nadzieję, że jeśli komuś w pewnych momentach robiło się niedobrze, wynagrodziła mu to przynajmniej okazjonalna iskierka humoru.

\* \* \*

Cholera, co ta rurka ma w sobie takiego? Niektóre dziewczyny ją atakują, inne ignorują, jeszcze inne jeżdżą po niej, jak chcą, i fikają koziołki. Ale to bez znaczenia: wszystko, byle dostarczyć widzom rozrywki. Ja przeszłam od postrzegania rury jako przeciwniczki (jak latawcożerne drzewo Charliego Browna) do chwytania jej drapieżnymi, stwardniałymi udami. Podczas mojego ostatniego występu scenicznego podciągnęłam się wysoko, zwisłam do góry nogami jak nietoperz i pomachałam tłumowi. Z tamtej perspektywy wszystko wyglądało prawie normalnie. To zaś oznacza, przyjaciele, że pora zejść na ziemię. Wróciłam do pionu i zeskoczyłam posiniaczona, ale pod każdym innym względem zjawiskowa.